

# ”AN EKS”

51  
52

**kwartalnik polityczny**

---

ADAM MICHNIK

ZBIORY OŚRODKA KARTA  
Kłopot i blazen

ROZMOWA Z GUSTAWEM HERLINGIEM-GRUDZIŃSKIM

PAUL THIBAUD

Pułapki myśli antytotalitarnej

JAN T. GROSS

Wywózki z Rosji

KRYSTYNA KERSTEN

Terror na przełomie wojny i pokoju



OFICyna  
WYDAWNICZA  
„POKOLENIE”

# "ANEKS"

kwartalnik polityczny 51-52/1988

## *spis treści*

---

<b>Adam Michnik: Kłopot i blazen</b> .....	<b>3</b>
--	----------

---

<b>WYWIAD ANEKSU</b>	
<b>Gustaw Herling-Grudziński:</b>	
<b>Między cudem a wulkanem</b> .....	<b>23</b>

---

<b>Z HISTORII NAJNOWSZEJ</b>	
<b>Jan T. Gross: Wywózki do Rosji</b> .....	<b>43</b>
<b>Krystyna Kersten: Terror na przełomie wojny i pokoju,</b>	
<b>lipiec 1944 – lipiec 1945</b> .....	<b>92</b>

---

<b>Ewa Bieńkowska: Wybór i tożsamość</b> .....	<b>122</b>
--	------------

---

<b>Paul Thibaud: Od Gulagu do Oświęcimia:</b>	
<b>pułapki myśli antytotalitarnej</b> .....	<b>133</b>

---

<b>François Bondy: Europy środkowe</b> .....	<b>152</b>
--	------------

---

<b>Zygmunt Bauman: Rzecz o niemoralnym rozumie</b>	
<b>i nielogicznej moralności</b> .....	<b>163</b>

---

<b>Jerzy Lisiecki: Kto płaci i co dostaje w zamian? czyli o kilku osobliwościach stosunków finansowych</b>	
<b>RFN-NRD .....</b>	<b>174</b>
<hr/>	
<b>Vaclav Havel: Rozmyślając o Františku K. ....</b>	<b>195</b>
<hr/>	
<b>POLEMIKI</b>	
<b>Ewa Bieńkowska: Powrót do klasy .....</b>	<b>204</b>
<b>Tomasz Łubleński: Odpowiedź .....</b>	<b>210</b>
<hr/>	
<b>KSIAŻKI</b>	
<b>Jakub Andrzejewski: Psychopatologia narodów Europy środkowej i wschodniej .....</b>	<b>213</b>
<hr/>	
<b>O autorach .....</b>	<b>219</b>

**ANEKS – KWARTALNIK POLITYCZNY**

Redaguje zespół – REDAKTOR: ALEKSANDER SMOLAR

56, rue de la Division Leclerc, 94 110 Arcueil, France

ADRES REDAKCJI: 61 Dorset Road, London W5 4HX, England

ZAMÓWIENIA ANEKSU oraz korespondencję prosimy kierować na adres redakcji.

*Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca*

Copyright © by Aneka. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Przedruk w Polsce dozwolony z podaniem źródła. Prosimy o nadsyłanie egzemplarzy okazowych, które zawierają przedruki z Aneksu.

Adam Michnik

## KŁOPOT I BŁAZEN

*Raduję się, że intelektualiści, artyści, ludzie kultury znajdują w Kościele przestrzeń wolności, której nieraz brakuje im gdzie indziej. I że dzięki temu odkrywają istotę i rzeczywistość duchową Kościoła, którą wcześniej widzieli jakby z zewnątrz. Ufam też, że Kościół polski odpowie w pełni na zaufanie tych ludzi przychodzących nieraz z daleka i znajdzie język, który trafi do ich umysłów i serc.*

Jan Paweł II, 13 VI 1987, Warszawa

*Pytanie: Jak Pan widzi alians, jaki się w Polsce dokonał między inteligencją, lewicą laicką a Kościołem?*  
*Odpowiedź: Jestem bardzo ostrożny. Uważam, że ten sojusz był czymś wspaniałym i potencjalnie jest czymś wspaniałym. Tylko że w Polsce nastąpił niewątpliwie wzrost tendencji nacjonalistycznych, które mnie – znającego okres międzywojenny – przypominają alians pomiędzy Kościołem katolickim a prawicą polityczną. I wydaje mi się, że jesteśmy w niebezpiecznym momencie. Wśród hierarchii Kościoła katolickiego na pewno jest wielu ludzi, którzy rozumieją to niebezpieczeństwo, ale jest też sporo takich, którzy zupełnie nie widzą, ile Kościół katolicki by stracił, gdyby odeszli od niego intelektualiści, inteligencja. W polskim Kościele wciąż są żywe tendencje.*

*które tłumaczyły rozmaite fermenty społeczne oddziaływaniem trockistów, masonów, agencji zachodnich. Weźmy choćby Kościół na Solcu...*

Czesław Miłosz dla *Tygodnika Mazowsze*,  
styczeń 1988 r.

## I

Mam zdać sprawę z historii pewnego spotkania. Że to jest spotkanie ważne w dziejach Kościoła – dowodzą słowa papieża. Że jest ono ważne w dziejach inteligencji polskiej – dowodzą słowa Czesława Miłosza. Że jest ono ważne w moim własnym życiu, dowodzi moja – opublikowana przed dziesięciu laty – książka, schlastana miłosiernym piórem mego przyjaciela, ks. Józefa Tischnera.

Polskie spotkanie laickiej inteligencji z Kościołem bywa niezrozumiałe dla cudzoziemców. Źródeł owego niezrozumienia szukać wypada w długoletniej tradycji konfliktu laickiej inteligencji Europy z katolickim Kościołem. W Hiszpanii i w Rosji, na Węgrzech i we Włoszech, we Francji i w Polsce zmagał się przez lata duch tradycji zakorzenionej w Kościele z duchem liberalnej kontestacji, duchem mieszczańskich rewolucyj.

„Dzieje Francji – powiadał François Mauriac – to dzieje długiej wojny domowej, którą Henryk IV przerwał zaledwie na półtora wieku. Zginął jednak zamordowany, zaś Ludwik XIV odwołuje edykt nantejski, likwiduje Por-Royal, przesładuje kantzardów – walki nie przerywa.

Prawdę mówiąc – kontynuuje Mauriac – i prawica, i lewica to tematy zbyt słabe i dwuznaczne na określenie nienawiści zasadniczej, zakorzenionej od wieków. Już nawet nie sięgając do wzajemnej wrogości Gallów i Franków, możnowładców Północy i Albigensów, mieszkańców Armagnac i Burgundii, hugonotów i katolików, patriotów i emigrantów, przeciwników i obrońców Dreyfusa, przecież kolaboranci i członkowie Ruchu Oporu to kolejnie miano wciąż tej samej nienawiści, rozmaicie zabarwianej burzliwym nurtem historii. Obecnym jej przejawem jest wojna algierska”.

Słowa te zostały napisane w 1959 roku, a późniejsze lata – choćby zdarzenia z 1968 roku – stanowią ich świetne uzupełnienie.

Podobny – myślę – ciąg historycznych przeciwstawień dałby się zbudować w polskiej historii: od sporu o status różnowierców zakończonego wygnaniem arian aż po dzisiejsze dyskusje na temat postulowanego kształtu polskiej kultury. Charakteryzując ten konflikt, pisał Konstanty Jeleński, że „w przededniu wybuchu wojny różnica między lewicą a prawicą były w Polsce bardzo wyraźne, prawdziwa przepaść istniała jednak na planie nie tyle politycznym, co uczuciowym, oddzielając prawicę nacjonalistyczną, spadkobierczynią Romana Dmowskiego, od pozostałych formacji politycznych, czy to z lewicy, czy z prawicy. Ta antysemitcka i szowinistyczna prawica, skupiona wokół wielkiej partii narodowo-demokratycznej, miała dwa oblicza: oblicze masowe, a więc »Polaka-katolika«, drobnomieszczańskie wcielenie wiecznego faryzeusza, oraz oblicze drugie, jeszcze bardziej ponure i groźne – faszyzujących band ONR Falanga, które po wojnie zostały przekształcone przez ich przywódcę, Bolesława Piaseckiego i wkomponowane w ustroj komunistyczny, tworząc Stowarzyszenie PAX – grupę katolików współpracujących z ustrojem”.

Wspólnym mianownikiem drugiego obozu była „wrogość wobec tego składnika polskiej tradycji, jakim jest nacjonalizm”. „W końcu XVIII wieku – pisał Czesław Miłosz (»Do Tomasza Venclowy«) – nastąpił w Polsce rozłam na obóz Reform i obóz sarmacki i ten rozłam, pod różnymi przeobrażeniami, utrzymał się do dziś, choć w warunkach niejawności albo półjawności wymyka się definicjom”. Zaś w „naszym stuleciu ostoją mentalności sarmackiej, która zrodziła nowoczesny nacjonalizm, był, przynajmniej do roku 1939, Kościół”.

W innym zaś eseju – o ks. Sadziku – notował Miłosz, że „identyfikacja katolicyzmu z polakością odsuwała kler coraz bardziej od świeckich, a wrogich religii, nowinek. W czasach mojej młodości – wspominał – rozdział Kościoła (...) od intelektualnego środowiska był faktem dokonany i niemal politycznym, jeśli wylączyć nieduże kółko Łasek i pismo *Verbum*. Ani mnie, ani nikomu z moich ówczesnych kolegów nie przyszłoby do głowy, że można przyjaźnić się z człowiekiem w sutannie, jak z Jasiem czy Stasiem. Po prostu był to inny stan społeczny, a także inny obóz, do którego niewiele spośród literatów, artystów, intelektualistów czuło sympatię, a korzystający z prestiżu przymiotnika »narodowy«”.

Z katolickiego punktu widzenia konflikt ten rysował się inaczej. Syndrom zespolenia polskości z katolicyzmem stanowił wyjątkowy i szczególny oręż przeciw rosyjskiej i niemieckiej polityce wynaradawiania, zaś Kościół katolicki był w epoce rozbiorów jedyną instytucją integrującą całe społeczeństwo i kultywującą tożsamość narodową Polaków. Wszelako katolicyzm XIX wieku – przynajmniej to Jerzy Kłoczowski i Lidia Müllerowa w *Zarysie dziejów Kościoła katolickiego w Polsce* – cechowała psychologia „oblężonej twierdzy”. Źródłem zagrożenia była nie tylko polityka zaborców, ale i działania laickiej inteligencji. Konflikt nabral nowej dynamiki w pierwszych latach niepodległego państwa, a dotyczył laicyzacji instytucji publicznych oraz „konsekwentnego rozdzielania spraw kościelnych i państwowych”. Laicka inteligencja, związana z lewicą, popierała program laicyzacji i to – powiada Kłoczowski – „w duchu wrogim Kościołowi, religii, przynajmniej zaś duchowieństwu”. Działania te znajdowały poparcie wśród mniejszości narodowych, które widziały zagrożenie dla siebie w potęgze i uprzywilejowanej pozycji Kościoła. Stanowisko przeciwne – prawicy nacjonalistycznej i grup chrześcijańsko-demokratycznych – sprowadzało się do programu „państwa katolickiego jako państwa narodowo polskiego »Polaków-katolików« mających w nim pełnię praw”.

W atmosferze wzajemnych nienawiści doszło do tragicznego zabójstwa pierwszego demokratycznie wybranego prezydenta RP, Gabriela Narutowicza.

Piszą Kłoczowski i Müllerowa: „Grozilo niebezpieczeństwo głębokiego i groźnego podziału kraju na dwa wielkie bloki, »katolicko-narodowy« i przeciwny mu”.

Jak ludzie Kościoła postrzegali laicką inteligencję? Prymas Hlond pisał, że w tych kręgach „roilo się od błędów XIX wieku, od materialistycznego doktrynerstwa, od fałszywych poglądów na wiarę i moralność, od zgubnych zasad społecznych i politycznych”. To też laicką inteligencję postrzegano jako wylęgarnię zagrożeń dla Kościoła, skądinąd „łatwo utożsamianego z narodem polskim”. Ten klimat rodził podatny grunt dla spiskowej teorii dziejów sprowadzającej się do szukania wszędzie „ukrytych sprężyn żydowsko-masońskich czy bolszewickich”. Prowadziło to do zmistyfikowanej wizji świata i wyolbrzymiania możliwości przeciwników.

Stereotypy laickiej inteligencji były równie prymitywne: religię i Kościół traktowano jako przeżytki niebezpieczne dla postępu i demokracji. Laicka krytyka ignorancka nie rozróżniała w swoich atakach dogmatów wiary od „historycznych i aktualnych uwarunkowań”. Tadeusz Boy-Żeleński, pisarz miarodajny dla mentalności laickiej inteligencji, nazywał wpływy duchowieństwa katolickiego „jarzmem nowej okupacji”, „polskim Klechistanem”, „potęgą ciemnoty”.

Konflikt wydawał się być nieusuwalny. Dopiero spotkanie z totalitarnym ustrojem miało pokazać – także Boyowi i ludziom jego formacji – czym w rzeczywistości jest „jarzmo nowej okupacji i potęga ciemnoty”.

## II

Minęło 40 lat. Ks. bp Ignacy Tokarczuk, wybitna i niekonwencjonalna osobowość współczesnej Polski, we wrześniu 1978 roku wygłosił na KUL-u odczyt na temat „Perspektyw rozwoju Kościoła”. Zajął się wtedy relacją Kościół-inteligencja. Przypomniawszy lata, gdy świadomość filozoficzna inteligencji zdominowana była przez pozytywizm, społeczna – przez marksizm, a naukowa przez ewolucjonizm. Rodziło to trwale postawy antyreligijne i antykościelne.

Ale oto – mówił ks. bp Tokarczuk – „jesteśmy świadkami niesłychanie ważnego zjawiska – przyspieszonej przemiany tych postaw. (...) W skrajnej postaci Kościół tym ludziom przedstawiał się do niedawna jak Ciemnogród (...), jako ktoś, kto ma ciężki charakter skrajnie konserwatywny, nieufny wobec człowieka. Dzisiaj ten Kościół przedstawia się jako zjawisko nowe, właśnie Kościół jest obrońcą kultury, praw człowieka. Kościół jest bardzo szeroki, otwarty. (...) To odkrycie stanowi ogromną szansę dla Kościoła. (...) Kościół w Polsce nie może pozostać obojętny, czy nie zauważać tych procesów. Byłaby to wielka szkoda i strata, i dla Kościoła, i dla narodu. Po prostu szansa, która dzisiaj ukazuje się w bardzo szerokiej skali, stoi przed nami. Jak my ją rozwiążemy, od tego będzie zależna dynamika Kościoła. Każdy laik jest wartościowy, każdy człowiek jest cenny, ale człowiek, który ma umysł szeroki, wykształcony i serce szerokie – i dobrą wolę – jest



bardziej przygotowany do tego, aby mógł z siebie jak najwięcej dać. I tej szansy nie wolno Kościołowi polskiemu zmarnować. Wychodzić naprzeciw, gdzie są jeszcze uprzedzenia, pokazywać prawdziwe oblicze. Prawdę pokazuje się nie tylko w teorii, choć to bardzo ważne, ale w realizacji, w praktyce. Ci ludzie jeszcze dziesięć lat temu walczyli z Kościołem, byli sojusznikami wojujących ateistów. Ci ludzie przyznają się otwarcie do swego błędu, żałują tamtej postawy”.

Tyle ks. bp Ignacy Tokarczuk. Niezmiernie trudno komentować mi te słowa, bowiem jedną z ich inspiracji była – jak wynika z dalszego wywodu – lektura mojej książki *Kościół, lewica, dialog*. Niechaj tedy osobisty ton nie będzie poczytany mi za nadmiar egocentryzmu...

Pisałem tę książkę z poczuciem winy. Czulem się winny i odpowiedzialny za własne zaślepienie, za obskurancie i ignorancie widzenie spraw Kościoła i religii. Jednocześnie nie była ta książka wyznaniem neofity; nie była aktem konwersji. Widziałem w Kościele katolickim jedyną niezależną instytucję egzystującą legalnie w totalitarnym państwie: rzecznika polskości w świecie sowytyzacji; rzecznika suwerenności w świecie powszechnego zniewolenia; rzecznika ciągłości historycznej wśród niszczyielskiego nihilizmu praktyk totalitarnej rewolucji. Z takim Kościołem szukałem spotkania. Dostrzegłem w Kościele obrońcę praw człowieka i praw narodu. I dostrzegłem w Kościele – wśród „powszechnego sprzyśnięcia przeciw wszelkiego rodzaju życiu wewnętrznemu” (Bernanos) – aży! dla pytań o transcendencję i o metafizykę, o wartości absolutne i prawdy ostateczne, o fundament moralności, która nakazuje niezgodę na status niewolnika.

Niezwykła wartość Kościoła ujawniła się w momencie szczególnym – gdy poddany został próbie totalitarnej opresji. Wiem, że jest w tym jakaś skaza intelektualna, ale dla nas, żyjących tutaj, w sercu totalitarnej Europy, ostateczną miarą ludzi, wartości i instytucji był ich stosunek do pomysłów budowania potęgi państwa na zniewoleniu ludzi i na niewolniczej wierze w pełną plastyczność człowieczej natury.

Miałem poczucie, że mówię nie tylko własnym głosem, że moja książka jest również zapisem rozmów prowadzonych z Jackiem Kuroniem i Stanisławem Barańczakiem, z Janem Lityńskim i

Adamem Zagajewskim, z Barbarą Toruńczyk i Ryszardem Krynickim. Miałem zarazem poczucie, że propozycja nowej perspektywy nie oznacza wyrzeczenia się własnej tożsamości. Alłści to właśnie wiodło do pytania: jaki jest kształt tej tożsamości?

Posłużyłem się wtedy sformulowaniem: lewica laicka. Na własne i cudze nieszczęście. Sam skonstruowałem termin, który później przez lata służył rozmaitym szalbierzom do denuncjowania moich przyjaciół jako komunistów, ateistów bądź masonów. Szło mi wtedy o nazwanie pewnej formacji intelektualnej przez długie lata niechętniej religii i Kościołowi. Wszelako nazwa zaczęła funkcjonować wtedy, gdy ta formacja przestała istnieć.

Nie istnieje dzisiaj lewica laicka jako dające się wyodrębnić, spójne w wyznawanych wartościach i publicznych zachowaniach, środowisko ideowe. Czyż zatem postulat dialogu stracił swój sens?

Nie przypuszczam. Dialog oznacza uznanie różnorodności świata polskiej kultury, aprobatę dla pluralizmu i różnorodności tradycji wiodących do postaw wartościotwórczych, gotowość do podążania wspólną drogą przy zachowaniu różnic, szacunek dla cudzej podmiotowości i zdolność do krytycznej autorefleksji nad prawdą własnych korzeni.

Z perspektywy misji apostołskiej, dla ludzi Kościoła spotkanie z inteligencją laicką jest ciągle rozmową z potencjalnymi konwertytami. To jest oczywiste. Byłoby jednak głęboko zasmucające, gdyby ta perspektywa była jedyną. Bowiern to spotkanie winno być przecież również codziennym wysiłkiem budowania od wewnątrz zrębów niepodległej Polski, kształtowaniem ram polskiej pluralistycznej demokracji, utrwalaniem elementów społeczeństwa obywatelskiego.

Wizja taka wykracza daleko poza myślenie w kategoriach sojuszu politycznego. Zakłada ona, że Kościół katolicki jest niezbywalną wartością dla wszystkich Polaków, niezależnie od ich wyznania. Dlatego też wszyscy Polacy winni stawać w obronie Kościoła, gdy zagraża mu niebezpieczeństwo. Jednoznaczna reakcja całej niezależnej opinii publicznej na kampanię antykościelną zwienczoną zamordowaniem ks. Jerzego Popiełuszki jest wymowną ilustracją tego sposobu myślenia. Wszelako drugim członem tej wizji jest uznanie pluralizmu za nieusuwalny składnik polskiej

duchowości. Dlatego każda wartość zaatakowana przez totalitarny system winna być bronią, niezależnie od tego, czy jej nosiciel jest katolikiem, ewangelikiem czy też agnostykiem.

### III

Twierdząc, że klasyczny podział „prawica-lewica” utracił w Polsce i innych krajach realnego komunizmu zdolność opisywania rzeczywistości. Kto dziś opisuje sam siebie w tych kategoriach, uprawia maskaradę. Ten podział – zapoczątkowany przez rewolucję francuską, a zakończony przez rewolucję bolszewicką – stał się anachronizmem. Polską opinię dzieli dzisiaj inne spory i inne kryteria. Jednym ze źródeł podziałów jest stosunek do Kościoła i do totalitarnego państwa. Wszelako nie jest to podział wyznaniowy. Spór o rolę Kościoła dzieli Polaków niezależnie od ich wyznania. Dzieli też katolickie duchowieństwo. Wypowiadając się w obecnej dyskusji, mam świadomość istnienia tego podziału. Wiem tedy, że mój głos może być bardzo różnie rozumiany. Winienem więc powiedzieć, jaka jest moja formacja; kim jestem i skąd przychodzę. Może jednak powiem najpierw, kim nie jestem.

Nie jestem tedy utajonym komunistą, który chce od wewnątrz rozkładać Kościół i czynić zeń instrument politycznych celów. Nie lubię uczniów Maurrasa, który cenil Kościół katolicki za polityczny konserwatyzm, hierarchiczną strukturę i społeczne wstecznictwo, zaś gardził chrześcijaństwem za zmysł miłosierdzia. Ale też lękam się maurrasistów *à rebours*, którzy przekształcają obietnicę Dobrej Nowiny w obietnicę komunistycznego raju i – obiecując gruszki na wierzbie – z Ewangelią w rękę agitują na rzecz totalitarnej rewolucji.

Nie jestem ani trockistą, ani masonem, jak mnie nieraz przedstawiano w pismach przyozdabiających się przyniotnikami „katolicki”. I martwi mnie, że te ignoranckie przezwiska padać mogły z ust ludzi najwyraźniej kiepsko poinformowanych o tym, co to jest „trockizm” i kim są dzisiejsi „wolnomularze”. Istnieje rodzaj idiotyzmu, który ma żywot niepokojąco długi.

Nie jestem wszelako człowiekiem bez biografii i tożsamości. Przychodzę z daleka. Na moją tożsamość składają się długi szereg spiskowców i buntowników, bluźnierców i racjonalistów, radyka-

łów i socjałów, jakże dalekich od Kościoła, od myśli konserwatywnej, od obozu nacjonalizmu. Na ich tradycję składały się lektury Żerońskiego i Abramowskiego, Piłsudskiego i Brzozowskiego, Conrada i Camusa, Ossowskiego i Dąbrowskiej, Słonimskiego i Miłosza.

Wszelako – mam tego świadomość – ostatnich 45 lat tej tradycji to uporczywe zmaganie się z totalitarnym komunizmem, który odrzucam, rozumiejąc jednak naturę i potęgę pokusy; to Buda-peszt 56 i Praga 68, to Sacharow i Solżenicyn, Havel i Brodski, Hannah Arendt, Orwell i Silone, to Miłosz, Herbert i Kotakowski, *Po prostu* i *Kultura* paryska, to polski Październik 56 i Marzec 68, Grudzień 70 i Czerwiec 76, to KOR i „Solidarność”. To także powolne przewartościowanie własnego stosunku do religii i Kościoła, to lektury *Tygodnika Powszechnego* i *Więzi*, książek Turowicza i Mazowieckiego, Woźniakowskiego i Cywińskiego, a także Simone Weil, Bonhoeffera, Domenacha. To również spóźniona lektura dokumentów Episkopatu i *Zapisków więziennych* kardynała Wyszyńskiego. To – na koniec – przeżycie wyboru Jana Pawła II i trzech papieskich pielgrzymek oraz lektura papieskich wypowiedzi.

Wszystko to razem składa się na wizerunek raczej pogmatwany, ale może jakoś charakterystyczny dla człowieka tej formacji z tej części Europy. Chętnie powtarzam, że nie jesteśmy z obozu prawicowego ani z obozu lewicowego, lecz z obozu koncentracyjnego. Podstawowy podział społeczny tej części świata jawi się nam – naiwnie – jako podział na bijących i bitych, zaś towarzyszy temu świadomość, że wobec takiego konfliktu nie wolno nam powtórzyć gestu Pilata. Owa odmowa obojętności wobec krzywdy jest dla nas ważniejsza niż jej uzasadnienie: prawem Bożym czy też prawem naturalnym, kantowskim imperatywem czy też zwyczajnym ludzkim instynktem sprawiedliwości i miłosierdzia. Wierzmy, że największym nieszczęściem naszego stulecia jest wydzielenie sfery polityki spod osądu moralnego i ta wiara łączy nas z wielką ilością katolików w Polsce. W tym też sensie czujemy się dziećmi chrześcijańskiego rozumienia świata wartości moralnych. Chrześcijaństwo – jak je pojmujemy – nie jest projektem politycznym takiego czy innego ustroju. Manifestuje się zawsze jako głos płynący z głębi sumienia, który nakazuje, jak żyć winie-

nem, a jak żyć mi nie przystoi. Chrześcijaństwo jest też przestroga przed budowaniem „raju na ziemi”; przed wiarą, że jakakolwiek rewolucja czy reforma może usunąć zło i mizериę z natury człowieczej i ze stosunków międzyludzkich. Żywiąc przekonanie, że przyszło nam żyć w świecie nieuchronnie niedoskonałym, wśród projektów nieuchronnie utopijnych, bez wielkiego wpływu na losy świata, wiemy przecież, że naszym obowiązkiem jest tak czynić, jak gdyby od naszych uczynków los świata zależał. W fundamentalnym konflikcie totalitarnego państwa ze społeczeństwem obywatelskim, mamy powinność być po prostu po stronie niezależnych instytucji społecznych, po stronie wolności, a przeciw zniewoleniu; po stronie „Solidarności”, a przeciw policji.

Tak, to prawda. Wszelako będąc intelektualistą – obywatelem niezależnego społeczeństwa, mam być nie tylko jego obrońcą, ale i krytykiem, nie tylko defensorem cnót, ale i burzycielem pospólnych mitologii. Mam tedy być blaznem w rozumieniu, które nadał temu słowu przed trzydziestu laty Leszek Kołakowski.

#### IV

Upraszczam obraz, posługując się skrótami myślowymi. Wszelako dodam jeszcze, że intelektualista, który wyrzeknie się swej błazeńskiej kondycji w spotkaniu z Kościołem, sprzeniewierzy się jako swojej profesjonalnej etyce.

Ten wymóg czyni sytuację intelektualisty osobliwie skomplikowaną. Bowiem przychodząc do Kościoła, przynosi jakiś własny wizerunek, skreślony zwykle cudzą ręką. Przynosi również jakiś wizerunek Kościoła, również cudzą ręką nakreślony.

Zaryzykujemy w tym miejscu wyższy nieco stopień szczerości, niż jest to przyjęte w polskich polemikach. Otóż w oczach pewnej kategorii ludzi Kościoła utrwalony jest wizerunek eks-stalinowca, kosmopolity, trockisty, masona, jadowitego bezbożnika, który sący miazmaty, ma podejrzone powiązania zagraniczne i opanowane do perfekcji techniki manipulacyjne. Swego czasu ten manipulator-bezbożnik opanował struktury „Solidarności”; teraz próbuje wcisnąć się w Kościół, macić i buntować, judzić i anarchizować, rozkładać od wewnątrz i instrumentalizować dla własnych politycznych celów. Jest niemądry i nieodpowiedzialny. Chce

wplątać Kościół w polityczny konflikt z państwem. I chce zdobyć władzę, by potem rozpocząć politykę ateizacji i prześladowań Kościoła nieporównanie bardziej jadowitą niż rządzący dziś komuniści spod znaku Jaruzelskiego.

W ramach takiego stylu myślenia łatwo jest zakwalifikować program „Solidarności” jako „ani narodowy, ani kościelny, ani inspirowany chrześcijaństwem”. Łatwo też formułować przestrogi przed „niepolską inspiracją”. I łatwo o lekceważącą nieufność wobec wszystkiego, co opozycyjne, a pozbawione kościelnego stempla.

A wtedy zasypia rozum, budzą się upiory i dochodzi do zenujących obliczeń, jaki procent katolików był w prezydium czy w Komisji Krajowej.

Nie twierdzę, że jest to wizerunek upowszechniany oficjalnie i często, twierdzę jednak, że myślenie takie – produkt endeckich obsesji – funkcjonuje i znajduje swój wyraz w niektórych publikacjach.

Łatwo jest szydzić z takiego myślenia, ale warto jest zastanowić się nad jego korzeniami, których nie da się przecież sprowadzić do indywidualnych fobii.

Bp Ignacy Tokarczuk, pisząc o czasie dawno mimonym, scharakteryzował zrodzoną w obrębie Kościoła „psychozę załknienia i czujnej obronności”. „Wytworzyła się – zdaniem bpa Tokarczuka – strachliwa postawa defensywna, postawa ochrony za wszelką cenę religii i wiernych przed błędami herezji. Defensywa religijna zaczęła posługiwać się kodeksami, indeksami, syllabusami”. Było to historycznie wytłumaczalne, ale zrodziło „tragiczne skutki”. Kościół popadł w konflikty z najwybitniejszymi umysłami epoki. Życzliwy dialog zastępował „ochronną seperacją od skażeń”. Ślady tej tradycji wciąż są obecne.

Ten sposób myślenia nie jest – rzecz prosta – powszechny. Sam bp Tokarczuk rozumuje zupełnie inaczej. „Łekliwe i zachowawcze stanowisko obronne – jego zdaniem – prowadzi zawsze do konfliktu z siłami kulturotwórczymi, ponieważ życie idzie naprzód, wiedza się pogłębia, doświadczenia wzbogacają nieustannie skarbnicę duchowych wartości. Żadne negatywne restrykcje nie uzasadniają prawdziwości jakiegoś systemu prawd, lecz, przeciwnie, prowadzą do konfliktów i strat przycyji za pozycją.

Duch ludzkości nie mieści się w kaftanie indeksów i cenzur, buntuje się, chociaż, oczywiście, nie zawsze jest wolny od pomyłek i błędów”.

Taki właśnie styl myślenia, konstytuujący ducha swobody i dialogu w życiu umysłowym, bezcenny składnik polskiej świadomości demokratycznej, bywa przecież nie zauważany przez obserwatorów lub też traktowany jako rodzaj socjotechniki. Bywa przecież – ktoś z nas nie napotkał tych opinii – że postępowanie Kościoła pojmowane jest w dość osobliwych kategoriach. Każda deklaracja i każdy postępek interpretowane są jako klerykalizm i wyraz tradycyjnych aspiracji Kościoła do totalnego zwierzchnictwa nad życiem publicznym. Jakim jawi się Kościół swym niezyczliwym krytykom? Triumfalistyczny, lekceważący każdą wartość i inicjatywę zrodzoną poza swoim zasięgiem. Elastyczny wobec ateistycznej i totalitarnej władzy oraz niezyczliwy wobec laickiej i demokratycznej opozycji. Dążący do zdominowania „Solidarności”, gdy była potężna i pozostawiający ją własnemu losowi, gdy nadszedł trudny czas stanu wojennego. Mówiący o prawach człowieka, ale zatroskany tylko o prawa Kościoła. Niezdolny do szczerego uznania pluralizmu i tolerancji za trwałe wartości życia publicznego. Przecistawiający idei rzeczypospolitej samorządnej, pluralistycznej i demokratycznej, wizję katolickiego państwa narodu polskiego oraz tę oto myśl w swych konsekwencjach doskonale totalitarną, że trzeba być Polakiem-katolikiem po to, by nie czuć się w Polsce intruzem.

Należę do ludzi – niechaj nie zabrzmi to jak megalomania – którzy wielokrotnie, słowem mówionym i pisanym, w prasie polskiej i zagranicznej, zwalczali taki obraz Kościoła katolickiego w Polsce. Wiem tedy, jak uparty żywot mają stereotypy. Chętniej karmią się informacjami o kościele przy ul. Zagórnej, gdzie sprzedawano antysemitckie broszurki niż całkiem jednoznaczными wypowiedziami na temat antysemityzmu papieża Jana Pawła II czy wieloletnią, bezcenną publicystyką *Tygodnika Powszechnego* i *Więzi*.

Stereotyp taki – powtórzmy – żywi się ignorancją i obskurantyzmem, właściwymi wieloletnimi obsesjami antyreligijnym i antykościelnym kręgów laickiej inteligencji. Kościół – redukowany do funkcji pozareligijnych – traktowany bywa po prostu jako grupa

politycznego nacisku i instytucja kierująca się wyłącznie interesem partykularnym. Istotą konfliktu tkwi w odmowie uznania faktów: poddany represjom Kościół był w latach Stalina jedynym publicznym miejscem, gdzie język polski nie służył do znęcania się nad prześladowanymi; z kościelnych ambon rozlegały się wtedy odważne słowa prawdy; kościelne mury stanowiły azyl dla organizatorów pomocy uwięzionym i ich rodzin. Te same mury stały się po latach azylem dla niezależnej refleksji, niezależnej więzi pomiędzy ludźmi.

Każdy z nas pamięta te chwile, kiedy czuł się wolny i niepodległy przekraczając gościnne progi kościoła pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Warszawie czy kościoła pod wezwaniem św. Brygidy w Gdańsku. A takich kościołów jest w Polsce wiele – w każdej diecezji, w każdym miście. Kto tego nie wie – ten niewiele zrozumiał z natury współczesnej Polski.

## V

Zapytajmy teraz, czy oba te stereotypy są wyłącznie wynikiem umysłowego załamania? Nawet wtedy wyobrażenia o rzeczywistości byłyby tej rzeczywistości istotnym składnikiem. Wszelako tutaj, w obu przypadkach, mamy do czynienia z istnieniem postaw, które uzasadniają tak karykaturalne wizerunki.

Są wśród laickiej inteligencji ludzie, którzy nie ufają Kościołowi i boją się go. Ci ludzie szczerze nie znoszą totalitarnego komunizmu, ale równie szczerze lękają się faktycznej dyktatury zinstytucjonalizowanego katolicyzmu nad polskim życiem umysłowym. Czują się obco wśród haseł: „Bóg-Honor-Ojczyzna” i nerwowo reagują, gdy słyszą z ambon kazania kwestionujące uczciwość wszystkich niewierzących. Nieufność i nerwowość prowadzą zwykle do sądów niesprawiedliwych i niemądrych. Wszelako kazania takie nie są przecież wymysłem opozycyjnego laickiego inteligenta ani komunistycznej propagandy. Należy jednak rozumieć ich kontekst. Bowiem chwilami wydaje się, jakby w polskim katolicyzmie spierały się ze sobą dwa duchy, dwa style przeżywania i głoszenia wiary, dwie wizje obecności Kościoła w Polsce. Manifestują się one również jako dwa pojmowania totalitarnego



zagrożenia. Dla jednych istota zła tkwi w ateizmie; dla drugich – w totalitarnym zamysle zniewolenia człowieka.

Powtórzmy raz jeszcze klasyczną formułę Leszka Kołakowskiego z 1978 roku: „Despotyczne formy rządzenia i w szczególności prześladowania religijne w tym ustroju nie pochodzą stąd, że komunizm jest ateistyczny, ale stąd, że jest totalitarny, że zatem jest jak gdyby konstrukcyjnie napędzany dążeniem do zniszczenia wszystkich form życia zbiorowego i wszystkich krystalizacji kultury nie narzuconych przez państwo (...). Totalitaryzm, bez względu na kostium ideologiczny – rasistowski, komunistyczny czy religijny – jest w tej chwili najbardziej złowrogą groźbą dla kultury i dla wartości chrześcijańskich”. Byłby on równie odrażający, „gdyby jego forma dogmatyczna określała się za pomocą Credo nicejskiego zamiast Dziel Zebranych Lenina”. Toteż „chrześcijanie, którzy walczą o prawo do życia w sytuacji totalitarnej, stawialiby siebie w niezręcznej pozycji, jeśli by nie opierali swoich roszczeń na wyraźnej akceptacji pluralistycznych zasad życia społecznego, to znaczy na radykalnym odrzuceniu totalitaryzmu, niezależnie od jego ideologicznych treści, które mogą być ateistyczne, ale mogą być także religijne”.

Wydaje się, że problem ten wciąż jest przedmiotem utajonego sporu w obrębie polskiego katolicyzmu. Wciąż zaznaczają swą obecność środowiska i ludzie, którzy posługując się katolicką symboliką i retoryką, planują budowę ruchów politycznych autoryzowanych przez Episkopat i korzystających z kościelnego autorytetu. Na tej fali powraca tradycyjna endecka argumentacja o potrzebie sojuszu katolicyzmu z politycznym nacjonalizmem w obliczu zagrożenia ze strony wszechobecnego i zorganizowanego bezbożnictwa. Inną konsekwencją tego rozumowania są próby tworzenia katolickiego ruchu politycznego w ramach oficjalnych struktur o wyraźnie kolaboranckiej tendencji i jawnie „antysolidarnościowym” ostrzu. Jakie stanowisko wobec tych tendencji zajmuje Kościół?

Biskup Ignacy Tokarczuk precyzyjnie skonstatował, że „gdy angażuje się religię bezpośrednio w politykę, wówczas prędzej czy później grozi niebezpieczeństwo kompromitacji”. Brak jasnych rozgraniczeń polityki i religii powodował zawsze „bolesne i tragiczne konsekwencje”, a to, „co wyglądało na doraźny pożytek i

triumf religii" – na przykład sojusz ołtarza z tronem – „okazywało się w dalszej perspektywie kompromitujące i szkodliwe". W nowszych czasach fatalne skutki pociągnęła za sobą „ugodowość kardynała Inuitzera, który ludził się, że ustępstwa złagodzą sytuację po zaborze Austrii".

Uwagi biskupa Tokarczuka nabierają szczególnego znaczenia w sytuacji polskiej ostatnich lat. Jej osobliwość polega na tym, że ruch demokratycznej opozycji lat siedemdziesiątych, a potem „Solidarność" przekreśliły kryteria ideowe epoki, która zezwalała na identyfikację deklaracji wyznaniowej z polityczną. „Solidarność" jest ruchem polskiej demokracji. Związek tego ruchu z chrześcijańską tożsamością i Kościołem katolickim jest powszechnie znany. A jednak zawsze ten ruch deklarował swój pluralistyczny, a nie wyznaniowy, charakter. W „Solidarności" nikt nikogo nie pytał o wyznanie i myślę, że nie jest to tytuł do wstydu.

Nie jest moją intencją idealizacja „Solidarności" – ruchu, z którym identyfikuję się – ani też laickich intelektualistów w ten ruch zaangażowanych. „Solidarność" popełniała błędy. Takim błędem był nadmiar oczekiwań wobec Kościoła po wprowadzeniu stanu wojennego. Krytycyzm, zwykle przesadny i niesprawiedliwy, brał się z fałszywych przypuszczeń, że po 13 grudnia Kościół mógłby zająć stanowisko identyczne z „Solidarnością". Nie było to ani możliwe, ani potrzebne. Prawdopodobnie Kościół zrobił maksimum tego, co mógł, a z pewnością więcej niż jakiegokolwiek Kościół poddany totalitarnej presji. Wspominając niezręczności obecne w wypowiedziach kościelnych dostojników, nie godzi się zapominać o dobrodziejstwach Kościoła wobec ludzi „Solidarności". I pamiętać też należy, że to kościelne mury – w ramach duszpasterstw, tygodni kultury chrześcijańskiej, czasopism katolickich – przygarnęły intelektualistów zepchniętych w niebyt przez wprowadzenie stanu wojennego.

Wszelako nie uchyla to żadnego z papieskich pytań. Czy Kościół odpowiada w pełni na zaufanie tych ludzi? Czy znalazł język, który trafił do ich umysłów i serc?

Zapewne każdy z ludzi Kościoła powinien osobiście odpowiedzieć na te pytania. Wszelako laicki intelektualista winien również odpowiedzieć i na inne pytanie: czy zasłużył na zaufanie ludzi Kościoła? Na tak postawione pytanie nie znajduje on jednak

klarownej odpowiedzi w wypowiedziach Kościoła. Bywał zapraszany na spotkania do najbardziej znanych duszpasterstw. Pisywał w najbardziej prominentnych katolickich pismach. A jednocześnie wciąż gdzieś dawano mu do zrozumienia, jak bardzo mętne są jego intencje i przekonania.

A może nie istnieje jedna odpowiedź Kościoła na to pytanie?

Dotykamy spraw delikatnych. W Polsce nie rozmawia się publicznie o Kościele. Kościół wyjęty jest spod normalnej krytycznej refleksji. Ma to swoje historyczne i polityczne uzasadnienie, ale ma i negatywne konsekwencje. Spór bywa zastąpiony pomówieniem, a refleksja – plotką.

A przecież podstawowym warunkiem wspólnoty zbudowanej na pluralizmie i dialogu – a tak pojmujemy istotę wspólnoty kulturowej Europy – jest zdolność do krytycznego oglądu własnej przeszłości i teraźniejszości. Taki jest warunek zaufania, rozmowy prowadzonej w zrozumiałym języku, organizowania przestrzeni wolności. Myślę, że budowę takiej przestrzeni wszyscy mamy jeszcze przed sobą. I to nie dlatego, że zdarzył się fenomen kościoła przy ul. Zagórnej czy też ZP „Grunwald”, lecz dlatego, że ciągle nie potrafimy o tych fenomenach rozmawiać w spokoju i bez kompleksów; że wciąż nie umiemy poddać tych zjawisk patologicznych rzeczowej i chłodnej analizie. Nie umiemy również spokojnie analizować źródeł wzajemnej nieufności, a jak bez tego budować obszary wolności i zaufania?

## VI

Pisał Czesław Miłosz w *Traktacie poetyckim*:

Sięgnijmy głębiej. Był czas wielkiej schizmy.  
„Bóg i Ojczyzna” już nęcić przestało.  
I nienawidził poeta ulana  
Mocniej niż niegdyś bohema filistra.  
Drwił ze sztandarów, gardził amarantem  
I słuwał, kiedy wrzeszcząc, rój młodzieży  
Conił z laskami za kupcem w chałacie.

Ten sugestywny obraz wypada stałe mieć przed oczyma, by zrozumieć krytyczny dystans laickiego inteligenta wobec syndromu „Bóg-Honor-Ojczyzna”.

Wszelako warto też pamiętać o innych obrazach, tych z ostatnich lat, kiedy „Bóg i Ojczyzna” znów nęcić zaczęło. To o tym czasie i o nas pisała Julia Hartwig:

Lekkomyślni dziedzice powagi  
nie wyświęceni krzewiciele nadziei  
spadkobiercy ojczyściej retoryki  
w której mieścimy się jak ulal  
choć jeszcze wczoraj  
wydawała się nam jakby przyciasna.

Coś się zmieniło. Na naszych oczach nabrały nowego sensu dawne gesty narodowego rytuału, tylekroć ośmieszane przez nieśmaczny patos oficjalnych akademii i doszczętnie już wyszydzone przez polskich satyryków. Te gesty zaczęły znaczyć: człowiek-godność-solidarność. Bowiem „Bóg-Honor-Ojczyzna” zostały ściągnięte z wysokich trybun i uroczystych obchodów, zostały oplute i zepchnięte do podziemi, ścigane, internowane, więzione i mordowane. Przestały być potężne mocą urzędowej sankcji, ale i przestały być śmieszne. Przestały być symbolem anachronizmu i prowincji, stały się specyficzną drogą do pytań nowoczesnych i uniwersalnych. Tradycyjny Zbaraż przekształcił się w Oran z *Dżumy Alberta Camusa*.

Te symbole stały się siłą bezsilnych, bronią bezbronnych, nadzieją zniewolonych. Utraciły swój ton triumfalistyczny i wymiar partykularny. Przestały być gestem odtrącenia odmiennych – stały się zaproszeniem do wspólnoty odtrąconych i prześladowanych. Oby takimi pozostały na zawsze.

Bowiem dla laickiego intelektualisty wtedy tylko, w słabości i podeptaniu, „Bóg-Honor-Ojczyzna” przestają być akcesem do zbiorowego konformizmu, stają się formułą moralnej i intelektualnej solidarności ze światem skrzywdzonych i poniżonych. Bowiem laicki intelektualista – powtórzmy – musi strzec swego błażeńskiego statusu, co znaczy, że musi zachować zdolność do szyderstwa z powszechnie obowiązujących mitologii i zmysł krytyki prawd uchodzących za niewzruszone.

Atoli postawa błażna nie jest postawą spektatora. Nasz błażen – jeśli ma być błażnem, a nie pajacem – musi mieć także pasję proroka. Zaś być prorokiem – powiadał Martin Buber – to tyle, co

„nie mając władzy stawić czoła możnym i przypominać im o ich odpowiedzialności. (...) Bezbronnie stanięcie przed władzą, od której żąda się rozrachunku – oto część losu proroka”. A „kiedy prorok poczuje się jak ktoś, kto się ujrzy otoczony przez dzikie bestie, to nie może wycofać się na pozycje milczącego widza”. Musi dalej głosić swoje posłanie. Gdy zaś zażądają odeń kapitulacji, musi ocalić w sobie ten wewnętrzny Herbertowski imperatyw:

który każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo  
choćby za to miał spaść bezcenny kapitał ciała  
głowa.

Ks. Józef Tischner, kończąc swą książkę *Polski kształt dialogu*, zanotował na temat laickiego intelektualisty taką oto refleksję: „Może to jeden z ostatnich już »błędnych rycerzy« socjalizmu odkrywa, że Kościół – ongiś przedmiot ataków jego i jego towarzyszy – to nie żadna »forpoczta imperializmu«, lecz zwyczajny wiatrak, mający małą dla tych, co nie samym chlebem żyją? Cokolwiek by się rzekło, kres walki z wiatrakami ma też swoje pozytywne znaczenie”.

Dziesięć lat minęło od czasu, gdy słowa te zostały napisane. Można mieć tylko nadzieję, że także ich autor odkrył, iż sekret tego „błędnego rycerstwa” nie sprowadza się do wojen z Kościołem. To raczej wysiłek wierności Camusowskiemu przekonaniu, że gdy za wypowiedzenie oczywistej prawdy trzeba płacić wysoką cenę, to najważniejszym wtedy nie jest znać tę cenę, ale wiedzieć, czy rzeczywiście prawda jest prawdą.

Myślę, że tutaj właśnie rozpościera się owa przestrzeń wolności, o której mówił papież i owo „przymierze z Kościołem, odnalezione na tym właśnie etapie dziejów”. Fundamentem tej przestrzeni i przymierza jest zrozumienie tego, co papież nazwał „momentem Westerplatte”. „Jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można »zdezzeretować«. Wreszcie – jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba »utrzymać« i »obronić«; tak jak to Westerplatte; utrzymać i obronić w sobie i wokół siebie. Obronić – dla siebie i dla innych”.

O cóż tu idzie? Idzie o ocalenie w sobie tej wrażliwości, by zawsze zło nazywać złem, kłamstwo – kłamstwem, wynaturzenie

– wynaturzeniem; by nie „konstruować teorii dla usprawiedliwienia zła i nazywania zła dobrem”.

## VII

Mówiąc o „przymierzu” ludzi kultury z Kościołem, wyraził papież uznanie dla „szczególnego przymierza, jakie dokonało się u nas w ostatnich latach między twórcami kultury a ludźmi pracy”. Znamy imię tego przymierza – to „Solidarność”. To symboliczna scena zakończenia strajku w Stoczni Gdańskiej (maj 1988 r.); to pochodł opuszczających stocznice robotników prowadzony przez Lecha Wałęsę, któremu towarzyszyli ks. Henryk Jankowski i Tadeusz Mazowiecki. Oto i polskie przymierze: świat pracy-Kościół-ludzie kultury.

W papieskich homiliach zawarte było przeczcucie tego obrazu, tak jak zawarta w nich jest polska synteza współczesnej filozofii praw człowieka: jako przesłanie i jako zadanie.

Nie umiemy odpowiedzieć, czy jest to zadanie na naszą miarę. Wiemy natomiast z całą pewnością, że klucz tkwi w zdolności do połączenia w sobie „ducha Westerplatte” bez fanatyzmu z duchem porozumień sierpniowych, duchem kompromisu bez konformizmu i tchórzostwa. Od tego zależy los demokratycznego ładu w Polsce. Pragnę, by nasze dzisiejsze spotkanie wniosło coś istotnego w budowę tego ładu. O dwóch poziomach tego ładu niech mi wolno będzie powędzić słowami Czesława Miłosza: „Rysuje się teraz nowy sojusz, Kościół w Polsce ogniskuje w sobie wielkie energie postępu, a postępi nie może w tamtym ustroju oznaczać nic innego jak skuteczną obronę człowieka”.

Oto poziom pierwszy, elementarny. Spoglądając głębiej, powiedział Miłosz: „Wprowadzając podziały, łatwo prześlępić to, co ludzi łączy, nie dzieli. Jakże często człowiek wierzący znajduje dzisiaj niewierzących pośród osób sobie najbliższych i na odwrót, niewierzący musi odnieść się jakoś do wiary religijnej w swoim bezpośrednim otoczeniu. I myślę, że jedni i drudzy należą do tej samej rodziny umysłów, jeżeli jednoczą się w swoim szacunku dla wielkiej tajemnicy istnienia świata i człowieka, chowając w sercu pokorny podziw dla tego labiryntu sprzeczności, jakim jest nasze życie, wyrabiając w sobie dar uwagi, która, jeżeli osiąga

dostateczną intensywność, jest, jak mówi Simone Weil, modlitwą. Jakkolwiek siebie nazywają, wszyscy oni są przyjaciółmi człowieka, bo ich postawa szacunku jest odwrotnością pogardy, z jaką odnoszą się do świata i człowieka zadowoleni z siebie wyznawcy teorii i doktryn na wszystko mających odpowiedź”.

**Adam Michnik**

*Tekst wprowadzenia do dyskusji (drugim referentem był ks. prof. Józef Tischner) zorganizowanej przez Komisję Episkopatu dla Dialogu z Niewierzącymi. Dyskusję prowadził bp Kazimierz Majdański, brał w niej udział kard. Paul Poupard.*

**NAKŁADEM ANEKSU**

**Tadeusz Nyczek**

**EMIGRANCI**

W TOMIE: Bach na dachu Łubianki (Aleksander Wat);

Od egzystencji do esencji (Jan Kott); Obrona tradycji

(Sławomir Mrożek); Kot w mokrym ogrodzie

(Adam Zagajewski); Strony obcości (Stanisław Barańczak).

Str. 152

Cena: £4,00 - \$10,00

**Stanisław Barańczak**

**PRZED I PO**

Szkice o poezji krajowej

przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych

Str. 176

Cena: £4,00 - \$10,00

**Adam Zagajewski**

**JECHAĆ DO LWOWA**

wiersze z ilustracjami JÓZEFA CZAPSKIEGO

Str. 80

Cena: £3,00 - \$7,50

# wywiad aneksu

## MIĘDZY CUDEM A WULKANEM

Rozmowa z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim

**RENATA GORCZYŃSKA:** *W kwietniu 1988 roku na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim odbyła się sesja naukowa pod hasłem „Pół wieku twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego”, z udziałem między innymi Zdzisława Kudelskiego, Adama Michnika, Andrzeja Drawicza, Artura Międzyrzeckiego, Włodzimierza Boleckiego. Była to bodaj druga publiczna dyskusja w Polsce poświęcona panu twórczości. Przypuszczalnie zna pan jej przebieg. Co pana w tych referatach zainteresowało, a co zirykowało? Czy rozpoznał pan w nich siebie? Gdyby poproszono pana o zabranie głosu na koniec tej sesji, co by pan pragnął zakomunikować jej uczestnikom?*

**GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI:** *Przebieg tej sesji znam z opowiadań i listów niektórych jej uczestników oraz ze sprawozdań Dybciaka w Tygodniku Powszechnym. Więc nie mam prawa wydać jakiegś ogólnej oceny. Z tekstów znam tylko jeden – Boleckiego. Bardzo inteligentny, subtelny; podobał mi się. Mówiono mi też o wystąpieniu Artura Międzyrzeckiego, mojego towarzysza broni z II Korpusu, o referacie Zdzisława Kudelskiego...*

*...który przygotowuje pracę doktorską o pana twórczości...*

**Tak:** *Najwięcej słyszałem kontrowersyjnych uwag o wystąpieniach Adama Michnika i Marcina Króla. Nie chcę jednak wypo-*



wiadać się o nich, bo teksty znam z opowiadań. Wiem, że Michnik wygłosił prelekcję z pewnymi akcentami polemicznymi pod moim adresem, całkowicie uprawnionymi i ciekawymi.

*O ile wiem, jest plan wydania tych referatów w książce...*

Tak. Dlatego chcę wstrzymać się z oceną. A co do Marcina Króla, to słyszałem, że jego wystąpienie niektórzy określili nawet jako agresywne. Na podstawie relacji sędzę, że powiedział wiele rzeczy bałamutnych.

*A zatem, gdyby był pan na tej sesji w Lublinie, co by pan powiedział uczestnikom?*

Gdybym tam był i słuchał wszystkich dyskusji i referatów, pewnie bym wystąpił z dłuższą wypowiedzią; a teraz mogę tylko powiedzieć, że jestem niezmiernie rad i wdzięczny organizatorom sesji.

*Pana twórczość zostaje w Polsce udostępniona w pierwszym obiegu...*

Tak. Wyszedł właśnie mój wybór opowiadań nakładem poznańskiego wydawnictwa dominikanów „W Drodze”, z posłowiem Kudelskiego, który się najpilniej zajmuje moim pisarstwem. Składają się na ten wybór dwa opowiadania ze *Skrzydeł ołtarza* – „Wieża” i „Pietà dell'isola”, „Książę niezlomny”, „Drugie przyjście”, „Most”, „Gasnący Antychryst” – opowiadanie o Nietzschem w Turynie, „Gruzy”, „Ugotowane z Todi”, „Cud” i „Święty smok”. Istnieje jeszcze szansa wydania drugiego tomu z pozostałymi opowiadaniem i z wyborem esejów.

*A co z oficjalnym wydaniem w Polsce Dziennika pisanego nocą?*

No, były już propozycje.

*Zdzisław Kudelski, wspomniany już kilkakrotnie w naszej rozmowie, w szkicu „O pielgrzymowaniu Herlinga-Grudzińskiego”*

zauważył pewien paradoks: chociaż emigracja w pana dziele jest koniecznością tragiczną, to jednak należy pan do tych nielicznych pisarzy-emigracyjnych, którzy wrosli w miejsce swojego wygnania. Myślę tu o dwu zarazem sprawach: o pana obecności w piśmiennictwie włoskim, z czego polscy odbiorcy może nie zawsze w pełni zdają sobie sprawę, i o silnych motywach włoskich w pana twórczości. Wiele pana opowiadań jest tematycznie związanych z Włochami, a szczególnie z okolicami Neapolu. O mieście, w którym mieszka pan od 1955 roku, napisał pan w Dzienniku, że jest – cytuję – „nieuleczalnie obce, zaakceptowane po wierzchu, w głębi nienawistne”... Kilka lat wcześniej zapisał pan także w Dzienniku inaczej: „Wierzę w egzystencję krajów mitopłodnych”. Czyli opowiadania włoskie byłyby raczej dowodem na prawdziwość tego drugiego stwierdzenia...

Myślę, że tak. Mój stosunek do Włoch i do miasta w którym mieszkam, Neapolu, przechodził pewne fazy. Początkowo było mi tam dosyć trudno, a potem do Neapolu przywykłem, a nawet mimo różnych oporów polubiłem to miasto. Włochy to dla mnie nie tylko Neapol, lecz i częste podróże. I muszę powiedzieć, że czuje się tam dobrze. W końcu zanim przyjechałem do Włoch, mieszkalem w Londynie, potem trzy lata w Monachium, mam więc pewne doświadczenie. Pobyt w Anglii i w Niemczech wspominam dosyć niechętnie, Włochy są krajem, gdzie się czuję jako emigrant dobrze. To się łączy z przywiązaniem do sztuki włoskiej, do krajobrazu, do przyjaciół. Z początku miałem ich niewiele ze względów politycznych. Pierwsze lata były trudne, bo życie kulturalne było zdominowane przez komunistów i uważano mnie po trosze za trędowatego. To się zmieniło. Niedawno dostałem wydaną we Włoszech antologię polskich opowiadań od 45 roku do dnia dzisiejszego, do której włączono też moje opowiadanie „Cud”. Ciekawe, że ten tom, starannie zresztą opracowany, wyszedł nakładem oficjalnego wydawnictwa komunistycznego. Kilka lat temu byłoby to nie do pomyslenia.

*Józef Wittlin napisał o jednym z pana opowiadań, bodaj o „Wieźy”, że robi wrażenie jakby zostało tłumaczone z języka włoskiego. Czy pan uważa, że pisze pan o Włoszech jak rodowity Włoch?*

Wydaje mi się, że piszę zupełnie inaczej. Jeżeli już mówimy o problemach językowych, to muszę powiedzieć, że jakkolwiek potrafię napisać po włosku artykuł i przez dłuższy okres współpracowałem z periodykami i dziennikami we Włoszech, to jednak sam język nie jest mi bardzo bliski, nie czuję go w tym stopniu jak na przykład Kot Jeleński czuł francuski. Wykonywałem te zamówienia dziennikarskie z dużą dozą niechęci, traktując je jako źródło dochodów. Po każdym artykule czułem się tak, jakby kamień spadł mi z serca.

*A kto tłumaczy na włoski pana twórczość literacką?*

Różni tłumacze. *Inny świat* wyszedł wtedy, kiedy było jeszcze niewiele tłumaczy włoskich-polonistów, w przekładzie z języka angielskiego. Opowiadania wyszły w tomie przygotowanym przez dwóch tłumaczy. Szkice o literaturze rosyjskiej, tomik *Od Gorkiego do Pasternaka*, tłumaczyłem sam, do spółki z moją żoną, Włoszką. Teraz sytuacja zmieniła się, bo we Włoszech jest dużo młodych polonistów, dobrze znających język, więc tych problemów jakie miałem na początku nie ma, należą chyba do przeszłości. Istnieje też spore zainteresowanie literaturą polską.

*A Dziennik pisany nocą – czy jest znany czytelnikowi włoskiemu?*

Nie, ale może coś się ruszy, w związku z wydaniem wkrótce we Francji wyboru z *Dziennika*, w przekładzie Teresy Dzeduszyckiej i ze wstępem Krzysztofa Pomiana. Tom francuski przyspieszy może publikacje w innych językach.

*Sam pan robił wybór?*

Najpierw robiłem wybór z Kotem Jeleńskim, po jego śmierci – już sam. Jest to wybór z trzech pierwszych tomów, do 1985 roku. Pozostałe teksty ogłaszałem i ogłaszam w *Kulturze*, jak i poprzednie zresztą. Jest ich sporo, na pewno złożyłyby się na osobny tom.

*Właśnie, kiedy możemy się spodziewać czwartego tomu Dziennika?*

Instytut Literacki ma nawał rękopisów, więc chwilowo nic nie mogę powiedzieć.

*Zastanawiam się, czy można wykryć w pana opowiadaniach pewien wspólny rys. Skrajnie realistyczny opis zamienia się w przypowieść, jak pan sam zauważył w odniesieniu do jednej ze swych ulubionych książek – Moby Dicka Melville'a. Punktem wyjścia jest na ogół autentyczne wydarzenie, zapis jakby kronikarski. Człowiek jest dla pana do końca niepojęty i zawsze nosi w sobie jakąś tajemnicę. Celowo, jak przypuszczam, odrzucił pan rolę narratora wszytkowiedzącego. Pana opowiadania nie są rozwiklane do końca, pozostają zagadką. Niekiedy, jak w „Drugim przyjsciu”, czytelnik nie zna nawet kluczowego słowa, które pomogłoby zrozumieć przesłanie. Są te opowiadania studiami skrajnych doświadczeń: kataklizmów, nieuleczalnej choroby, ostatecznej samotności. Można by je nazwać studiami milczenia, bo jak pan zauważył, milczenie jest najgodniejszym wyrazem nieszczęścia. Pan sobie wyznaczył bardzo trudne zadanie: pisanie na samej granicy milczenia i potrzeby komunikowania się z innymi. Skąd ten imperatyw opisywania rzeczy ostatecznych?*

Bo uważam je dla pisarza za najważniejsze. Pisarze, których lubię, do których przywiązuję wagę, też to samo robią. Natomiast to, co pani opisała jako mój typ opowiadań jest trafne, ściśle dotyczy moich osobistych upodobań, jakkolwiek nieoryginalnych, nie wyjątkowych. Gdy w opowiadaniu nie ma tego żdźbła zagadkowości, do mnie osobiście ono nie przemawia. Dla przykładu, ogromnie lubię niektóre opowiadania Henry Jamesa – te właśnie, które są zagadkowe, jak „Obrót śruhy” czy „Papiery Asperna” lub „Ołtarz umarłych”. Istnieje mnóstwo opowiadań, czasem doskonałych, które nie wykraczają poza opis problemów obyczajowych, dobrze podpatrzonych, ale pozbawionych pewnej zagadkowości, tajemnicy.

*W Dzienniku pisze pan w pewnym momencie, że ceni pan sobie „staroświecki” sposób narracji. Nawiasem mówiąc, zauważyłam w wielu pana tekstach motyw dogasającej świecy.*

Tak, to prawda. Ale jeszcze wrócę do opowiadań zagadkowych. Wydaje mi się, że łatwo wytłumaczyć, o co chodzi na przykładzie nowelistyki Czechowa. Jest ogromna różnica między takim opowiadaniem jak powiedzmy „Dama z pieskiem” – i to jest jego wielki dar, pisać o rzeczach niesłychanie prostych – a takim opowiadaniem jak „Czarny mnich”, wspaniałym, ale nietypowym dla Czechowa, bo zagadkowym. To sprawa moich upodobań.

*Czy pan mógłby wymienić nazwiska pisarzy, którzy pana zdaniem stworzyli kanon opowiadania? U jakich pisarzy pan w młodości terminował?*

Mógłbym wskazać raczej konkretne utwory. Na przykład, trzy opowiadania Melville'a, które podziwiam to „Skryba Bartleby”, „Billy Bud”, „Benito Cereno”. Melville pisząc o rzeczach ostatecznych nie robił tego w sposób oczywisty i klarowny, ale to jest cecha niektórych pisarzy, albo cecha wielkich pisarzy w niektórych opowiadaniach. Gdy się myśli o Lwie Tolstoj, to pomiędzy rozmaitymi jego opowiadaniem a „Śmiercią Iwana Iljicza” istnieje zasadnicza różnica. „Śmierć Iwana Iljicza”, dla mnie genialne opowiadanie, pozostaje bardzo tajemnicze, mimo że wszystko rozumiemy, stworzone zupełnie realistycznymi środkami. Zdanie umierającego „Śmierci nie ma” to jest coś niesamowitego! Tolstoj opisuje umieranie, reakcje żony i dzieci, i nagle przechodzi w inny wymiar.

*W Dzienniku odnotował pan, że ból jest fundamentem ludzkiej świadomości. Pragnął mi pan nadać głębszy sens. W pana twórczości powracają rozważania nad Męką i Zmartwychwstaniem. Weźmy jako konkretny przykład Skrzydła ołtarza. Zgodnie z motem całości, pierwsze opowiadanie traktowałoby o złożeniu do grobu, i to złożeniu za życia, bo tak można sobie wyobrazić los trędownego, bohatera tej opowieści. Opowiadanie drugie, „Pieta*

*dell'Isola*", byłoby opowieścią o zmartwychwstaniu. Ale to zmartwychwstanie czy powrót do świadomości po latach wydaje się być jeszcze gorsze od męki Sebastiana. Narrator mówi: „Teraz miało się dopiero zacząć jego prawdziwe cierpienie”. W autokomentarzu do opowiadania „Wieża” napisał pan w Dzienniku, że szukał pan na bohatera człowieka z raną nie do zagojenia, z rodzajem próżni. Ten człowiek w końcu akceptuje swój los. Można by z lektury tych dwu opowiadań wyciągnąć skrajnie pesymistyczne wnioski, ale chyba nie o to panu chodziło. Co ma być zatem tą nie nazwaną, nie opisaną, centralną częścią ołtarza? Co może być naszą nadzieją?

Myślę, że centralną częścią ołtarza, o której się nie mówi w opowiadaniach, jest po prostu Ukrzyżowanie, jak w wielu ołtarzach tego typu. Ma pani rację, że mnie fascynuje ból i cierpienie. Uświadomiłem sobie, jakkolwiek nie widać tego tak wyraźnie, że jest to sprawa, która mnie fascynowała w *Dzienniku Gombrowicza* – kwestia bólu, Gombrowicz pisał o tym nawet *expressis verbis*. I niewątpliwie jest tak, że jeśli chodzi o opowiadanie „Pietà dell'Isola”, to w momencie, gdy Sebastiano odzyskuje świadomość (i pada moje zdanie), zaczęło się jego prawdziwe cierpienie. Oznacza to, że nie ma końca cierpieniu, nawet gdy coś kończy się dobrze. Dlaczego wybrałem trędownatego z Austy? No, bo to jest zupełnie wyjątkowy casus. Jak pani wie z opowiadania, najpierw opisał go de Maistre, w sposób bardzo suchy i przejmujący. I to rzeczywiście był casus graniczny, czyli to, co mnie najbardziej interesuje: opis absolutnej samotności. Ta historia jest połączona z opowieścią o starym nauczycielu w miejscowości podalpejskiej. Zresztą najpierw usłyszałem tę drugą historię, nauczyciela w małej wiosce, a potem natrafiłem na opowieść de Maistre'a.

*Ale tragedia, która wydarzyła się w rodzinie nauczyciela, jest zbieżna z historią Benedetta Crocego?*

Do pewnego stopnia. Croce jako mały chłopiec był z rodzicami i z siostrą na Ischii w miejscowości Casamicciola, w momencie trzęsienia ziemi; on jedyny się z rodziny uratował. Wygrzebano go spod gruzów; do końca życia miał bezwładną rękę. Jak pani wie, trzęsienie ziemi jest w okolicach, gdzie mieszkani, wieczną groźbą.

Opisuję własne przeżycia po jednym z nich w opowiadaniu „Gruzy”.

*Tak, i przypominam sobie zdanie ojca rodziny, z której ocalało tylko jedno dziecko: „Chodź, Boga nie ma”. Ale gdzie nadzieja, zapytałam raz jeszcze.*

Ja, szczerze mówiąc, nie lubię czarno-białych rozróżnień, w rodzaju optymizm-pesymizm, nadzieja-rozpacza. Wspomniałem o tym w *Dzienniku* pisząc o Kafce, którego podziwiam. Powiada Kafka: „W teorii istnieje możliwość ziemskiego doskonałego szczęścia: wierzyć w to, co jest zdecydowanie boskie i nie dążyć do jego osiągnięcia”. Na pytanie Maxa Broda, czy poza światem, który znamy, egzystuje jakaś nadzieja, Kafka odpowiedział: „Ogromna, bezgraniczna nadzieja, ale nie dla nas”. Pisał do swojej ukochanej, Mileny: „Nikt nie śpiewa tak czysto jak ci, którzy znajdują się w najgłębszym piekle. To, co bierzemy za śpiew aniołów, jest ich śpiewem”. To mi się ogromnie podoba. Kafka miał niesłychanie ostre poczucie, że nie ma nadziei w konwencjonalnym sensie tego słowa. W moim opowiadaniu o pielgrzymie świętokrzyskim też jest pewna nadzieja: posuwa się on pod górę ciągle naprzód o ziarnko maku. Moment, w którym nastąpi wybuch i koniec świata, jest niesłychanie odległy. Lubię dwa symboliczne skrótory, którymi się często posługuję. Księgę Hioba i mit Syzyfa, może nawet częściej Syzyfa niż Hioba.

*Chciałam o to pana zapytać, ale przedtem dodam, że krytycy zwrócili uwagę, iż pana postacie pod wpływem krańcowych doświadczeń kamienieją. Jest to jedno ze słów-kluczy, jakie często pojawiają się w pana prozie. I właśnie tą symboliczną reprezentacją jest ów pielgrzym – kamienna figura z Gór Świętokrzyskich, zapamiętana z dzieciństwa i lat młodości. Przypomina pan, że wedle ludowej legendy, gdy dotrze on na wierzchołek góry, nastąpi w huku koniec świata. Odnoszę wrażenie, być może mylnie, że w tym oczekiwaniu na koniec świata kryje się również ulga, z tego powodu, że uwalnia to nas od powtarzalności cierpienia. I przy okazji chciałam zadać następujące pytanie, które może zabrzmieć dość topornie, ale zaryzykuję: Czy kluczem do większości pana*

*opowiadał jest Księga Hioba i mit Syzyfa? Pan pisząc o Camusie podkreślił, że należy sobie wyobrazić Syzyfa szczęśliwego. Ale jak to sobie wyobrazić?*

Tak jak to ujął Camus i ja tak to traktuję – w końcu legendę o pielgrzymie poznałem jako młody chłopiec i zapaniętałem ją na całe życie – najistotniejsza jest droga, o czym też mówi Kafka. Droga jest często drogą ciemniową, ale człowiek się spełnia właściwie w drodze. W przekonaniu, że istnieje jakiś określony cel. I wierzę we wspaniałe zdanie Camusa, że można sobie wyobrazić Syzyfa szczęśliwego. Walczy z losem, ma poczucie bezużyteczności swego działania, ale jednocześnie jest świadomy, że bez tego człowiek nie jest człowiekiem. A jeśli chodzi o Hioba, co często wykorzystuję w moim pisarstwie, jest to przypowieść o tym, że człowiek zna tylko część rzeczywistości; w całości zna ją tylko Bóg. Szalenie mnie ucieszyło, gdy w piśmie amerykańskim *Partisan Review* przeczytałem niedawną rozmowę z Miłoszem; osoba prowadząca rozmowę zapytała, czy tak właśnie należy interpretować Hioba. I Miłosz, pamiętajmy, tłumacz tej księgi na polski, powiedział: dokładnie tak. Więc to są motywy, które ciągle wracają, a operowanie pojęciami ekstremalnymi w rodzaju nadzieja-rozpacz szalenie moim zdaniem zuboża rzeczywistość.

*A jak jest z motywem końca świata w pana opowiadaniach, końca życia ludzkiego w huku? To się w pańskich opowiadaniach kilkakrotnie pojawia...*

To oznacza po prostu jedną rzecz: że w momencie, gdy człowiek dochodzi do celu, gdy kamienny pielgrzym wchodzi na szczyt Gór Świętokrzyskich, wszystko się kończy. W chwili, gdy następuje pełne osiągnięcie celu, w unownej konwencji tej legendy, właściwie nie ma więcej świata.

*Ale czy pan zaprotestuje, gdy zapytam raz jeszcze, że odbieram jako rodzaj ulgi myśl o końcu świata?*

Po prostu nie wierzę, aby można było dojść do jakiegoś celu. O to mi chodzi.



„Trójstrumień historii, filozofii, literatury”. Tym cytatem z Dziennika pisanego nocą dotyczącym twórczości Stendhala można by określić i pana twórczość. Pan uporczywie wraca do niektórych pisarzy, toczy z nimi spory. Myślę o Dostojewskim, Camusie, Simone Weil, Conradzie, Ignazio Silonem. W pana prozie istnieje wiele planów czasowych, jakby wyraz szukania związków przyczynowych między wydarzeniami z dziś i z odległej przeszłości. Czy można by tę potrzebę ująć następująco: odpowiedzieć sobie i innym, na podstawie świadectw ludzi i przemyśleń własnych, jak to się stało, że doszło do takiego świata, na jakim żyjemy?

To bardzo trafne i nawet nie powiedziałbym, że doszliśmy do jakiegoś świata, lecz że żyjemy w takim świecie. Ja bardzo dobrze czuję się w roli kronikarza. Użyłem kiedyś formułki, że jestem postacią stojącą w rogu obruzu. Stąd też technika, jaką stosuję. Bardzo mnie zapładnia na przykład stara legenda czy stary zapis kronikarski, bardziej niż coś nowego. Nie mam tego typu wyobraźni nowelistycznej, jaką mają rasowi, urodzeni prozaicy – którzy wymyślają wszystko. Dla mnie zapłonem jest zawsze jakiś zapis legendarny czy zabytek. I przedmiot.

Pana twórczość wydaje się czymś innym na powierzchni, a czymś innym po wnikliwej lekturze. Często pana biorą za mizantropa, moralistę, Katona niechętnego Zachodowi, a także zgorzkniałego krytyka literatury polskiej, bezwzględne sędziego. Pan się domaga od ludzi rzeczy prostych i wielkich: wierności wobec raz obranego kursu, odwagi wobec terroru, postępowania w zgodzie z imperatywem moralnym. Wyduje się czasem, że pan gardzi światem XX wieku, który jest w pana ujęciu „plugawym wiekiem ideologii”. A ideologia, jak pan tłumaczy, to nic innego jak patologia władzy i żądza władzy. A jednak w pana prozie istnieje silna identyfikacja ze skrzywdzonymi i z poniżonymi. Dlatego, jak pan napisał w Dzienniku, bardzo jest panu bliski etos socjalistyczny i ludzie pokroju Orwella, Silonego, Ciołkaszka. Silonego nazwał pan „chrześcijaninem bez Kościoła, socjalistą bez partii”. Czy można jednak wyobrazić sobie człowieka, który podolałby światu będąc sam?

Najpierw odpowiem na pierwszą część pani pytania. Epitety jakimi mnie określają, że jestem Katonem i tak dalej, są nieprawdziwe, lub co najmniej przesadne. Słowo „moralista” w stosunku do mnie jest wyjątkowo nadużywane. Uważam po prostu, że w życiu istnieje parę podstawowych i ważnych przekonań, których się człowiek trzyma, i tyle. Dlatego jest mi tak bliski ze starszych pisarzy Conrad, ale to nie żaden moralizm. Sprawiała mi niedawno przyjemność książka Marka Zielińskiego, której tytuł brzmi *Kilka niewzruszonych przekonań*; co jest cytatem z Silonego.

*Ale przy okazji sporu z Miłoszem na temat Znicwolonego unyślu pan napisał w Dzienniku, że ceni pan bardzo wysoko właśnie hierarchię moralną.*

Niewątpliwie tak jest. Słowo „moralista” ma trochę odcień ironiczno-pejoratywny. Jeśli ktoś ma wyczucie spraw moralnych i jest do nich przywiązany, to niekoniecznie oznacza „moralistę”. Mój spór z Miłoszem w gruncie rzeczy na tym właśnie polegał. Natomiast jeżeli chodzi o świat dwudziestego wieku, świat ideologii, plugawy świat ideologii, to chyba dosyć dużo już o nim wiemy, i ja rzeczywiście jestem o nim takiego zdania. Myślę, że naprawdę zbliżamy się do końca tego świata ideologii. Dwadzieścia parę lat temu Raymond Aron napisał książkę *Koniec wieku ideologii*. Wtedy to się może wydawało przedwczesne, ale dziś jest już oczywiste. Co się może ostać w świecie pozbawionym ideologii? Wspomniałem o tym, co pani w swoich pytaniach już uwzględniła, że istnieje coś takiego jak etos socjalistyczny. Niewątpliwie tak jest, ale zdaję sobie sprawę, że te wszystkie utopijne plany socjalistyczne nie mają żadnych podstaw, załamały się. Natomiast pozostał etos socjalistyczny, który polega na tym, że przywiązani są doń bardziej wrażliwi na krzywdę, na prześladowania nawet w codziennej praktyce. Ilekroć pragnę poruszyć sumienia na Zachodzie w sprawie Polski, to wiem, że łatwiej mi to będzie zrobić z włoskimi socjalistami niż z pravicowcami czy centrowcami. Wrażliwość taka była pewnie u podstaw tego, że ktoś kiedyś został socjalistą. I nawet jeśli od tego odszedł, jak Silone, który został socjalistą bez partii, to zachował dawne przekonania. Według mnie właściwie zostało już tylko to zjawisko – zjawisko etosu

socjalistycznego. Zupełnie wzruszający i nadzwyczajny był dla mnie Orwell, zwłaszcza w esicyście; na każdym kroku widać, że on się tego przede wszystkim trzymał.

*Pana bohaterem, jak sądzę, wcale nie jest człowiek bez skazy, lecz prometejski buntownik protestujący przeciwko dogmatom. Myślę na przykład o opowieści, jaką cytuje pan w Dzienniku, podanej za sycylijskim pisarzem Leonardem Sciascia o mnichu, który zabił swojego inkwizytora. Mnich jest gotów podporządkować się Kościołowi w zamian za darowanie mu życia, ale na koniec gorzko zauważa, że Bóg nie jest sprawiedliwy. Pamiętam następnie pana komentarz o miłości do człowieka, który potyka się, by się następnie wyprostować. Przyznam, że bardzo mnie to zdanie poruszyło. Przytaczam ten cytat, bo jaskrawo pokazuje, że traktowanie pana jako niezłomnego moralisty jest bardzo powierzchowne.*

Tak. Dla mnie książeczka Leonardo Sciascia jest jedną z najpiękniejszych, jakie on napisał. Uważam go za najciekawszego pisarza włoskiego, bo tam jest pokazane nadzwyczajne zderzenie dwóch – jak by to powiedzieć – wektorów. Z jednej strony jest heretyk, który z godnością broni swoich poglądów, lecz skazany na spalenie na stosie, załamuje się z miłości do życia. A kiedy nie chcą mu darować życia, odpowiada, że Bóg nie jest sprawiedliwy. I w tym epizodzie, w zakończeniu opowiadania, które nawiasem mówiąc jest wzięte ze starych kronik (stąd jest mi Sciascia tak bliski) i jest absolutnie wierne faktom, ten heretyk jak gdyby odzyskuje godność po swoim upadku, i to jest całkowicie zgodne z moim poglądem na życie w sensie potykania się i podnoszenia po upadku.

*Ten motyw jest bardzo wyraźny w opowiadaniu „Piętno”, poświęconym ostatnim dniom Szalamowa...*

...Właśnie.

*Chciałam jednakże wrócić do poprzedniego pytania, a mianowicie, czy pana zdaniem można sobie wyobrazić świat bez instytucji o załączkach totalnych?*

Prawdopodobnie nie i prawdopodobnie tak to będzie trwało. Przypominam pani, że książka doskonałego pisarza politycznego, Jean-François Revela, nosi tytuł *Pokusa totalitarna*. Ta pokusa będzie wiecznie trwała, ale jeśli konieczne, by byli ludzie, którzy się jej sprzeciwiają, w jakiś sposób z nią walczą. Zwłaszcza we współczesnym świecie, bardzo skomplikowanym, gdzie rządzący mają bardzo często ochotę wziąć całą władzę w swoje ręce i przemienić ustrój demokratyczny w ustrój bardziej autorytarny. Często nawet mają uzasadnienia z punktu widzenia czysto politycznego. Słowem, pokusa totalitarna będzie istnieć zawsze, ale muszą też istnieć ludzie, którzy się przeciw niej buntują.

*Chciałam zapytać teraz o nieco inną sprawę, a mianowicie jeden z wczesnych pana esejów, w tomie Żywi i martwi – pierwszej pana książce – powstał w szczególnym miejscu i w szczególnym czasie: między 5 a 7 maja 1944 roku, na stanowisku ogniowym podczas bitwy o Monte Cassino. Traktował on o sztuce podróżowania, będącej wyrazem przyjaźni ze światem. Wydaje się, że nadal odnajduje pan w krajobrazie właściwości terapeutyczne, szczególnie w pejzażach Toskanii i Umbrii, w harmonii natury i cywilizacji. Wszystko jest tam, jak pisał pan w Dzienniku, integralną całością. Zauważyłam, że ilekroć dochodzi pan w swoich rozważaniach dziennikowych do jakiejś sciany, do jakichś wielkich obolutości, to następny wpis często zaczyna się od opisu krajobrazu włoskiego. Czy pan się z tym zgadza, a jeśli tak, czy jest to zabieg świadomy?*

Czy jest świadomy czy nie, nie wiem, ale zauważyła to pani bardzo trafnie. Może pani pamiętać, że gdy o tym piszę, powołuję się na bardzo wczesne zeszyty Camusa z jego młodzieńczej podróży do Włoch. Camus w pewnym momencie powiada, że istnieje coś takiego jak leczenie się krajobrazem. Ja jestem absolutnie o tym przekonany i dlatego tak to w moim pisarstwie wygląda. Krajobraz Włoch, a szczególnie Umbrii, tak na mnie rzeczywiście działa. Krajobraz w wypadku Camusa i moim działa jak lekarstwo. Nie wiem czy to jest powszechne, ale opowiadałam o sobie.

*Pan jest bardzo wnikliwym znawcą dzieł sztuki. Opisy malarstwa i architektury stanowią stały element pana prozy. Pana inte-*

*resuje związek przedmiotu z człowiekiem. Przedmioty w pana twórczości żyją życiem własnym i też mają swoje tajemnice jak ludzie – wystarczy przypomnieć opowiadanie „Most”. Czy opisu przedmiotu uczył się pan od malarzy?*

Myszę, że w dużym stopniu tak, a przede wszystkim od malarzy holenderskich. Przywiązuję do tego ogromną wagę i wracam do punktu wyjścia naszej rozmowy. Właśnie u Holendrów widać zupełnie niezwykłą rzecz: w tych obrazach, które są obrazami srodowiska, jakichś przedmiotów na stole, w końcu przedmioty stają się bardzo tajemnicze, na skutek gry światła. Najbardziej niezwykły jest oczywiście Vermeer. Dzban mleka jest u niego niezwykły. Bardzo to lubię oglądać i w miarę możliwości opisywać. Jerzy Stempowski pisząc o mnie zauważył kiedyś, że we Włoszech istnieje coś takiego jak mowa murów, mowa kamieni. Jest mowa kamieni i mowa przedmiotów, stąd moja predylekcja do ich opisywania. By powrócić do porównania z malarstwem holenderskim, pragnę pokazać, że przedmioty są czymś więcej niż przedmiotami, są czymś ponad to, czym rzeczywiście są.

*Podobno prowadzi pan dziennik od 1955 roku, ale drukuje pan jego fragmenty od roku 1971, z tym że w edycji książkowej dodał pan na początku kilka wpisów z 1969 roku, o ile dobrze sobie przypominam. W pewnym miejscu podaje pan następujący, niedościgły ideał dziennika: „Przesuwa się w nim raz szybciej, raz wolniej, raz na scenie, raz w tle, historia spuszczonej z łańcucha, a w lewym dolnym rogu, wzorem niektórych malowideł renesansowych – miniatury, ledwie naszkicowany autoportret obserwatora i kronikarza”. Jak pan ocenia ewolucję swojego dziennika? Jest to do pewnego stopnia żywy organizm... Jakie wątki nasilają się w nim, jakie zanikają? I czy zgadza się pan z diagnozą Adama Michnika, że w trzecim tomie Dziennika pisanego nocą jakby słabnie pana reakcja na najważniejsze wydarzenia w Polsce?*

Ta formuła dziennika, którą przytoczył także Kot Jeleński w jednym ze swoich szkiców, jest mi rzeczywiście bardzo bliska. To nie jest efekciarskie porównanie. A jak oceniam przemiany Dziennika? No, niewątpliwie ewoluuje. Przede wszystkim pod

jednym względem, że o ile w pierwszych tomach pojawiły się niekiedy załączki nieśmiało opowiadań, to później występują już wbudowane w dziennik opowiadania samodzielne. Są one dla mnie częścią *Dziennika*, integralną częścią. A jeśli chodzi o moją reakcję na najważniejsze wydarzenia w Polsce, która według Michnika słabnie, to ma on rację, ale dzieje się tak z pewnego określonego powodu: wtedy, gdy ta reakcja była u mnie częstsza, głosy na ten temat w Polsce były o wiele słabsze. Teraz toczy się bezustanna dyskusja, czasem nawet męcząca, nie zawsze ma więc sens wtrącanie się do niej. W dawnych czasach były to rzeczy nowe, a przynajmniej nie powiedziane na głos czy nie napisane w kraju. Chcę się na te tematy wypowiadać w momentach naprawdę bardzo ważnych.

*Ja bym dodała, że pan kilkanaście lat temu był – jeśli tak mogę powiedzieć – zwierzęciem dużo bardziej politycznym. Teraz patrzy pan na świat z większym poczuciem dystansu, z większą potrzebą kontemplacji. Czy pan się zgodzi z taką opinią?*

Niewątpliwie jest i to, ale muszę dodać, że nigdy właściwie nie byłem zwierzęciem politycznym. Może to zabrzmia trochę za bardzo patetycznie, ale miałem zawsze poczucie, że to jest rodzaj służby, to znaczy, że nie możemy tego nie widzieć, nie możemy się tym nie zajmować. I stąd moje spory z kolegami po piórze w Polsce, którzy mi niekiedy wyrzucali, że za bardzo się pasjonuję polityką. Krytykowali mnie z pozycji, które można określić piękno duchowskimi. Ja znam parę zwierząt politycznych i wiem, co to znaczy – to jest naprawdę pasja. Ja natomiast mam poczucie, że należy się tym zajmować, bo los nas wszystkich, nie tylko Polaków, od tego zależy. A ci, którzy twierdzą z wyższością, że ich to nie interesuje, że to są sprawy polityków zawodowych, mówią nieprawdę. W Polsce ostatnio bardzo się zresztą zmieniło. Tak było kiedyś. W Polsce sytuacja wydawała się tak beznadziejna, że szukało się ucieczki od polityki.

*Pan się poniekąd czuje zwolniony ze służby czynnej?*

Tak, do pewnego stopnia swoje zrobiłem.

*Chciałam zapytać o co innego: biorąc pod uwagę pana doświadczenia osobiste, gulagu, nie ma pan nienawistnego stosunku do Rosji. Nie odczuwam w pana piśmarstwie egzorcyzmowania, na przykład z poczucia zemsty. Ostrzega pan między innymi przed niebezpieczną tendencją do demonizowania Rosjan. Jak pan doszedł do takiego stanowiska, co o tym zdecydowało? Lektury? Jakieś konkretne przeżycie? Pan wspomina o odkrywaniu głosu Rosji w czasie wędrówki spod Archangielska zimą 42 roku...*

Dla mnie bardzo ważny był pobyt w obozie. To nie był obóz polski. Miałem przyjaciół – i to bardzo bliskich – Rosjan. Nawet mnie drażniło, że niektórzy więźniowie-Polacy traktowali Rosjan jako coś zupełnie innego. Skoro cierpią, to dobrze, bo to jest ich kraj, dobrze im tak. Pod tym względem był mi bardzo bliski Czap-ski i moja przyjaźń z nim zaczęła się, gdy byłem już w wojsku i mieliśmy taki sam pogląd, ale to było bardzo rzadkie. Tutaj powiem, że sporo czytelników polskich *Innego świata*, ceniąc tę książkę, ma jednocześnie do mnie lekką pretensję, że ja tych Rosjan życzliwie i przyjaźnie traktuję. Zatem to jest związane z moimi doświadczeniami osobistymi. Drugi punkt ważny to – jak gdzieś napisałem – jestem głęboko przekonany, a ostatnio jeszcze bardziej, że los nasz rzeczywiście zależy od tego, co się będzie działo w Rosji. Musimy zatem przykładać do tego wielką wagę. Pani wspomina o mojej podróży z obozu do wojska. Istotnie, tam pękła pokrywa w tym sensie, że ci milczący Rosjanie czy ludzie sowieccy, jak się ich często określa, nagle przemówili, bo to był okres, gdy Niemcy rzeczywiście szli naprzód i wszystko trzeszczało. Pamiętam, że w czasie mojej wędrówki do wojska polskiego miałem poczucie wręcz fizycznego trzeszczenia. Co oni mówili, czy to było przyjemne czy nie, to sprawa zupełnie drugorzędna. Właśnie niedawno postanowiłem napisać niewielkie opowiadanie na ten temat. Wydaje mi się to niesłychanie ważne wobec wypadków, które dzieją się w Związku Sowieckim. Więc to jest ten drugi punkt. I wreszcie po trzecie, co bardzo dla mnie ważne, po prostu nie wierzę w niezmiennność narodów. Uwielbiając Conrada, napisałem kiedyś szkic „W oczach Conrada”...

*Tak, o powieści „W oczach Zachodu”...*

Właśnie. Bo Conrad stał na stanowisku, że jak tygrys nie zmienia swoich pasków czy lampart cętek, tak narody się nie zmieniają. To jest niesprawiedliwe. Nie ma takiej zasady i można pokazać na przykładzie każdego narodu, jak to wyglądało. Sam naród angielski bardzo się zmienił i Conrad, gdyby go zobaczył dzisiaj, byłby wieloma jego cechami zdumiony, nawet przerażony. Nie należy zapominać, jacy Niemcy byli w okresie hitleryzmu i jacy są dzisiaj. Ponieważ mieszkam we Włoszech, wiem, jacy byli Włosi w okresie faszyzmu, bo widywałem rozmaite filmy dokumentalne z tych czasów. Wydaje się niewiarygodne, żeby naród z natury sceptyczny po prostu oszalał. Ale to nie znaczy, że oszalał na zawsze.

*Pan wspominał w swoim eseju, że losy Europy środkowej zależą od przemian w samej Rosji – tak się pan wyraził w zbiorze Upiory rewolucji, wydanym w 1969 roku. Czy z tego powodu tak bacznie zajmuje się pan obserwowaniem tego kraju? Gdyby przyszłość Rosji nie rzutowała tak bardzo na losy Europy wschodniej, byłby pan nią również do pewnego stopnia zafascynowany?*

Chyba powinienem odpowiedzieć twierdząco na jedno i drugie pytanie. Odczuwam rzeczywiście pewną fascynację literaturą rosyjską, ale przywiązując wielką wagę i do tego pierwszego punktu, to znaczy uważam, że nic się nie zmieni w naszej sytuacji, albo zmieni się bardzo niewiele, jeśli nie nastąpią bardzo poważne przemiany w tym, co niektórzy nazywają ostatnim imperium świata. Jeśli chodzi o ten tomik, *Upiory rewolucji*, to był on spełnieniem pewnego zamówienia społecznego. Czulem, że to musi być napisane i dzisiaj uważam, że byłem w pewnym sensie prekursorem, zajmując się wtedy takimi pisarzami jak Pasternak, Bulhakow, Babel, Solżenicyn, Platonow.

*W Upiorach rewolucji bardzo wysoko ocenił pan pisarstwo Solżenicyna, ale od tego czasu minęło dwadzieścia lat. W późniejszych uwagach w Dzienniku pisany nocą zmienił pan trochę opinię o jego dziele. Jak pan go dziś ocenia?*

Solżenicyn jest oczywiście wybitnym pisarzem o niezwyklej wprost wydajności – co dwa lata wydaje książki o objętości tysiąca



stronic – ale dziś nie ocenilbym tak wysoko *Pierwszego kregu i Oddziału chorych na raka*. Jestem nadal pełen podziwu dla *Archipelagu Gulag*, zresztą książka w przekładzie na francuski wywołała rewolucję w tak zwanym establishmentie kulturalnym Francji, tak że doceniam jej ogromną wagę. Ale gdyby mnie dziś zapytano, co najbardziej lubię z twórczości Solżenicyna, to odpartbym, że *Zagrodę Matryony*.

*W pierwszym tomiku esejów, Żywi i martwi, napisał pan następujące zdanie: „Zawsze wierzyłem, że tylko inteligentni Polacy mogą udzielać Europie lekcji o Rosji”. Czy pan jest nadal przekonany o słuszności tej uwagi?*

Szczerze mówiąc, nie bardzo. To znaczy ci inteligentni Polacy, których miałem szczęście poznać, starsi już dzisiaj, niewątpliwie tak. Ale bardzo często stosunek Polaków, zresztą ze zrozumiałych powodów, jest naładowany różnymi obsesjami, kompleksami. A to nie sprzyja jasności i równowadze sądów. Mogę rozmawiać o sprawach rosyjskich z Jerzym Giedroyciem czy Józefem Czapskim, czy profesorem Swianiewiczem, ale u młodszych dostrzegam często lekkomyślną niechęć, która wyklucza znajomość i studiowanie tych spraw. To się jednak zmienia na lepsze – jest żywsze zainteresowanie sprawami rosyjskimi i sprawami naszych bliskich sąsiadów, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców. To jest nowe zjawisko, bardzo pozytywne.

*W jednym ze szkiców w tomie Drugie przyjście nazywa pan po imieniu demona naszych czasów. Jest nim Konieczność Historyczna w rękach wielkich organizacji i w służbie wielkich celów. Czy obarcza pan bezpośrednią odpowiedzialnością Hegla? Chciałabym zapytać, jak pan w ogóle ocenia odpowiedzialność filozofów i myślicieli za kształt świata.*

Myślę, że jest bardzo duża i bardzo ciężka. Należy oczywiście zajmować się filozofią, aby ją potem porzucić, jeżeli jest się pisarzem. Zostawić ją na boku.

*Pan napisał opowiadanie „Ugołone z Todi”, które jest obrócone przeciw filozofom...*

Ironiczne opowiadanie o filozofie włoskim, który się bez przerwy zmieniał. Ta postać nie ma swojego pierwowzoru. To jest zlepek. A jeśli chodzi o podobieństwa między nazizmem a komunizmem, nie trzeba tego tłumaczyć. To jest po prostu nowa forma ustrojów totalitarnych, gorsza od tego, co się nazywało kiedyś ustrojami autorytarnymi.

*Jeszcze raz pana zacytuję. Napisał pan: „Konflikt, zasadniczy konflikt, jest wyłącznie jeden – między uznaniem samoistnej wartości człowieka a jej przekreśleniem. Obojęne, czy z lewa czy z prawa, na czerwono, na brunatno czy na czarno”. Czy pan wierzy w rychłe zmiany w Rosji i czy obecna sytuacja jest dla pana oznaką ruszania tego procesu?*

Jestem przekonany, że nastąpił już ten kres, że teraz jest to zachowywanie pozorów. Nie wszyscy się z tym zgadzają i tacy pisarze jak Besançon podkreślają nadal ideologiczny charakter ustroju sowieckiego. Mnie się wydaje, że to już nie istnieje. Pozostał obrzęd pewien, którego nie mogą się pozbyć, bo jest on legitymizacją ustroju. Według mnie, nawet ci, którzy rządzą Związkiem Sowieckim, nie przywiązują już do ideologii większej wagi. Czy to daleko pójdzie i jakie są tego perspektywy, nie mogę powiedzieć, byłoby to wróżenie z fusów. Ja uważam osobiście, że jest niesłychanie ważne to, co nazywa się *glasnością*, natomiast nie wierzę w *pieriestrojkę*. I nawet jeżeli, co jest bardzo prawdopodobne, nowa ekipa się potknie, coś z tego zostanie, i to bardzo dużo, tak jak moim zdaniem zostało bardzo dużo po Chruszczowie.

*„Ostateczna walka odbędzie się między złodziejami pamięci i okradanymi z niej narodami, społeczeństwami, jednostkami” – napisał pan w Dzienniku. Czy dlatego wybrał pan sobie rolę przede wszystkim kronikarza?*

Tak jest. Nawiasem mówiąc zdanie, które pani przytoczyła, jest do pewnego stopnia peryfrazą – niesłusznego, przesadnego,

powiedzenia Silonego, które mi się kiedyś bardzo podobało: gdy Silone spotkał się po wojnie po raz pierwszy w parlamencie włoskim z Togliattim – a był przed wielu laty jego przyjacielem, a nawet po jakimś prawą ręką – powiedział na zakończenie krótkiej rozmowy: „Ostateczna walka odbędzie się między komunistami a byłymi komunistami”.

*I ostatnie pytanie: czy przy całym swoim sceptycyzmie oczekuje pan cudu, jak lud neapolitański w pana opowiadaniu?*

„Cud” jest opowiadaniem wiernym historycznie. Bardzo się nad nim napracowałem, zbierając dane o tej historii z XVII wieku. Ale to jest opowiadanie, jak tylko nieliczni zauważyli, o „Solidarności”. Pisałem o Masaniello, mając trochę przed oczami Walęsę. I wydaje mi się, że końcowe zdanie opowiadania o życiu w ustawicznym zawieszaniu między Cudem a Wulkanem jest dokładnym odtworzeniem sytuacji, jaka teraz powstała w Polsce.

*Powyższa rozmowa odbyła się latem 1988 roku w Maisons-Laffitte.*

NAKŁADEM

ANEKSU

Teresa Toruńska

**ONI**

Rozmowy

z czołowymi funkcjonariuszami komunistycznymi:

J. Bermanem, L. Chajnem, W. Klosiewiczem,

J. Mincową, E. Ochabem, S. Staszewskim i R. Werflem

Str. 368

Cena: £7,00 – \$14,00

# *z historii najnowszej*

**Jan T. Gross**

## **WYWÓZKI DO ROSJI**

We wspomnieniach i opisach przeżyć wojennych pojawia się niezależnie od epoki, kraju i okoliczności, słowo tułaczka. Nie przyciąga zbyt wiele uwagi czytelnika. Odgadujemy, że intencją autorów jest co najwyżej wypełnić nim llo, że sygnalizuje zmianę dekoracji, pomost między wydarzeniami, które dopiero warto są opowiedzenia. A przecież trudno sobie wyobrazić bardziej dramatyczne przeżycie niż przymusowe opuszczenie miejsca zamieszkania. Moment opuszczenia domu to cezura wyznaczająca cały dalszy los człowieka. I może właśnie zerwanie rutyny codziennych zajęć i bezradność wobec niewiadomej przyszłości odbiera ludziom siły, a więc i słowa, pozwalając jedynie zaznaczyć przerwę w narracji.

Ale przecież życie nie zatrzymuje się ani na chwilę. I choćby sam moment, o którym napomknąłem, wypełniają niezmiernie ważne decyzje, które trzeba podejmować natychmiast – pieniądze zabrać czy worek sucharów? W lewo skręcić czy w prawo na pełnym rozstaju? Uciec z transportu czy zostać w wagonie lub iść dalej z kolumną? Demograf badający zagadnienia migracji ludności w pierwszej połowie dwudziestego wieku nazwał Europę „kontynentem w ruchu”. Od wybuchu drugiej wojny światowej

do roku 1943 przeszło 30 milionów Europejczyków zmieniło pod przymusem miejsce pobytu. Dla wielu z nich, jak wiemy, „przesiedlenie” oznaczało po prostu śmierć. W ciągu następnych trzech czy czterech lat – zważywszy na przesunięcia granic w Europie, masowe wysiedlenia etnicznych Niemców z krajów Europy środkowo-wschodniej oraz ucieczkę ludności z obszaru sowieckiej dominacji – liczba tułaczy z pewnością podwoiła się. A więc zjawisko odnotowywane we wspomnieniach raczej jako przerywnik okazuje się być uniwersalne. Po prostu migracje, przesiedlenia, lub jeśli kto woli tułaczka, charakteryzują okresy gwałtownych przemian politycznych i społecznych, jakimi są wojna albo rewolucja. To właśnie wysiedlenie jest dosłownym spełnieniem wykorżnienia, *déracinement*, na którym opiera się okrutny wynalazek dwudziestego wieku – totalitaryzm.

W historii Rosji sowieckiej, czy ustroju komunistycznego w jego najrozmaitszych narodowych wcieleniach, masowe wywózki ludności są zjawiskiem zupełnie normalnym. Jest to najbardziej rozpowszechniona forma prześladowań w komunizmie. I jeśli pisano do tej pory przede wszystkim o sowieckich więzieniach czy obozach koncentracyjnych to może raczej dlatego, że tam przede wszystkim ludzie umierali. Ale choć cierpienia wywózki rozciągają się na parę dni czy tygodni zaledwie („zaledwie” w porównaniu z długością więziennego pobytu czy obozowego wyroku), to przecież później przedłużają się, w teorii na zawsze, w udrękę życia na wygnaniu.

Dodajmy, że temat wywózek umknął uwadze historyków nie dlatego bynajmniej, że władze sowieckie załatwiały tę sprawę cicho i dyskretnie. Było zupełnie na odwrót. Kolejarz ze Smorgoni zapamiętał „nieopisany płacz i lament matek i dzieci” podczas wywózki w lutym 1940 roku<sup>1</sup>. Na stacji Husiatyń, w powiecie Kopyczyńce, podczas ładowania ludzi do wagonów „krzyk matek był tak przeraźliwy, że można było dostać obłędu”<sup>2</sup>. W kolonii Dobra Wola, na Polesiu, kiedy wywożono ludzi „na dwoże tylko było słycać płacz, wycie psów i gdzieś tam strzały”<sup>3</sup>. A kiedy pociąg pełen zesłańców wyruszał z Krzemieńca, „na stacji był wielki krzyk i płacz”<sup>4</sup>. Zatem gwałt doświadczony przy tej okazji daje się chyba porównać tylko z męką tortur i bezpośredniego zagrożenia życia, skoro wywołany wówczas strach, cierpienie i rozpacz prowokowały tak powszechny zbiorowy lament.

Moim zdaniem deportacjom poświęcono dotychczas stosunkowo mniej uwagi, ponieważ objęły one przede wszystkim słabo widoczne kategorie ludności. Z przytoczonych cytatów domyślamy się sporej liczby kobiet i dzieci wśród zesłańców. I rzeczywiście tak było, szczególnie podczas deportacji rodzin osób uprzednio aresztowanych (wśród więźniów, jak wszędzie zresztą, przytłaczającą większość stanowili mężczyźni). Zaś kiedy wywożono chłopów w czasie kolektywizacji lub całe grupy narodowościowe deportowano na przymusowe osiedlenie, skutecznie posuwając do przodu rusyfikację wielonarodowego imperium, ich krzyki rozpaczcy nie utrwalili się w historii, ponieważ byli to ludzie przeważnie niepiśmienni albo posługujący się egzotycznym językiem, zrozumiałym tylko dla kilku milionów mieszkańców ziemi. Może to zabrzmie paradoksalnie, ale warstwy uprzywilejowane i w cierpieniu zachowują swoistą przewagę dlatego po prostu, że ich przeżycia zostawiają ślady. Elity społeczne nie umierają i nie cierpią anonimowo, dlatego też wiemy stosunkowo dużo na temat procesów pokazowych, wymuszonych zeznań, tortur, reżymu więziennego i życia a także i umierania w obozie (choć oczywiście, nie był to los zarezerwowany wyłącznie dla uprzywilejowanych). Zaś stosunkowo niewiele wiemy o wywóźce, tym doświadczeniu dziesiątków milionów ludzi prostych, kobiet, starców i dzieci.

Tematem tego eseju są przymusowe wysiedlenia ludności cywilnej w latach 1939-1941, z terenów Zachodniej Ukrainy i Białorusi. Ziemie te znalazły się pod sowiecką administracją od połowy września 1939 roku w wyniku zbrojnej agresji przeciwko Polsce i umów sowiecko-niemieckich. Oprócz czterech fal wielkich wywózek na wschód, do ZSRR, w omawianym okresie rozmaite grupy ludności zmuszano pod różnymi pretekstami do opuszczania miejsc zamieszkania, jednakże bez usuwania ich poza obszar okupowanych ziem. Zaczniemy więc od opisu owych, by tak rzec, wewnętrznych wysiedleń, które przecież bardzo dotkliwie odczuła miejscowa ludność.

Częściowo zagadnienie to można wyczerpać za pomocą bardzo prostej obserwacji: na terenach państwa polskiego, które znalazły się pod sowiecką administracją jesienią 1939 roku, po prostu wyrzucano ludzi z domów. Powiadam wyrzucano, bo tryb podej-

mowania decyzji kwaterunkowych, szczególnie poza obszarem wielkich miast, nie był właściwie uregulowany. Komitet wioskowy mógł usunąć dowolną rodzinę z zajmowanego gospodarstwa „nie wskazując miejsca”, jak napisał rolnik z wioski w powiecie tarnopolskim, „a idź gdzie chcesz... na mróz i śniek”<sup>6</sup>. Ludność polska mieszkająca na wsi, a szczególnie osadnicy wojskowi z całego terenu sowieckiej okupacji, opisują przypadki takiego właśnie traktowania<sup>6</sup>. Zdarzało się że rodzinom uprzednio aresztowanych odbierano mieszkania. W miastach władze wojskowe postanawiały o eksmisji niekiedy całych ulic. Z domów wojskowych zajmowanych przez rodziny kadry zawodowej stacjonowanej do niedawna w lokalnych garnizonach Wojska Polskiego wyzuczano mieszkańców w myśl zasady o przejęciu przedwojennej własności państwowej przez nowe władze<sup>7</sup>. Do stycznia 1940 roku Miejski Zarząd Mieszkaniowy we Lwowie przydzielił, jak informuje oficjalny lwowski dziennik z tamtych czasów, *Czerwony Sztandar*, 5407 „obszerniejszych mieszkań” rodzinom robotniczym. Przy okazji artykuł zapowiada wyłonienie komisji mającej wybrać „70 dużych gmachów mieszkalnych do dyspozycji urzędu rozdzielczego w celu dalszego przydziału mieszkań rodzinom robotniczym”<sup>8</sup>. Czy taką komisję kiedykolwiek wyłoniono, trudno już dziś ustalić, ale ponieważ „obszerniejszych mieszkań” we Lwowie nie było wiele ponad pięć i pół tysiąca, a duże gmachy mieszkalne nie ziały pustką, to łatwo sobie wyobrazić, że w rezultacie mnóstwo ludzi zostało pozbawionych dachu nad głową. Mieszkania zresztą przydzielano oczywiście nie robotnikom, tylko urzędnikom i działaczom partyjnym przybywającym z ZSRR.

Nawet 50 lat po wojnie nikogo w Polsce nie trzeba przekonywać, że utrata mieszkania równa się życiowej katastrofie. W warunkach okupacji sowieckiej eksmisja oznaczała natychmiastową pauperyzację. Było tak przede wszystkim na wsi, gdzie dom to zarazem gospodarstwo, w którym jest osadzona materialna egzystencja człowieka. Irena Bławat z osady Ulanowice zostawiła opis przymusowego opuszczenia domu rodzinnego późną jesienią 1939 roku. „Każdy musiał nająć konie od ludzi którzy zostali na miejscu, bo swoich nie mogliśmy zabrać ponieważ było zabronione. Każda rodzina wzięła z sobą z garderoby to co było niezbędne

i trochę z żywności, wyruszyliśmy zupełnie bezcelowo w podróż, wieczorem przyjechaliśmy do Równego i tam zanocowaliśmy. Wszystkie zajazdy zostały przepelnione przez osadników było tak ciasno, że spaliśmy na podłodze. Na drugi dzień, ponieważ było niemożliwe tak mieszkać więc wszyscy rozjechali się gdzie kto mógł, po dwóch tygodniach tułaczki, rozeszła się wieść że można wracać zpowrotem. Wruciliśmy, prucz pustych budynków i gołego pola nic nie zastaliśmy, inwentarz żywy i martwy został wywieziony"<sup>9</sup>. W wielu wypadkach wygnani z domu osadnicy opisują powrót do kompletnie ogołoconych i zdewastowanych gospodarstw. Ale i w miastach sytuacja przedstawiała się podobnie. Ludziom usuniętym przymusowo z mieszkań zazwyczaj nie pozwalano zabierać ze sobą umebłowania ani nawet sprzętów gospodarstwa domowego.

Przy tej okazji zaczął się ujawniać schemat zróżnicowania społecznego wprowadzonego przez nowe władze. I tak na przykład w Wilnie masowe przydzielanie mieszkań dla wojska i urzędników sowieckich po włączeniu Litwy do ZSSR wywołało swoisty łańcuch rekwizycji. Obywatel, któremu przedstawiono nakaz eksmisji, szedł po przydział zastępczy do urzędu mieszkaniowego, który „ofiarowywał mu zajęte przez kogoś bezrobotnego lub niższego w hierarchii pracy mieszkanie, usuwając znów dotychczasowego właściciela, który z kolei zmuszony był szukać dla siebie nowego pomieszczenia"<sup>10</sup>. Podobnie działo się i w małych miasteczkach, takich jak Roźniatów na przykład, gdzie „przez 4 miesiące panował ustawiczny ruch ludności. Codzień kogoś przeprowadzano na nowe miejsce zamieszkania, czasem po trzy, cztery razy. Mieszkanie wraz z jego urządzeniem zostawało zajmowane przez przybyłych z ZSSR. A przybywało ich coraz więcej. Przybywały rodziny i dzieci wojskowych i urzędników cywilnych"<sup>11</sup>. Oczywiście każda taka wymuszona zamiana mieszkania oznaczała zmianę na niekorzyść<sup>12</sup>. A przecież, jak wiemy, nie wszystkim udawało się zdobyć przydział zastępczego lokalu. W Kałuszu „wydano zarządzenie o usuwaniu ludności polskiej z mieszkań znajdujących się w śródmieściu i ze wszystkich domów przy drodze Stanisławów-Stryj agitując równocześnie Ukraińców, aby Ci nie wynajmowali mieszkań eksmitowanym Polakom"<sup>13</sup>.

Tak więc eksmisja oznaczała stygmatyzację. Wyrzucenie z mieszkania sygnalizowało przypisanie do gorszej kategorii ludności.



Co prawda w hierarchii ustalonej przez nowe władze można było spaść jeszcze niżej, ale odbierając mieszkanie pozbawiano człowieka jednego z podstawowych życiowych uprawnień. I to był groźny znak, który w dodatku oprócz symbolicznej wymowy niósł ze sobą natychmiast szalone komplikacje. Choćby dlatego, że w warunkach nowej rzeczywistości, kiedy mnóstwo ludzi nie zdolało jeszcze znaleźć dla siebie miejsca, przestawić się, przekwalifikować, ogromną rolę odgrywały zapasy. Przedmioty nagromadzone przez lata sprzedawano powoli na czarnym rynku, zdobywając w ten sposób skromne środki na utrzymanie. Dla ludzi żyjących z zapasów, a do takich należała większość na zajętych terenach, zniszczenie czy pozbawienie zaplecza gospodarstwa domowego było szczególnie dotkliwym ciosem. Eksmisja oznaczała również wyrwanie ze społeczności sąsiedzkiej, której pomoc jest bezcenna właśnie w kontekście zawalenia się struktury instytucjonalnej państwa i administracji lokalnej.

I wreszcie, półzartem, należy wspomnieć o „przesiedleniach” w ramach jednego domu czy mieszkania. Mam na myśli powszechne zjawisko dokwaterowywania nowych mieszkańców do zajętych już lokali. W rezultacie takiej operacji, jak zapisała doktor Jadwiga Mękarska, „życie osobiste straciło swój prywatny charakter. Ilość metrów sześciennych przeznaczonych na osobę została ściśle określona. Pozostałą resztę przestrzeni mieszkania dostawał pierwszy lepszy wyznaczony przez urząd mieszkaniowy przybysz ze wschodu. Samotność, swoboda osobista i możliwość odpoczynku po pracy – zanika. Jest się ciągle obserwowanym i podsłuchiwanym, jak przez «judasza» w więzieniu...”<sup>14</sup>. Być może, zważywszy na warianty losów jakie były wówczas możliwe, nie ma powodu uważać się nad ludźmi doświadczonymi w ten sposób. Mogło ich przecież spotkać coś znacznie gorszego. Jedno jest pewne wszelako – w kontekście społecznego i materialnego chaosu spowodowanego sowiecką okupacją i wobec narastającej politycznej reglamentacji życia przez nową administrację nakaz eksmisji miał katastrofalne skutki dla ludzi, którzy go otrzymali. A takich było wielu.

Zatem przesiedlenia ludności wewnątrz terytorium państwa polskiego zajętego przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 roku spowodowane były częściowo przez trudności lokalowe.

Obsadę administracyjną i kadre wojskową przyslaną z ZSSR na świeżo okupowane tereny trzeba było gdzieś zakwaterować. Ludzi przybywało zresztą nie tylko ze wschodu. Nie zapomnijmy o uchodźcach spod okupacji niemieckiej, którzy też musieli gdzieś mieszkać, choć trzeba przyznać, że nowe władze nie zaprzętały sobie zbyt wiele uwagi ich kłopotami. Z reguły uciekinierzy z centralnej i zachodniej Polski traktowani byli z nieufnością. Przychodzono jedynie z pomocą tzw. „byłym więźniom politycznym”, do których zaliczali się przede wszystkim przedwojenni działacze ruchu komunistycznego. Ale nawet biografia przedwojennego komunisty nie otwierała wówczas przed człowiekiem wszystkich drzwi, bo pamiętajmy, że Międzynarodówka Komunistyczna z polecenia Stalina rozwiązała na rok przed wojną Komunistyczną Partię Polski. Losy komunistów w latach 1939-1941, próby odtworzenia organizacji czy wstępowanie do ukraińskiej i białoruskiej partii, które zaczęły działać oficjalnie na ziemiach zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy, to temat wymagający osobnego omówienia. Na razie wystarczy, abyśmy wiedzieli, że w początkowym okresie sowieckiej okupacji byli członkowie byłych organizacji komunistycznych skupiali się wokół powstałych na przełomie września i października 1939 komitetów „byłych więźniów politycznych”. Dwa główne ośrodki komitetowe funkcjonowały we Lwowie i w Białymstoku. I chociaż ich pełnomocnictwa i funkcje nie były jasno określone, z ich pomocą można było dostać pracę, skierowanie do stołówki i przydział kwaterunkowy. W artykule z *Czerwonego Sztandaru*, na który już powoływałem się, czytamy między innymi o niepokojach Prezydium Rady Miejskiej Łwowa, które zwraca „szczególną uwagę na niewykonanie przez biuro rozdzielcze decyzji o przydziale mieszkań byłym więźniom politycznym”<sup>15</sup>. A więc w każdym razie była decyzja w tej sprawie, choć w ocenie członków Prezydium niezbyt energicznie wykonywana.

Osobną kategorię wewnątrznych wysiedleń, wewnątrznych, bowiem nie wiązały się nieuchronnie z wysyłką w głąb Rosji, przypisać należy rozporządzeniom o charakterze już jednoznacznie politycznym. Nowe realia powstałe w wyniku korzystnych dla Rosji zmian spowodowanych wybuchem drugiej wojny światowej musiały zostać wdrożone w sowiecką rzeczywistość. Otóż, jak

wiadomo, jednym z wyników kampanii wrześniowej było przesunięcie o kilkaset kilometrów na zachód granicy państwowej ZSSR. Zaś skoro jest nowa granica, to trzeba ją odpowiednio zabezpieczyć.

Oddajmy zresztą sprawiedliwość wojskom granicznym NKWD, bo nie lada jakie zadanie stanęło przed nimi jesienią 1939 roku. Spóźniona i trwająca ciągle w chwili wybuchu wojny w Polsce mobilizacja, klęska wojskowa w wyniku strategii „wojny błyskawicznej” zastosowanej przez Wehrmacht, prześladowania ludności cywilnej (przeważnie Żydów) przez wkraczających Niemców i w związku z tym narastająca fala uciekinierów – wszystko to razem spowodowało exodus ludności, szczególnie mężczyzn w wieku poborowym, w kierunku wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Po pewnym czasie cała ta fala ludzka odbiła się z powrotem ku zachodowi, nie znajdując u kresu wędrówki ani formacji wojskowych, ani nowej linii obrony, ani nawet względnego spokoju oczekiwanego z dala od frontu, ponieważ Armia Czerwona wkroczyła do Polski 17 września. W rezultacie nowo powstała granica rosyjsko-niemiecka znalazła się pod ogromnym ciśnieniem mas ludzi, którzy z rozmaitych względów uważali, że lepiej im będzie „po drugiej stronie”. Żydzi uciekali od Niemców, Ukraińcy od Sowieców; bardziej przedsiębiorcze albo zagrożone osoby szły na Litwę, na Węgry, albo do Rumunii; komuniści szli do ziemi obiecanej; handlarze z towarem po zarobek. Aż po pewnym czasie większość decydowała, że trzeba wrócić na swoje, w rodzinne strony.

Oczywiście radzieccy pogranicznicy nie zamierzali tolerować tego stanu rzeczy. Od niepamiętnych czasów pilnie strzeżono granic imperium i nic nie zapowiadało zmiany pod tym względem, nawet „traktat o przyjaźni i granicach” z nowym sąsiadem. Tyle tylko, że 16 listopada podpisano porozumienie o wynianiu ludności „osób narodowości niemieckiej z terytorjum Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi oraz osób narodowości ukraińskiej, białoruskiej i rosyjskiej z terytorjum byłej Polski, wchodzącego w sferę państwowych interesów Niemiec... Ewakuowane będą tylko te osoby wspomnianych narodowości, które wyrażą życzenie przesiedlenia się na terytorjum drugiej strony”<sup>16</sup>, mówi oficjalny komunikat. Opowiemy wkrótce, jak działały komisje

repatriacyjne na Zachodniej Ukrainie i Białorusi. Odnotujmy już teraz wszelako, że powołanie ich do życia odzwierciedla między innymi fakt ciśnienia ludności na nowo ustaloną granicę, o którym wspomniałem.

Skoro o swobodnym przekraczaniu granicy nie mogło być mowy, to trzeba ją było wzdłuż całej długości zabezpieczyć. W tym celu wyludniono po prostu przylegający pas ziemi szerokości około jednego kilometra<sup>17</sup>. A ponieważ nowa granica sowiecko-niemiecka biegła przeważnie wzdłuż linii Sanu i Bugu, ucierpiała na tym ludność rozlicznych wsi i miast od wieków usytuowanych w pobliżu tych życiodajnych rzek. Ile rodzin wówczas wysiedlono, przy okazji zrównując z ziemią budynki w bezpośredniej bliskości granicy, nie sposób już dziś ustalić. Z pewnością wiele tysięcy ludzi straciło dach nad głową. Ci zaś, których gospodarstwa chwilowo ocalały, poddani zostali na co dzień rozmaitym szykanom. Aby jak najwięcej tubylców wciągnąć do współpracy z NKWD, płacono od łebka za każdego tzw. „turystę” wydanego straży granicznej<sup>18</sup>. Wśród mieszkańców pogranicznych wiosek rozplenili się siatki konfidentów, którzy podawali się za przewodników ludziom pragnącym przeprowić się przez granice i szpiegowali własnych sąsiadów<sup>19</sup>. Pewien mieszkaniec Przemysła został aresztowany, ponieważ rozmawiał z matką stojącą po drugiej, a więc już niemieckiej, stronie rzeki dzielącej miasto na pół. Władze lokalne, wioskowi milicja czy tzw. „komitetowi”, pilnie egzekwowały wprowadzone przez siebie rozporządzenia. „Teren nasz był uznany za graniczny”, wspomina stolarz Władysław Kruk ze wsi Opalin na Wołyniu, „dlatego ruch ze wsi do wsi był ograniczony, a nawet patrzenie na stronę niemiecką było wzbronione”<sup>20</sup>. W niektórych okolicach, gdzie budowano fortyfikacje, strefa graniczna rozciągnięta została na szerokość 30 kilometrów<sup>21</sup>.

Kolejną falę wewnętrznych wywózek spowodowała tzw. „paszportyzacja” przeprowadzona na wiosnę 1940 roku. Kiedy Rada Najwyższa ZSSR zalegalizowała przyłączenie zbrojnie zajętych ziem do Związku Radzieckiego, wyloniła się kwestia obywatelstwa ludności zamieszkującej te tereny. Wedle prawa sowieckiego z chwilą ustanowienia nowej suwerenności państwowej – a więc od 1 listopada na Zachodniej Ukrainie i od 2 listopada na

Zachodniej Białorusi – mieszkańcy przyłączonych ziem automatycznie uzyskali sowieckie obywatelstwo. W praktyce jednak okazało się, że każdy obywatel musi wyrazić zgodę na przyjęcie dowodu osobistego (zwanego „paszportem”, stąd określenie całej akcji mianem paszportyzacji) i że, co więcej, są różne rodzaje owych paszportów różne dające uprawnienia ich posiadaczom. Tak więc można było odmówić przyjęcia sowieckiego paszportu (choć władze wywierały nacisk i groziły opornym represjami – „osoby, które celowo uchylają się od otrzymania paszportu, będą pociągane do odpowiedzialności” pisał *Czerwony Sztandar* z 29 marca 1940 roku), bywało, że władze odmawiały wydania dokumentu zgłaszającemu się petentowi<sup>22</sup>, albo że wydawano różne dowody osobiste, jedne z ważnością na 5 lat, a inne na trzy miesiące, na przykład. Zatem sprawa obywatelstwa, choć w teorii rozstrzygnięta raz na zawsze, w praktyce była zagmatwana i stawiała ludzi wobec decyzji, wyborów i niewiadomych budzących szalony niepokój.

Największą niepewność wśród ludzi gotowych przyjąć obywatelstwo wywoływał tzw. paragraf „11”. Osoby, którym wpisano ową feralną jedenastkę do dokumentów, traciły prawo zameldowania w mieście i musiały przenieść się na prowincję. Wolno im było mieszkać w odległości co najmniej stu kilometrów od większych miast lub granicy państwowej. Wyrzucenie z miasta oznaczało zarazem utratę pracy, bo przecież dojeżdżać codziennie na odległość stu kilometrów było niepodobieństwem. Zaś na prowincji możliwości zatrudnienia były bardzo ograniczone. Zważywszy więc na ogólnie panujący chaos i dezorganizację życia codziennego nakaz opuszczenia miasta miał katastrofalne skutki dla osób, które się doń musiały zastosować. Helena Hawrylak, po aresztowaniu męża i wielu naciskach ze strony władz, zgodziła się w końcu przyjąć obywatelstwo sowieckie. Wydano jej paszport i kazano wyjechać ze Stanisławowa w ciągu 10 dni. „Pod groźbą aresztu kazali przenieść się do wsi daleko od miasta i tam pracować radzili na roli, znalazłam się w błędnym kole, gdyż do której wsi udałam się nie wpuszczano mnie, zakazano przyjmować polaków, czas prędko upływał a miejsca dla nas rodzin aresztowanych polaków nie było, wreszcie wyjechałam do wsi Puków, gdzie po wielkich zdecydowaniach przyjęto mnie, ale co 3 dni musiałam się zgłaszać u naczelnika milicji”<sup>23</sup>.

Dziesiątki, a może nawet setki tysięcy ludzi znalazły się w podobnej sytuacji. Z reguły paragraf „11” wpisywano do dokumentów uchodźcom z zachodniej i centralnej Polski, zanim w parę miesięcy później, w czerwcu 1940 roku, zesłano ich na wschód w głąb Rosji. Ale o kolejnych falach masowych wywózek będzie mowa dopiero za chwilę. Tymczasem wspomnę jeszcze o jednej akcji, w rezultacie której parędziesiąt tysięcy ludzi zmieniło miejsce pobytu narażając się przy okazji na cierpienie i niewygodę. Mam na myśli tzw. „dobrowolne” wyjazdy na roboty do Rosji.

Podaję przymiotnik „dobrowolne” w cudzysłowie, bowiem większość ludzi decydowała się wyjechać na roboty pod wpływem warunków panujących na zajętych przez Armię Czerwoną terenach. Część z nich namówiono na wyjazd pod fałszywym pretekstem. Zaś kiedy po dotarciu na miejsce okazało się, że czeka tam przyjezdnych nędzna egzystencja, nie można już było wrócić, chyba że ryzykując aresztowanie. Ponieważ w prasie reklamowano głównie wyjazdy do zagłębia węglowego w Donbasie, lwowska ulica spuentowała tę akcję celnym powiedzonkiem – „hopsa sasa do Donbasa, a z Donbasa na golasa” – oddając ironiczny hold szczęśliwcom, którzy wrócili jakoś z tej podróży na saksy, wyprzedając po drodze własną garderobę, żeby nie umrzeć z głodu.

Rejestrację na wyjazdy do pracy rozpoczęto już jesienią 1939 roku. Wedle radosnych komunikatów *Czerwonego Sztandaru* oczekiwano, że co tydzień 1500 osób pojedzie na roboty<sup>24</sup>. Akcja reklamowa nakierowana była przede wszystkim na uchodźców, którym brak mieszkań, pracy, głód i zimno zaczęły się dawać we znaki. „Znalazłem się w Białymstoku 9 października i spotkałem tu tysiące bezdomnych uchodźców”, wspomina krawiec Henryk Szulman. „Nie wiedzieli co z sobą począć. Spało się na ulicach. Szczęśliwi umieszcili się na dworcu. W mieście brakło jedzenia. Bolszewicy rozpoczęli propagandę aby się zapisać na roboty do Rosji”<sup>25</sup>. Biuro Pomocy Uchodźcom w Białymstoku działało w praktyce jako „biuro werbunkowe do robót w kopalniach i na wyrębie lasu w głębi Rosji”. Tłumaczono tam petentom, że przede wszystkim ludność miejscowa ma prawo do pracy w Białymstoku nakłaniając w ten sposób zdesperowanych ludzi do wyjazdu<sup>26</sup>. Równocześnie rozmarzone gazety pisały zalotne teksty

o podróży do Rosji i warunkach pracy na miejscu. „Wyjeżdżający otrzymują 50 rubli tytułem zwrotnego zadatku, w czasie podróży zasiłek w wysokości 6 rubli za każdy dzień podróży (dla dzieci 3 ruble) oraz na miejscu pracy pożyczkę w wysokości niezbędnej dla urządzenia się. Prócz tego wyjeżdżający otrzymują bezpłatnie prawo przejazdu oraz pomieszczenie na miejscu”, informował *Czerwony Sztandar* 28 grudnia 1939 roku. Zaś żeby nie być gołosłowną, w 3 tygodnie później lwowska gazeta opublikowała list z Donbasu do przyjaciela, relację naocznego świadka. „Już upłynął miesiąc jak jestem w Donbasie, w miejscowości Traktorówka. Przede wszystkim opiszę jak nas tu przyjęto i jak żyjemy. Otóż, gdy przyjechalśmy, czekała na nas orkiestra na stacji. Były powitalne przemówienia i muzyka, potem pojechalśmy do stołówki na zabawę. Bawiliśmy się całą noc. Tak przeszło 7 dni na zabawach ze stachanowcami, na odwiedzaniu kin, teatrów, itd... Wyobraź sobie, że już przez 10 dni potrafiłem zarobić 275 rubli 95 kopiejek, ... mój przeciętny zarobek miesięczny wynosi około 600 rubli. Oczywiście mogę zarobić i 800 rubli, i więcej...”<sup>27</sup>.

Nawiasem mówiąc, zabawnie brzmi laurka przodującego ustroju wystawiona przez oficjalną gazetę partii komunistycznej, w której mowa jest głównie o pieniądzach. Ale nie kłopotymy się chwilowo o brak ideałów i wzniosłych przeżyć, bo rzecz w tym, że nawet ta przyziemna reklama była oszustwem. Zaś o warunkach oczekujących przyjezdnych na miejscu możemy się dowiedzieć prawdy na przykład od córki kamiasznika z Pułtuska, której ojciec zapisał się na wyjazd do Rosji, „bo przyrzeczono mu robotę w swoim zawodzie, dobre zarobki i mieszkanie. Po kilku tygodniach wyjechalśmy z Białegostoku i przybyliśmy do Homla, gdzie przyjęto nas z muzyką, wygłoszono na naszą cześć szereg mów, a na stacji uraczono nas sutym posiłkiem. Zawieziono nas do domu robotniczego, gdzie dostaliśmy mały pokój na mieszkanie. Nie było tam żadnych mebli, rozłożyliśmy ubranie na podłogę. Naza jutrz ojciec poszedł do urzędu gdzie mieli mu wskazać gdzie będzie pracował. Oświadczone mu, że roboty nie ma i że musi czekać kilka dni. Nie mieliśmy z czego żyć. Nie mieliśmy na czym przygrzać gamuszką wody. A ojcu przyrzekano wciąż robotę, lecz jej nie dostawał. Wreszcie poradzono mu byśmy się udali na kolchoz. Wycieńczeni głodem ruszyliśmy na wieś, gdzie nas nie

hardzo uprzejmie przyjęto. Pracowaliśmy wszyscy w polu, za to dostawaliśmy wydzielone porcje chleba, trochę kartofli i trochę zupy. Raz na tydzień dzieci dostawały mleko. Pracowaliśmy ciężko, od świtu do zmierzchu byliśmy głodni, a mama która też pracowała na polu, nie miała nawet czasu ugotować nam łyżki ciepłej stawy. Kierownik kolchozu po kilku dniach oświadczył nam, że nie ma roboty, że musimy wracać do miasta. Ojciec zaczął szukać roboty, nie znajdował jej, groziła nam śmierć głodowa. Postanowiliśmy wrócić do Białegostoku. Kupiliśmy bilety, mama i dwoje dzieci siedziało w jednym wagonie, ojciec z dwojgiem w drugim. Baliśmy się NKWD-ystów, lecz Bóg nam pozwolił i szczęśliwie wróciliśmy do Białegostoku. Zamieszkaliśmy znowu w brudnej boźnicy<sup>28</sup>. Tysiącom ludzi, którzy zawędrowali w ten sposób do Rosji, nie udało się wrócić na własną rękę w rodzinne strony. O nich także trzeba pamiętać, kiedy mówimy o tułaczkiej doli.

Skoro zapoznaliśmy się już z rozmaitymi wariantami przesiedleń, możemy wreszcie przystąpić do omówienia masowych wywózek ludności cywilnej do ZSSR z terenów Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. W odróżnieniu od osób skazanych przez sądy albo specjalne trybunały NKWD na kary więzienia albo obozu pracy, zesłańcy nigdy nie stawali przed żadnym ciałem orzekającym o ich losie. Z reguły nie wiedzieli nawet, czy i kiedy wdrożono przeciwko nim jakieś postępowanie administracyjne i na czym miałyby ono polegać. Jak większość ludzi zamieszkujących te ziemie od czasu do czasu straszeni byli wywózką. Z pewnością słyszeli rozmaite pogłoski o krainie „białych niedźwiedzi”. Ale nikt nigdy nie objaśnił im, jak się powinni zachowywać, aby owych przysłowiowych niedźwiedzi nie oglądać na własne oczy. Nie było również wiadomym, w czyjej gestii leży postanowienie o ewentualnej wywózce konkretnej osoby. „W dniu 13 kwietnia 1940 r. zostałem napadnięty w nocy przez NKWD i miejscowego komendanta milicji, zabrany z całą rodziną i wywieziono mnie w Kazakstan”, napisał rolnik z miejscowości Falewicze, bo nie wiedział, ani on ani nikt inny zresztą, na jakiej podstawie został wywieziony<sup>29</sup>. Po prostu, czy to sąd, czy wioskowy komitet, czy miejscowe NKWD władne są podjąć decyzję o zesłaniu nie było wiadomo. Jedyny przepis dotyczący masowych wysiedleń, który



podano do wiadomości publicznej w omawianym okresie, ogłoszony został w 5 punkcie komunikatu ustanawiającego stan wojenny we Lwowie. A mianowicie 25 czerwca 1941 roku, trzy dni po rozpoczęciu niemieckiej ofensywy na froncie wschodnim, komendant lwowskiego garnizonu rozkazał naczelnikowi milicji „przeprowadzenie wysiedlenia z miasta wszystkich osób nie posiadających paszportu”<sup>30</sup>.

Wątpliwe czy kogokolwiek zesłano na podstawie tego właśnie dekretu, bowiem urzędnicy i administracja w panice uciekali już wtedy na wschód i środki transportu przeznaczone były przede wszystkim dla ludzi wpływowych, zaś milicja i NKWD zajęte były wówczas rozstrzeliwaniem więźniów zamkniętych w lwowskich więzieniach. Tak czy inaczej, wszyscy inni wywiezieni z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi zesłani zostali do Rosji na podstawie tajnej decyzji bliżej niezidentyfikowanego organu sowieckiej administracji. Jak to pewien student z Łodzisk Górnych powiedział, „w kwietniu zostałem wywieziony wraz z matką i bratem i siostrą z Kazakstanu. Powodów wywiezienia nie podano. Sądzony nie byłem”<sup>31</sup>. Po prostu pewnego dnia stawila się na progu uzbrojona eskorta i mieszkańcy musieli pośpiesznie opuścić własne domostwo.

Nie posiadamy, niestety, dokładnych danych, aby ustalić ilu ludzi i kogo wywieziono do Rosji, pozostają oceny szacunkowe i domysły. Źródła sowieckie podają tylko jedną cyfrę: w odpowiedzi na interpelację rządu londyńskiego Andrzej Wyszyński (słynny oskarżyciel w moskiewskich procesach pokazowych, a w 1941 roku wiceminister Spraw Zagranicznych ZSSR) oświadczył, że w chwili wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej 387 932 „byłych obywateli polskich” znajdowało się na terenie Związku Radzieckiego w więzieniach, obozach pracy, albo na przymusowym osiedleniu. Dlaczego akurat tę liczbę podał, nigdy się nie dowiemy, z pewnością jednak niewiele miała ona wspólnego z rzeczywistością.

Najdokładniejszą i chyba wiarygodną ocenę przekroju społecznego i liczby wywiezionych sporządziło polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. W memoriale datowanym 15 marca 1944 roku w Londynie, pod tytułem „Obliczenie ludności polskiej zesłanej do ZSSR w latach 1939-1941”<sup>32</sup> wszystkie liczby podane są z zastrzeżeniem, że należy traktować je jako przybliżone. W

dotadku, po ustaleniu przydziału liczbowego opisującego każdą kategorię ludności wyszczególnioną w dokumencie, autorzy optowali z reguły na rzecz ocen najniższych, najbardziej konserwatywnych. Dodajmy, że polskie władze mogły tę żmudną pracę wykonać bardzo porządnie, lepiej niż ktokolwiek inny z wyjątkiem oczywiście sowieckiej tajnej policji. W obliczeniach wykorzystano najrozmaitsze spisy robione podczas trwania „odwilży” w polsko-rosyjskich stosunkach, kiedy to polska ambasada w ZSSR funkcjonowała nie tyle jako przedstawicielstwo obcego państwa, ale jako punkt koordynacyjny olbrzymiego aparatu opieki nad obywatelami polskimi, którzy się znaleźli na terytorium ZSSR i zostali objęci amnestią uzgodnioną w umowie polsko-rosyjskiej podpisanej 30 lipca 1941 roku w Londynie.

Polacy zbudowali w ciągu paru miesięcy rozległą siatkę tzw. „mężów zaufania” i delegatur terenowych rozrzuconą po całym terenie ZSSR. Ich zadania, w pełni uzgodnione z sowieckimi władzami, polegały na rejestrowaniu ludności polskiej, dostarczaniu pomocy materialnej najbardziej potrzebującym, organizowaniu poboru do armii polskiej i pośredniczeniu w kontaktach z miejscowymi władzami. Działalność ta wymagała więc ciągłego sporządzania rozmaitych spisów i list. I chociaż wobec bezwładu, chaosu, a potem i obstrukcji władz sowieckich aparat opiekuńczy ambasady R.P. wykonał swoje zadania tylko częściowo, to i tak aż do zerwania polsko-rosyjskich stosunków dyplomatycznych po odkryciu grobów katyńskich w kwietniu 1943 roku zebrano olbrzymią ilość informacji na temat warunków życia w Rosji stalinowskiej w ogóle, zaś w szczególności o obywatelach polskich z terenów Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, którzy wbrew własnej woli przybyli do Rosji w latach 1939-1941.

Wedle oceny MSZ-u jeden i ćwierć miliona ludzi z terenów okupowanych przez ZSSR znalazło się w głębi Rosji w chwili wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. Liczba ta obejmuje również osoby, które pojechały do Rosji w poszukiwaniu pracy, poborowych wcielonych do Armii Czerwonej w latach 1940 i 1941 i jeńców wojennych z okresu kampanii wrześniowej. Po odliczeniu tych kategorii obywateli polskich ustalono, że transportami na wschód zesłano około 900 tysięcy ludzi. Wśród nich mniej więcej

połowę stanowili skazani więźniowie wywiezieni do obozów pracy, zaś drugą połowę tzw. *spiecpieriesielency*, czyli ludzie zesłani na przymusowe osiedlenie. O nich właśnie będzie tutaj mowa. Ponieważ operujemy liczbami przybliżonymi, a oszacowania MSZ-u, na które się tu powołuję, były świadomie zaniżane, możemy uznać, że historia, którą tu mamy do opowiedzenia, opisuje los około pół miliona osób.

W okresie 20-miesięcznych rządów na Zachodniej Ukrainie i Białorusi od października 1939 do czerwca 1941 roku, władze sowieckie zorganizowały cztery masowe wywózki ludności. Pierwszą z nich rozpoczęto w nocy 10 lutego 1940 roku, drugą w dniu 13 kwietnia 1940 roku, trzecią zorganizowano w ostatnim tygodniu czerwca, zaś czwartą w rok później, w drugiej połowie czerwca 1941. Czwarta wywózka została przerwana wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej. Środki transportu przygotowane na ten cel zostały przypuszczalnie wykorzystane do ewakuacji sowieckiego wojska i administracji. Ofensywa niemiecka zupełnie dezorganizowała ruch kolejowy i w ogóle wszelkie planowe działania sowieckich instytucji. Zatem sporą część ludzi przeznaczonych do wywiezienia ominęła wówczas tułaczka, choć dla wielu z nich okupacja niemiecka przyniosła jeszcze bardziej okrutny los. Przyjmuję, że w trzech pierwszych falach wywozek zesłano za każdym razem mniej więcej tę samą liczbę osób i że w czerwcu 1941 roku przerwano zaplanowaną akcję w połowie. Przy tym założeniu trzy pierwsze zsyłki obejmowałyby za każdym razem około 125 do 150 tysięcy ludzi, zaś kontyngent z czerwca 1941 wyrażałby się liczbą 60 do 80 tysięcy.

Cyfry, które podaję, ilustrują jedynie skalę zjawiska i nie należy uważać ich za precyzyjną miarę liczbową tego, co się wydarzyło. Ani też nie możemy mieć pewności, że w każdej wywózce zesłano do Rosji w przybliżeniu tę samą ilość ludzi. Bo, na przykład, relacje osobiste zachowane w archiwach, pozwalające dziś na opracowanie tego tematu, w przeważającej części pochodzą od wywiezionych w lutym. Zachowało się też sporo, chociaż znacznie mniej, relacji osób wywiezionych w kwietniu. Ale dokumentacja spisana przez ofiary wywózki czerwcowej z 1940 roku, a w szczególności tej z czerwca 1941, jest już doprawdy znikoma.

Jednak różnice te dają się do pewnego stopnia wytłumaczyć, kiedy zwrócimy uwagę na skład społeczny poszczególnych fal zesłańców. I tak kwietniowa deportacja objęła przede wszystkim kobiety i dzieci, zaś w czerwcu 1940 roku wywieziono przede wszystkim Żydów. Ponieważ materiały archiwalne zebrane zostały wśród żołnierzy Armii Andersa, trudno się dziwić, że świadectw z kwietnia i czerwca jest stosunkowo niewiele. Z kolei wywózka czerwcową z 1941 roku, bardziej różnorodną pod względem składu społecznego (choć najprawdopodobniej przeważali w niej uciekinierzy z zachodniej i centralnej Polski, a więc znowu Żydzi), była mniejsza od poprzednich. Jeśli zaś chodzi o ludność zesłaną w lutym 1940, o której mamy najwięcej świadectw, to składała się ona przede wszystkim z rodzin osadników wojskowych i chłopów. Zatem nie tylko stanowili oni później trzon Armii Polskiej na Wschodzie, ale i łatwiej chyba umieli się przystosować do warunków panujących na osiedleniu. Przyzwyczajeni do pracy fizycznej i zabrani z domu w środku zimy, większą mieli szansę przeżycia już choćby dlatego, że wyruszyli w drogę ubrani w odzież chroniącą od zimna. Ilu zesłańców z kwietniowej czy czerwcowych fal wywozek miało dość przytomności umysłu i czasu, aby zabrać zimowe ubranie? Dowiemy się wkrótce, w jakich warunkach pakowali się ludzie zsyłani do Rosji. Zaiste trudno przypuszczać, że mogli spokojnie zaplanować asortyment przedmiotów niezbędnych do zabrania w tę podróż w nieznane. Brano co wpadło w rękę, zaś w kwietniu czy w czerwcu raczej nie była to baranica. Już z tej choćby przyczyny mniejsze były ich szanse przeżycia zimy w Rosji.

Moja sugestia, że w wywózkach 1940 roku zesłano za każdym razem porównywalną liczbę osób, opiera się na intuicji. Wydaje mi się, mianowicie, że czynnikiem decydującym o rozmiarach każdorazowej wywózki była przede wszystkim nośność dostępnych środków transportu. Harmonogram wywozek, dwumiesięczny rytm odstępów między kolejnymi deportacjami w 1940 roku sugeruje, że postarano się, aby cały tabor kolejowy zaangażowany do akcji mógł powrócić do punktów załadunkowych po następną porcję pasażerów. Do transportu służyły z lekka tylko przerobione wagony towarowe. Ładowano do nich niekiedy nawet i po 70 osób. Najczęściej zesłańcy obliczają liczbę współ-

pasażerów na trzydzieści parę, do sześćdziesięciu<sup>33</sup>. Przyjmijmy, że średnio 45 pasażerów ładowano do jednego wagonu. Tak więc potrzeba było około trzech tysięcy wagonów przy okazji każdej kolejnej wywózki do Rosji. „W styczniu 1940 r.,” wspomina ekspedycyjny ze stacji Baranowicze, „przystąpiono do przygotowywania taboru kolejowego do wywozu ludzi – kratowano otwory (okienne) w wagonach towarowych, zaopatrywano w deski na półki, zablano drzwi z jednej strony wagonu zostawiając otwór do 15 cm ze wstawionym korytkiem do załatwiania potrzeb natury fizycznej i w miarę posiadania wstawiano piecyki. Wysyłano po kilka takich składów pociągów (skład – około 60 wagonów) dziennie do Białegostoku, Wołkowyska, Lidy i Brześcia. W lutym przez kilka dni cały tabor kolejowy był używany do tych transportów”<sup>34</sup>. Według naszych obliczeń i przytoczonych tu oszacowań za każdym razem 50 takich pociągów musiało wyruszyć do Rosji. A że sieć kolejowa na tych terenach nie była rozbudowana i cały ruch szedł na wschód przez węzły, do których doprowadzono magistrale o szerszym, obowiązkowym w Rosji, rozstawie torów, trudno się dziwić opinii Leopolda Bakalarczyka, ekspedycyjnego ze stacji Baranowicze, który podaje, że wówczas „inny ruch kolejowy wcale się nie odbywał”<sup>35</sup>.

Jeśliby podsumować informację posiadaną przez nas na temat wywozek, to uzyskamy następującą charakterystykę poszczególnych fal<sup>36</sup>:

— W lutym z miast wywieziono przede wszystkim urzędników państwowych i samorządowych, sędziów, prokuratorów i policję; ze wsi wywieziono służbę leśną, osadników, drobnych rolników, Polaków, Ukraińców i Białorusinów. Liczne wsie zostały wówczas całkowicie ogołocone z ludności.

— W kwietniu wywieziono rodziny poprzednio aresztowanych (a więc kobiety i dzieci), rodziny osób zbiegłych za granicę, kupców, osadników rolnych ze zlikwidowanych majątków ziemskich oraz drobnych rolników wszystkich trzech narodowości.

— W czerwcu 1940 wywieziono uciekinierów z centralnych i zachodnich okręgów Polski (a więc przeważnie Żydów), drobnych kupców, wolne zawody, profesorów uniwersytetu, nauczycieli.

— W czerwcu 1941 wywiezieni zostali wszyscy pozostali przynależni do wyżej wymienionych grup, którzy uprzednio uniknęli deportacji.

Na podstawie list zebranych przez oddział Polskiego Czerwonego Krzyża w Teheranie, w cytowanym już dokumencie MSZ-u sporządzono tabelę opisującą zesłańców podług zawodu. Robotników i chłopów wśród wywiezionych było 31%; rzemieślników – 25%; 12% to zawodowi wojskowi, policja i KOP (Korpus Obrony Pogranicza); 8% stanowią urzędnicy prywatni, państwowi i samorządowi; 4% to nauczyciele; 3% lekarze i personel medyczny<sup>37</sup>. Nie wymieniam wszystkich kategorii zawodowych wyszczególnionych w opracowaniu, jest ich aż siedemnaście. Wśród 265 tysięcy obywateli polskich spisanych w kartotece ambasady R.P., którzy zostali w ZSSR po ewakuacji Armii Andersa, było 35% mężczyzn, 36% kobiet i 29% dzieci poniżej lat 14<sup>38</sup>. Zaś statystyka wywózek porządkująca ofiary według przynależności do grupy etnicznej wykazuje, że 52% zesłańców to byli Polacy, 18% Ukraińcy i Białorusini, a 30% Żydzi. Jak z tu podanych cyfr wynika ponad wszelką wątpliwość, los tułaczy przeznaczony był nie tylko dla burżujów.

Zbiorcze statystyki wywózek pokazują, że niezależnie od zawodu, płci, wieku i narodowości każdy właściwie mógł się znaleźć w transporcie na wschód do Rosji, na przymusowe osiedlenie. Ale ponieważ nie wszystkich jednak wywieziono, to chciałoby się wiedzieć, dlaczego właśnie ta a nie inna osoba dostawała się na listę przeznaczonych na zesłanie. Czy tylko przypadek rządził losem człowieka w tej materii? Nie ludźmy się, że uzyskamy na to pytanie zadowalającą odpowiedź, ale warto poszukać jakiegoś wyjaśnienia.

Od samego początku swoich rządów administracja sowiecka zbierała informacje na temat mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Już w pierwszych dniach okupacji, pod najrozmaitszymi pretekstami, spisywano ludzi. Wystarczy przypomnieć kampanię przedwyborczą z pierwszej połowy października 1939 roku. Ambicją organizatorów „plebiscytu” było zmusić wszystkich dorosłych obywateli do wzięcia udziału w tym rytuale zbiorowego założenia sobie obroży na szyję (wszystkich, nawet młodzież szkolną pędzono do urn), a więc dokładnie i po wielokroć spisywano każdego mieszkańca, zbierając przy okazji dokładne informacje biograficzne. Według nauczycieli, którym często

zlecano przygotowanie list do wyborów, kazano im chodzić od domu do domu „spisując wszystko i wszystkich”<sup>39</sup>. Ale dane o mieszkańcach tych ziem zaczęto gromadzić zanim jeszcze przystąpiono do kampanii wyborczej. Jako pierwszą inicjatywę nowych władz chłop ze wsi Stymonie wspomina spis weteranów wojny 1920 roku. We Lwowie, jak podaje *Czerwony Sztandar*, na dzień 18 października 1939 miał być gotowy spis dzieci i młodzieży do lat osiemnastu nie uczęszczającej do szkół<sup>40</sup>. Zbierano dane o ludziach w ich miejscu pracy. Wkrótce po zajęciu Lwowa przez Sowieców robiono ankiety personalne w szpitalu numer 6. Wywiady indywidualne trwały po parę godzin. Październikowa rejestracja oficerów, włączając w to emerytów i oficerów rezerwy, również dała pretekst do długich rozmów.

Bez przerwy usiłowano dowiedzieć się czegoś o ludziach: kim są, gdzie mieszkają, jakie mają poglądy i kwalifikacje, czym obsiali pole, jaki sprzęt gospodarski posiadają na własność. I dochodzenia te, jak się ludzie prędko przekonali, nie były zgoła niewinne. Wkrótce po tym, jak się sytuacja względnie ustabilizowała i komitety wioskowe zaczęły normalnie funkcjonować, poleciono im zrobić dokładne spisy żywca, martwego inwentarza i zapasów wszelkiego rodzaju będących w posiadaniu każdego gospodarstwa. Po uzyskaniu tych informacji wprowadzono zarządzenia ograniczające swobodę dysponowania osobistą własnością. Nie wolno było darować ani sprzedać niczego bez zgody wioskowego komitetu; na ubój bydła trzeba było mieć specjalne pozwolenie, tak samo zresztą jak i na to, żeby zabić kurczaka<sup>41</sup>. Za pomocą metody spisowej przeprowadzono, krótko mówiąc, *de facto* wywłaszczenie. Nie trzymano się zresztą w tej materii dokładnych reguł i różnie sytuacja wyglądała w różnych częściach okupowanych terenów, ale zasada była ta sama i prędko została przez ludzi zrozumiana – każda rejestracja była zapowiedzią jakichś ograniczeń lub nieprzyjemności. Lista, obojętnie przez kogo i w jakim celu zebrana, zawsze się okazywała być czarną listą.

Najbardziej gruntowny spis, a właściwie cała ich seria, bo wielokrotnie je wówczas przeprowadzono, poprzedził wywózkę lutową – mam na myśli listy przygotowane z okazji październikowego plebiscytu. Spisywano wówczas ludzi w trakcie kampanii

przedwyborczej i w dniu głosowania w lokalach wyborczych. Wielu zesłańców tłumaczy swój los zapisem na temat ich zachowania poczynionym wówczas przez nadzorujących przebieg wyborów. Ale choć w wielu wypadkach decydujący o późniejszej zsyłce, październikowy plebiscyt nie był jedynym sprawdzianem mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

Na przełomie 1939/40 nagle wzrosła częstotliwość rozmaitych spisów robionych na wsi. Zaczęły krążyć plotki o nadchodzących wywózkach. „Często spisywały nas władze sowieckie, chodzili do każdego domu i wszystkich dokładnie spisywali, jak my się pytali co to ma znaczyć poco nas tyle razy spisują, to nam nie chcieli odpowiedzieć”. Niekiedy władze lokalne, pragnąc uspokoić nastroje, reagowały na plotki o rychłym zesłaniu grożąc naiwnym, którzy im dają wiarę wyprzedając gospodarstwa i pakując się do podróży, że ich rzeczywiście za karę poślą na północ. „Czekaliśmy z dnia na dzień jakiegoś wyroku, bo bardzo często odbywały się zebrania komitetów z władzami sowieckimi na które nam nie wolno było chodzić... Na jakie dwa tygodnie przed naszym wyjazdem wszystko ucichło”<sup>42</sup>. Potem przyszedł 10 lutego 1940 roku.

Podobnymi wspomnieniami do cytowanych tu przeze mnie (autorstwa Heleny Wypijewskiej z Bortnicy w powiecie Dubno) mogłoby się podzielić wielu Polaków zamieszkujących wieś i miasteczka Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Ludność białoruską czy ukraińską spędzano na tzw. mityngi i namawiano, żeby się domagała usunięcia ze wsi sąsiadów Polaków. I wprawdzie można mieć wątpliwości, czy to była żelazna zasada i czy takie zebrania zawsze poprzedzały deportacje z lutego 1940, bo przecież Ukraińców i Białorusinów też zsyłano niekiedy całkowicie wyludniając jednorodnie etnicznie wioski, ale wiemy, że zebrania ludności w tej sprawie odbywały się na całym terenie okupacji sowieckiej. Wiemy też od dobrze poinformowanych świadków tych wydarzeń, że w niektórych wioskach zgoda zebranej ludności (albo przynajmniej wioskowego komitetu) była niezbędna, aby kogokolwiek umieścić na liście przeznaczonych do wysłania<sup>43</sup>.

Oczywiście ludzie, o których była mowa na tych zebraniach, dowiadywali się prędko o wszystkim czy to w formie ostrzeżenia od życzliwych sąsiadów, czy też, przeciwnie, pogardliwych urągania



od ludzi z satysfakcją oczekujących aż ich osiągnięcie nieszczęście. Bywało, że miejscowa ludność opierała się tej inicjatywie i pod rosnącą presją nasyłanych przedstawicieli władz sowieckich dyskusa we wsi czy miasteczku stawała się zupełnie otwarta. Osadnik wojskowy z Belmaża zostawił opis dający wgląd w ówczesne nastroje: „Władze sowieckie zaczęły naciskać komitety lokalne i grozić aby takowe zlikwidowały osadników i Polaków i ażeby takowe wyniosły uchwałę o wywiezieniu ich z Polski jako elementu burżuazyjnego i szowinistycznego, wrogo do nich ustosunkowanego. Nie szło to łatwo. Z komitetami konferowano, wzywano do rejonu, zmieniano opozycjonistów i podstępnie wymuszano uchwałę aby Polaków powywozić gdyż tu może dojść do rozruchów i wtedy za Polaków komitety będą odpowiedzialne. Były robione prowokacje że osadnicy chcą palić wsie i rżnąć Ukraińców, a wtedy bolszewicy występowali jako obrońcy Polaków przed Ukraińcami chociaż sami te prowokacje inspirowali”<sup>44</sup>.

A więc listy, według których wywieziono 150 tysięcy ludzi w lutym 1940 roku, przygotowane były w porozumieniu z komitetami wioskowymi oraz miejscową ludnością białoruską i ukraińską. Ale ponieważ nie wszystkie polskie rodziny osiadłe na wsi zostały wtedy zesłane, sam fakt przynależności do grupy etnicznej nie był wystarczającym powodem do zsytki. Polskich osadników uszeregowano wedle jakichś kryteriów, skoro jednych zesłano a innych zostawiono (chwilowo tylko co prawda) w spokoju. Jakże to były kryteria, możemy się domyślać, bo wiemy sporo na temat funkcjonowania wioskowych komitetów i metod sprawowania władzy – a więc konflikty osobiste, zadawnione urazy i nacisk z zewnątrz ze strony władz powiatowych, które musiały wykonać plan dostarczenia kontyngentów ludzkich do wywózki. I choć, jak się dowiedzieliśmy, ludność miejscowa niekiedy pragnęła uchylić się od roli wykonawcy tego, jak wszyscy świetnie sobie zdawali sprawę, okrutnego wyroku, to jednak większość komitetów wioskowych podjęła się poruczonego zadania.

Ustalanie list osób przeznaczonych do deportacji w kwietniu 1940 roku odbywało się inaczej. W kwietniowej wywóźce zesłano przeważnie mieszkańców miast i nic nie wskazuje na to, że poprzedziły ją wiece i konsultacje z ludnością. Ponieważ zesłano

w tej fali głównie rodziny uprzednio aresztowanych, spis osób przeznaczonych do wywiezienia można było dyskretnie przygotować w lokalnych biurach NKWD. Była to, innymi słowy, czysto policyjna operacja. Dodajmy jeszcze, że wybory do Rady Najwyższej i Rady Narodowości ZSSR odbyły się na terenie Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi 24 marca. Z pewnością los wielu osób został przypieczętowany tego dnia. Wioski ukraińskie, których ludność demonstracyjnie zbojkotowała wybory, zostały zesłane w kwietniu właśnie<sup>45</sup>.

Jeszcze inną metodę zastosowano przygotowując wywózkę z czerwca 1940 roku. Można właściwie powiedzieć, że ofiary wpiśały się wówczas same na listy przeznaczonych do wywiezienia. Stało się tak za sprawą zrzędnego oszustwa NKWD. Oddajmy głos Helenie Antoniewicz ze Lwowa, która doświadczyła tego na własnej skórze: „W maju 1940 rozeszła się we wschodniej części Polski, okupowanej przez władze sowieckie pogłoska, że przyjedzie do Lwowa komisja niemiecka. Celem jej będzie zarejestrowanie i w porozumieniu z władzami sowieckimi ułatwienie uchodźcom z zachodniej i centralnej Polski, powrotu do miejsc stałego zamieszkania przed wybuchem wojny w roku 1939. Pogłoska ta podawana z ust do ust spowodowała napływ ludności uchodźczej z okolicznych miast, miasteczek i wsi do Lwowa. Sprawa przyjazdu komisji niemieckiej wywołała wśród uchodźców wielkie podniecenie. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jak wrogo są Niemcy nastawione do Polaków i że nie czeka ich po powrocie tam nic dobrego, lecz z drugiej strony żyli w ciągłej obawie przed przymusowym wysiedleniem w głąb Rosji sowieckiej, w głąb kraju, o którym mieli groźne wieści od rodaków wywiezionych tam w lutym i kwietniu 1940 r. Sąd ich o Rosji sowieckiej umacniali nadto ci ludzie, którzy dobrowolnie tam na pracę wyjechali i po paru tygodniach stamtąd uciekli. Mając zatem wybór tylko między tyimi dwoma ostatecznościami, uchodźcy chcieli przynajmniej zapewnić sobie możliwość połączenia się z rodzinami i ewentualnego uratowania choć w części pozostawionego tam mienia. Ponadto uchodźcy nie chcieli być ciężarem rodakom, którzy pod zaborem sowieckim bardzo ucierpieli, z powodów tak mieszkaniowych jak finansowych... Czekali bardzo na komisję niemiecką Ukraińcy, którzy w porozumieniu z kolonistami nie-

mieckimi, osiadłymi w województwie lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim mieli występować jako tzw. «Volksdeutsche» i w tym charakterze przejść na terytorium okupacji niemieckiej.

Podniecenie wśród ludności we Lwowie było wielkie, tym bardziej że władze sowieckie potwierdziły ogłoszeniami wiadomość o przyjeździe komisji niemieckiej do Przemyśla i Lwowa. Codziennie gromadzono się przy ulicy Orzeszkowej gdzie miała urzędować komisja niemiecka i gorączkowo rozprawiano na ten temat.

...Celem zaprowadzenia porządku przy rejestracji, uchodźcy wybrali spośród siebie setników i tysięczników, którzy podjęli się systematycznego spisywania zgłaszających się do wyjazdu. W ciągu kilku dni niemal wszystkie drzewa przy ulicy Orzeszkowej obwieszane były tablicami, na których oznaczono kolejność zapisanych tysięcy osób. Wieczorem zbierali się codziennie tysięcznicy i w obecności NKWDystów zestawiali listy, swoje listy. Liczba spisanych dochodziła już do ośmiu tysięcy, gdy w drugiej połowie maja 1940 roku komisja niemiecka przyjechała z Przemyśla do Lwowa. Zakończyła tam ona spis uchodźców chcących wrócić do swoich domów. Tak jak było oznaczone komisja niemiecka rozpoczęła swoją działalność w willi «Grażyna» przy ulicy Orzeszkowej. Uchodźcy, skoro przekonali się że sprawa ich powrotu do swoich rodzin i domów staje się realna, zaczęli się masowo zgłaszać, a co dziwniejsze w znacznej większości Żydzi. W ciągu jednego dnia liczba rejestrujących się skoczyła na siedemdziesiąt tysięcy...

Komisja niemiecka rozpoczęła swą działalność w obecności władz sowieckich od spisania osób reklamowanych przez swoje rodziny znajdujące się na terenie okupacji niemieckiej. Tych osób jednak nie było wiele. Następnie komisja wciągnęła na listę wszystkich tzw. «Volksdeutschów», wśród których *de facto* przeważali Ukraińcy, podani jako krewni kolonistów niemieckich. Znaleźli się też na tej liście Polacy, którzy z rozkazu Kierownictwa Walki Podziemnej musieli się tam przedostać, nawet za cenę pozornego przyznania się do niemieckości. Wreszcie nieliczni ci, którzy z tchórzostwa przyznali się do pokrewieństwa z Niemcami. Ilość tzw. Volksdeutsche'ów dochodziła do kilku tysięcy. Spośród zaś wszystkich uchodźców spisanych przez setników i tysięczni-

ków na wyjazd wzięto tylko jeden tysiąc. Niemcy tłumaczyli to wyczerpaniem przewidzianego przez nich kontyngentu trzydziestu tysięcy osób już w czasie rejestracji przemyskiej... Na tym zakończyła swą działalność komisja niemiecka, która po trzech dniach pracy wyjechała ze Lwowa.

Wtedy uchodźcy zdali sobie sprawę z tego, że wpadli w wielką pułapkę, która może się dla nich skończyć tragicznie. Przypuszczano powszechnie, że cała ta rejestracja była już z góry ukartowanym programem władz sowieckich i niemieckich. Dokładne adresy wszystkich uchodźców były już obecnie w rękach NKWD, adresy istotne a nie fikcyjne, jak często robiono, by ślad po sobie zatrzeć. Krzycząca prawda o faktycznym miejscu pobytu uchodźców wzbudziła u tych ludzi zupełnie słuszne obawy, co do dalszych ich losów. Każdy niemal uświadamiał sobie, że nie łatwo będzie znaleźć nowe mieszkanie i ukryć się przed okiem wrogiej władzy, tym bardziej że natychmiast po odjeździe komisji niemieckiej pojawił się surowy zakaz zabraniający wynajmowania mieszkań ludziom bez paszportów sowieckich<sup>46</sup>.

Podstęp okazał się skuteczny, a organizatorzy wytrwali w poetyce oszustwa do samego końca. W wigilię nocy czerwcowej, kiedy samochody zaczęły zwozić zesłańców na dworce kolejowe do podstawionych pociągów; ogłoszono próbny alarm lotniczy zmuszając ludzi, aby siedzieli w domu, w piętremku, z zasłoniętymi oknami czekając, aż się dopełni ich los<sup>47</sup>.

Zimą 1940 roku temperatura spadała nocami do 40 stopni poniżej zera. 10 lutego mieszkańców wiosek Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi obudziło walenie w drzwi. „Akcję należy rozpocząć przed świtem” pisał Iwan Sierow, szef NKWD na Ukrainę i najbliższy współpracownik Chruszczowa, w *Instrukcjach dotyczących metody przeprowadzenia deportacji*. „Przed wszystkim należy ją przeprowadzić nie wywołując hałasu i paniki”<sup>48</sup>. Kilkuosobowe grupy ciepło odzianych mężczyzn z bagnietami osadzeni na karabinach zjawily się we wsiach gotowe wyważyć drzwi chałup, jeśli ich natychmiast nie otworzono. „Pewnej pamiętnej nocy zimowej 10 lutego kiedy ludzie spali głębokim snem, jakies postacie cicho skradali się koło mieszkań z postanowieniem zabrania tego spokoju. U nas w domu również

wszyscy spali nie przeczuwając jak wielka groza zawisła nad nimi. Ja jedna nie mogłam usnąć nurtował mną dziwny niepokój, wokół panowała niezmięcona cisza, tylko zegar miarowo udeżał nigdy niestrudzony, i obojętny na wszystko. Wskazówka dochodziła trzeciej w nocy, zegar wydzwonił miarowo trzy razy, a we mnie wzrastał niepokój który okazał się prawdziwym, bo oto usłyszałam ciężkie stąpanie, udeżenie kolbami i słowa otkroj-ciel... I weszli ci którzy byli panami naszego życia"<sup>49</sup>. Wspomnie-nie starej chłopki z Wiśniowca brzmi może trochę jak fragment gorszej powieści. Ale „literacka”, stylizowana, forma opisu tego, co się wydarzyło owej lutowej nocy jest bardzo powszechna wśród zesłańców. Tak jakby nawet po wielu latach owo przeżycie nie dawało się ująć w tok zwykłej narracji, jakby było zdarzeniem, które w doświadczeniu normalnego życia nijak się nie mieści, jakby to była fikcja literacka a nie zaszłość ich własnego losu.

Od chwili wejścia grupy zbrojnych ludzi do domu wyrwani ze snu mieszkańcy byli zupełnie zdezorientowani. Bo choć miejs-cowa milicja i komitetowi wielokrotnie już przeszukali wszystkie zabudowania i nie raz składali niezapowiedziane wizyty, tym razem dawało się wyczuć, że jest jakoś inaczej. „Sowietci weszli do mieszkania. Jeden z nich wyjął rewolwer i krzyknął do tatusia po sowiecku ręce do góry, tatuś podniósł, potem kazał iść do kąta i pilnował” wspomina Stanisław Matrejek z Wołynia<sup>50</sup>. Zanim jeszcze wyjaśniono cokolwiek, odseparowano dorosłych męż-czyzn od reszty mieszkańców. „Tatusia posadzili na krześle i stało dwóch policjantów z rewolwerami w ręku i nie pozwolili się nawet ruszyć”<sup>51</sup>. Ojców rodziny i starszych synów stawiano pod ścianą z podniesionymi do góry rękoma, albo kazano im klęczeć na środku pokoju, albo usiąść na krześle w kącie izby pod strażą jednego z intruzów. Unieruchomiwszy w ten sposób mężczyzn, przybysze zabierali się do rewizji szukając ukrytej broni. Zazwyczaj rewizja była tylko pretekstem do grabieży rozmaitych przedmiotów, które wpadły w oko milicjantom. Tym razem i dziwna pora, i bru-talność, i napięcie, w jakim przystąpiono do dzieła, zwiastowały ukryte niebezpieczeństwo.

Dla milicjantów wchodzących w skład grup operacyjnych nie była to wyprawa jak każda inna i ich zdenerwowanie udzielało się ofiarom. W noc lutową akcja Sierowa zakrojona była na szeroką

skale i sam ten fakt mógł już wywoływać niepokój. Każda grupa operacyjna hyla tylko częścią obławy, która odbywała się równocześnie w wielu innych miejscach. A więc trzeba było skoordynować działanie z innymi grupami i od razu było wiadomo, kto nie wykonał powierzonego zadania. W dodatku powiedziano milicjantom na odprawie, że tym razem grozi im niebezpieczeństwo zbrojnego oporu, co uprawdopodobniał rozmiar sił policyjnych zgromadzonych do akcji.

I rzeczywiście, przy wysiedleniach brało udział mnóstwo ludzi, bo sukces przedsięwzięcia wymagał, aby *równocześnie* wygarnąć mieszkańców całych wiosek, inaczej pouciekaliby w las albo do sąsiadów. Dlatego też oprócz milicji i NKWD zaangażowano do akcji tzw. „aktywistów”. Herszel Wajnrauch, sowiecki dziennikarz, który pracował w gazecie żydowskiej wydawanej wówczas w Białymstoku, opisuje swój udział w akcji: „Policja sowiecka nie miała wystarczającej ilości ludzi aby przeprowadzić masowe areszty, użyto więc do pomocy zwyczajnych cywilnych sowieckich obywateli. Nasza gazeta miała dostarczyć dwie osoby i ja byłem jedną z nich. Dali nam broń i poszliśmy razem z policją aresztować ludzi i wysyłać ich na Sybir”<sup>52</sup>. Nie pierwszy to raz i nie ostatni, kiedy władzom komunistycznym brakowało policji, aby spacyfikować społeczeństwo. Trudno się dziwić, że grupy operacyjne, tylko częściowo złożone z zawodowców, budziły swoim zderowaniem niepokój ofiar jeszcze zanim powiadomiono je, że zostają wysiedlone.

Oczywiście w chłopskich domach, do których weszli tej nocy wystannicy generała Sierowa, już dawno nie było żadnej broni. Ale niepisany rytuał rewizji wymagał takiego uzasadnienia. Zazwyczaj milicjantom chodziło o pretekst, aby się rozejrzeć po gospodarstwie i zabrać co lepsze rzeczy. I tym razem nie oparli się pokusie. „Podczas przeprowadzonej u mnie rewizji NKWD zabrał mi ponad 2000 rubli sowieckich oświadczając, że pieniądze te są sowieckie więc ja ich nie mogę posiadać jako wróg”<sup>53</sup>, na który to sylogizm nie ma łatwego kontrargumentu. Ale pozorów normalnej rewizji nie dawało się długo utrzymać. Bo to nie rzeczy przyszła tym razem milicja zabrać od ludzi, tylko na odwrót. Kluczowym momentem całej operacji było powiadomienie o tym fakcie mieszkańców.

Dopiero kiedy wyjaśniono cel wizyty, właściwa procedura wywózki mogła zostać uruchomiona. Bo wyludnienie całych wsi czy bloków mieszkalnych wymagało choćby minimalnej współpracy ze strony ofiar. Był to więc próg psychologiczny, który musieli przekroczyć zarówno skazani na zesłanie jak i ich prześladowcy. „Muwi nam aby my słuchali co on będzie czytał przeczytał nam dekret śmiertelny że za pół godziny mamy być zebrany do wyjazdu furmanki tó przyjdą... ja na oczy zaraz ociemniała i strasznie się śmieje kszyczy Enkawódzista óbierać się ja latam popokoju i się śmieję... syn pakuje co może. Starszy Edzio drugi Stasio tszeci Fredzio curka Alicia płaczą dzieci i proszą abym pakowała bo będzie źle ja bez pamięci”<sup>54</sup>. To musiało być straszne. Noc, mróz na dworze, płacz dzieci, bezradność dorosłych, krzyk. „Kazali nam w przeciągu pół godziny przyszykować się do drogi. Spoczątku nie wiedziałam co robić, zdawało mi się że to już koniec ręce bezwładnie opuściłam lecz nienadługo bo oto dzieci swym płaczem przypomniały mi żeczywistość”<sup>55</sup>. Nawet dwa miesiące później, w kwietniu, kiedy wywózka nie była już nowością, moment w którym człowiek się dowiadywał, że jemu właśnie przypadł w udziale ten los, odbierał zmysły. „NKWD czytał z arkusza papieru jakieś tam paragrafy, których niewiele rozumiałem, jedno co mi utkwilo w pamięci, że zostajemy wysiedleni. Ojciec zemdlął kiedy usłyszał te słowa, ledwośmy go odratowali”<sup>56</sup>. „Wywożono mnie z dziećmi bez przytomności”, pisze kobieta ze Studzianek: „Kiedy przyszłam do przytomności zobaczyłam, że jestem w wagonie zamknięta”<sup>57</sup>.

Zresztą, niektórym prześladowcom też trudno przychodziło oswoić się z sytuacją. Kiedy rodzinę pani Pączkowej ładowano do furmanki, żołnierz rosyjski, który im pomagał, „muwi wy płacze cię amy 20 lat płacemy i cierpimy... babka uczyła mie że Bóg jest i muwila że prorocstwo w Ewangelii jest że polskie wojsko wybawi nas ot komunizmu ato my was zabieramy na Sybir jak to się stanie, i zapłakał”<sup>58</sup>. Skamieniali ludzie właściwie nie stawiali oporu. Czasami ktoś próbował uciekać, ale nie było dokąd<sup>59</sup>. Czasami ktoś w bezradnej rozpaczce odmówił wypełnienia poleceń, ale i to niczego nie zmieniało. „Zaczęto przemocą wnosić dzieci na sanie i kiedy zrozumiałam, że to jest przymusowy wywóz zaczęłam sama zbierać się i przyodziewać dzieci ciepłej, ponieważ był silny

mróz i zawieja śnieżna"<sup>60</sup>. Ludzie oszołomieni nakazem wywózki tracili mnóstwo cennego czasu. Nic dziwnego, bo rozumieli przecież, że znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, że rozkaz wyjścia z domu nocą, na mróz, w drogę do nikąd to był gwałt, jakiego nigdy do tej pory nie zaznali.

Bardziej doświadczeni, albo może po prostu cyniczni, enkawudziści doceniali ciężar psychologiczny tej sytuacji i aby rozładować atmosferę, uciekali się niekiedy do oszustwa sugerując, że to przeprowadzka raczej a nie zsyłka, że transport idzie do sąsiedniego województwa a nie do Rosji, że uchodźcy z centralnej Polski odesłani będą pod okupację niemiecką, albo że to wyjazd tylko na kilka dni<sup>61</sup>. „Zabierać nic nie trzeba”, mówili wywożonym z Sieniawy w kwietniu 1940 roku. „pojedziemy tam gdzie zechcemy, albo do siostry, która mieszka po stronie niemieckiej, albo do męża”<sup>62</sup>. „Mieli nas wywieźć do Niemiec”, pisze Maria Wilk, „i kłamali że będzie nam dobrze. Polacy wierzyli i nie wierzyli w to”<sup>63</sup>. W Stołynie, na Polesiu, „oni gadali do nas, że oni tylko wiozą nas na pogadankę a tymczasem zawieźli na stację i do towarowych wagonów”<sup>64</sup>. Kiedy wywozili rodzinę Warzyboków „zabrać nam nic nie dali, zaledwie kilka bułek chleba. Bo mówili, że zaraz wrócimy. Ale się nie sprawdziło”<sup>65</sup>.

Czasami dochodziło do rozmowy, w której prawda odsłaniała się stopniowo. „Naś ranem tego dnia przyszło do mnie 2 milicjantów i kazali mi się ubierać”, pisze kobietą wywiezioną z Przemyśla, „że pojedę stąd o 100 km, bo to jest granica, to nie możemy tu mieszkać, gdy ja mówię że on kłamie to on mi mówi, że trochę dalej jak 100 km. Wtenczas ja mu powiedziałam, że nas na Sybir wywożą, on mi mówi, że ja jadę do męża, że tam czeka mąż na nas”<sup>66</sup>. Zaś szewc z Chrynowa na Wołyniu dowiedział się po prostu, że wyrusza w drogę tego zimowego ranka na własne życzenie: „W lutym 1940 r. przyszedł zarządzający wsią komisarz i dwóch żołnierzy pokazując ojcu akt, w którym ojciec zgadza się jechać ochotniczo do Rosji. Akt ten był fałszywy. Ojciec podpisywał się pod spisem inwentarza w grudniu, podpisując się na czysty papier, na którym później został napisany akt dobrowolnego opuszczenia osady”<sup>67</sup>.

Zdarzało się też, choć chyba nieczęsto, że ludzie zachowywali poczucie humoru, jak na przykład pewien chłop w stanisławowskim, który na pytanie czy chce jechać do Rosji czy do Niemiec



odpowiedział „rze do Ameryki”<sup>68</sup>. Czasami enkawudzista umiał zażartować: „w czasie gdy pytalіśmy się NKWD-ty dokąd nas powiozą, to on muwil, że do raju”<sup>69</sup>. Ale dialogi oprawców z ofiarami nie trwały długo. „Po przeszukaniu kieszeń tatusia i przetrząśnięciu łózek i szaf, oznajmia nam enkawudzista że zostajemy przeniesieni do drugiej obłaści by tam rozpocząć nowe życie. Pytany się jakie życie? pada odpowiedź bez rozmów prędzej się zbierać”<sup>70</sup>.

Wrzaz z informacją, że mają opuścić dom, ludzie dowiadawali się również, ile mają czasu na przygotowanie do podróży i co im wolno ze sobą zabrać. I jedno, i drugie odmierzone było skąpo. Każda grupa operacyjna musiała wyprawić w drogę kilka gospodarstw, należało więc skazanych jak najszybciej zmusić do wyjścia z domu. W drodze na stację, w punkcie zbornym, albo w transporcie łatwiej było nad całą sytuacją zapanować. Nikt, poza zupełnie wyjątkowym zbiegiem okoliczności, nie troszczył się już w tym momencie o dobro skazańców. Zważywszy w dodatku, że wszystko co pozostało we wsi mogli sobie później wykonawcy tej akcji zabrać na własny użytek, nie zależało im zbytnio, aby się wysiedlanym pozwolić porządnie spakować. „Dali 1 godzinę czasu na spakowanie rzeczy”, pisze Franciszek Szablowski, „ale tylko samej mej żonie i pomagał pakować jeden z opryszków kilkakrotnie karany sądownie za kradzieże Paweł Roman, który przy pakowaniu rzeczy co tylko uważał za wartościowsze zabierał sobie mówiąc, że nam to się nie przyda”<sup>71</sup>. „Powiedzili żebyśmy się najgorzej ubrali to wtenczas wypuszczą tatusia”, pisze Tadeusz Marków z powiatu bóbreckiego. „Wzięliśmy tylko chleba na śniadanie bo mówili że na obiad wrócimy”<sup>72</sup>. Zaś Ukraińcy, którzy pakowali rodzinę Zasepów „maloco nam spakowali bo wszystko szło wkął, co mieli zamiar zabrać sobie”<sup>73</sup>.

W teorii milicjanci powinni byli zinwentaryzować opuszczone gospodarstwa, spieniężyć co tylko możliwe i przesłać uzyskaną w ten sposób sumę właścicielom. I rzeczywiście niektórzy ludzie dostali już na osiedleniu niewielkie przekazy pieniężne, rozliczenie z takich transakcji przeprowadzonych po ich wyjeździe<sup>74</sup>. Ale to były wyjątki. Z reguły opuszczone gospodarstwa grabiono. W tych warunkach nie zdziwi nas, że kazano ludziom pakować się natychmiast, w przeciagu kilkunastu minut lub co najwyżej godzi-

ny. „Zaczęliśmy się pakować jeden stał nad głową i krzyczał *bistrej! bistrej! paskorej!*”<sup>75</sup>; „kazali żeby za 15 minut zabierali trochurzec i wsiadali na wozy”<sup>76</sup>; „dałi mnie i rodzinie 15 minut czasu na ubranie się. Mnie kazano położyć się w kącie na podłodze, żona nie miała czasu nic spakować bo musiała ubrać troje dzieci”<sup>77</sup>; „mnie nic pozwalano ruszyć się w dalszym ciągu, więc zabraliśmy tylko to co dzieci zdążyły spakować”<sup>78</sup>. Zwróćmy od razu i na to uwagę, że pakowały tylko kobiety i dzieci, bo dorosłych mężczyzn trzymano pod strażą z obawy, aby zdesperowani nie rzucili się na prześladowców. „W ciągu pół godziny kazano się spakować, a mężczyźni musieli stać w postawie zasadniczej”, pisze kobieta z Majdanów<sup>79</sup>.

Ludzie pakowali w tej sytuacji byle co. W praktyce zabierali ze sobą tylko to, co im się udało udźwignąć – parę tobołków na rodzinę. A byli i tacy, którym pozwolono jedynie wziąć trochę prowiantu na drogę. „Zabrali nas w tem co mieliśmy na sobie, a był trzaskający mróz. Na nasze prośby odpowiedziano: Sowiecki Sojuz da wam wszystko, a rzeczy wasze będą wysłane za wami”<sup>80</sup>. Wiem tylko o jednej rodzinie, państwa Stepkowskich z powiatu radziechowskiego, którym udało się przyzwoicie zapakować. „Mamusia pokierowała sposobem i przyniosa z piwnicy Scio litrowy butel z wódką i zaprosiła żołnierzy żeby pili bo i tak przyjdzie się wylać. Spoczątku nie chcieli pić, jeden z żołnierzy powiedział żeby mamusia pierwszy kieliszek dla tatusia gdy tata wypil kieliszek wódki wtedy oni zasiedli do stołu i za 10 minut stał butel pusty bolszewicy popili się tak strasznie że pożyczali karabiny i zaczęli przeklinać na Stalina. A my korzystając z okazji zabraliśmy wszystkie rzeczy i chcieliśmy ucickać ale kolonja była obstawiona wojskiem więc musieliśmy wyjechać na stację do Radziechowa”<sup>81</sup>.

Wśród napięcia, bałaganu i krzyków, które towarzyszyły mieszkańcom Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi podczas błyskawicznych przygotowań do podróży w nieznane, grupy operacyjne miały dodatkowo sporo roboty papierkowej do wykonania. Przed wyjściem na akcję milicjanci i osoby towarzyszące musieli zapoznać się z dossier poszczególnych rodzin i osób, za których wysiedlenie byli odpowiedzialni. Dostali również, według cytowanej uprzednio instrukcji generała policji Sierowa,

„odpowiednie formularze, przeznaczone do wypełnienia przez deportowanych”. Pamiętamy przecież wspomnienia zesłańców o tym, jak na początku akcji odczytywano im „wyrok”, wiemy, że dawano niekiedy jakieś papiery do podpisania, zdarzało się też, że robiono od razu inwentaryzację dóbr pozostawionych na miejscu<sup>62</sup>.

Wszystko wskazuje na to, że dokumentacja wywózki prowadzona była bardzo starannie. Mamy, na przykład, sporo relacji od dzieci, które milicja wywołała po nazwisku w szkole, podczas kiedy rodziny zabierano z domu. Opisują one sceny połączenia z bliskimi w parę godzin później na stacji kolejowej wśród rozpaczających tłumów i zbiorowej hysterii. Mężczyźni, którzy już od tygodni albo nawet miesięcy przebywali w więzieniu, doprowadzeni są pod eskortą do zamkniętych wagonów towarowych i odnajdują tam swoje rodziny. W jednej relacji uczeń gimnazjalny opowiada, jak go wsadzono do transportu w miasteczku Postawy po czym, kiedy pociąg, którym jechał, zatrzymał się na stacji Woropajewo, wywołano z wagonu i zaprowadzono do innego pociągu, którym jechała na zesłanie jego rodzina<sup>63</sup>.

A więc były listy zesłańców (co nas specjalnie nie dziwi), z dokładną marszrutą zapewne i oznaczonym punktem docelowym transportu. Bo oczywiście NKWD musiało się jakoś rozliczyć i to nie tylko z ludzi, którzy popadli przy tej okazji w tryby organizacji ale, co przypuszczam było ważniejsze, z olbrzymich zasobów materialnych (ziemi, budynków, bydła, martwego inwentarza), które wówczas, by tak rzec, wygoszodarowano. Gdzieś istnieje, istniał w każdym razie, szczegółowy zapis biurokratyczny tej gehenny. O ile prowadzona ewidencja pozwalała, na przykład, łączyć rodziny w transporcie, to miały one z tego jakiś pożytek. Zbiurokratyzowanie całej procedury oznaczało jednak przede wszystkim, że traktowano ludzi podług z góry ustalonej reguły i nie dopuszczano żadnych wyjątków. W efekcie, skoro kogoś wpisano na listę zesłańców, nie było już od tego odwołania i ani kobiet ciężarnych nie udawało się wyreklamować, ani ludzi chorych, ani niedołężnych starców, ani małych dzieci. Rozliczenia, jak rozumiem, musiały się zgadzać.

W końcu przychodził wreszcie ten moment, kiedy trzeba było opuścić dom. Przed drzwiami czekały sanie, wozy, albo cięża-

rówki zależnie od pory roku i środków transportu, którymi dysponowała okolica. Jeden rzut oka wystarczał, aby zrozumieć, że nie jest się odosobnionym w nieszczęściu i że innym ludziom też przeznaczony jest tulaczy los. Nad ranem 13 kwietnia opuszczonymi ulicami Lwowa przejeżdżały co chwila ciężarówki wypełnione ludźmi i tobołkami z dobytkiem. Inne, puste ciągle, stały przed bramami kamienic czekając na swój ładunek. Kilometrowy korek pojazdów wypełniał wąskie uliczki prowadzące do stacji kolejowej<sup>64</sup>. Czy lżej było ludziom, kiedy widzieli, że innych też wiozą na wygnanie? Czy poczucie wspólnoty przeklętego losu dodaje sił? A może właśnie na odwrót, odbiera nadzieję, uświadamiając ofiarom, że ich niedoła to nie odosobniony przypadek i nieporozumienie, tylko zbiorowe nieszczęście, tragedia obejmująca tak wielu ludzi, że chyba nie ma już od niej odwołania. „Gdy wyjechalśmy na szosę oczom naszym przedstawił się nieprzyjemny widok otusz około dwustu sań z rodzinami polskimi stało już na szosie dzieci plakały wzdłuż Pochodu przejeżdżali konno krasnoarmiejcy widok był wzruszający”<sup>65</sup>.

Ze wsi odprowadzano ludzi pod eskortą grupami na stacje kolejowe. „Dzieci z matkami jechały”, pisze Eugeniusz Łabędź z Wołynia, „a mężczyźni i młodzież szli piechotą 16 km. na stacje w śnieg po kolana, prawie całą noc”<sup>66</sup>. Czasami droga do stacji rozłożona była na dwa etapy. Zanim uformowano kolumnę marszową, zbierano zesańców w jakimś większym budynku, w szkole na przykład, i dopiero stamtąd prowadzono wszystkich naraz do podstawionych pociągów. „10-go lutego rano, przyszedł mój ojciec, mówiąc że u T. coś się stało i że trzeba tam pójść. Poszłam razem, zastałam tam coś takiego, co przechodzi ludzką wyobraźnię. Dom T. wyglądał jak po burzy. Ubrania, poduszki i sienniki wały się po ziemi. Dziecie i konwy z mlekiem poprzewracane, bydło zamknięte w oborze ryczy. W kuchni siedziało trzech chłopów z karabinami, na zapytanie gdzie państwo zaczęli się śmiać, za mną wyszedł jeden z chłopów i powiedział, że wszystkich osadników spędzono do szkoły. To, co się działo w szkole, nie da się opowiedzieć. Naokoło budynku stały bolszewickie warty z karabinami, chciałam wejść, nie pozwolili tłumacząc, że «pryjdiot para i tiebia wozmut». Poszłam do preśdiateła P., który był mi życzliwy, prosiłam żeby się dowiedział co tam nieszczęśliwym

trzeba. Wieczorem dał mi znać, że proszą o chleb i gorącą wodę. Matka moja zgotowała kaszę na mleku, wzięłam latarnię i poszłam, przez protekcję P. puszczono mnie do środka. Tu dopiero było piekło. Ludzie nawpół ubrani, sini z zimna, zapelniali ciasno małą salkę. T. wyglądał strasznie, T-owa leżała w kącie i jęczała. S. z dzieckiem na ręku nieprzytomna, małeńka lampka nie oświetlała należycie salki. Dzieci nawpół gołe i bose pookrywane szmatami krzyczały i plakały, kobiety modliły się głośno, oddałam zakupę i chleb i ucieklam, nle mogąc nic mówić, brakło mi słów i lez wobec tej strasznej ludzkiej gehenny<sup>87</sup>. Cytowane przeze mnie wspomnienia pochodzą od ludzi z Wołynia, z Polesia i z okolic Lwowa. Na całym obszarze okupacji sowieckiej wywózkę przeprowadzano z jednakową brutalnością. Czyż można się dziwić, że w lutym, od razu po wyjściu za próg chałupy, dzieci i starcy zaczęli umierać?

„W czasie transportowania nas przez NKWD w dniu 10.II.40 r. z Młynowa do stacji Ozierany w drodze zmarło 5 dzieci, z których mój synek miał 1 rok, a pozostałe dzieci innych osadników w wieku od roku do dwóch<sup>88</sup>. „Przyszła zgroza”, wspomina szofer z Przemyśla, „luty, nie pamiętam już dnia wywozu osadników, gdzie tysiące furmanek ciągnęły z różnych wiosek do miasta do stacji, gdzie ich ładowano jak dzikie zwierzęta do zimnych bez okien wagonów. Tu i ówdzie na ulicy widziało się na kupie śniegu noworodki, którego matka porzuciła na śnieg, bo w drodze zamarzło, takich w Przemyślu było kilka sztuk<sup>89</sup>. Z osady Liczkowce w powiecie Kopczyńce zabrano 53 rodziny, pozostawiając na miejscu tylko wdowę z ośmiorgiem dzieci. Nie pozwolono im zapakować żadnego bagażu. „Zabrano nas w tym czym staliśmy. Mróz był do 35 C... Na stacji [w Husiatyniu] zobaczyłem ogromną ilość wagonów a teren dookoła stacji był obstawiony milicją i NKWD. Ze wszystkich stron zaczęły zjeżdżać furmanki eskortowane przez milicję załadowane wysiedlonymi rodzinami. Obraz był straszny. Wiele dzieci zmarzło po drodze do stacji. Krzyk matek był tak przeraźliwy, że można było dostać obłędu... Matkom, które chciały zabrać do wagonów zamarznięte na śmierć dzieci – odbierano i wyrzucano je wprost do śniegu<sup>90</sup>. Wypędzanym z domów zesłańcom towarzyszyły jęki, krzyki, płacz, strzały, ryki zwierząt domowych i szczekanie psów<sup>91</sup>.

Ludność miejscowa, która pozostała na miejscu, oniemiała na widok okrucieństwa lutowej wywózki. „Strach padł na wszystkich”, pisze Stefania Golaszewska. Od tej pory „ludzie wykonywali co kazali bolszewicy, bo wiedzieli że w przeciwnym razie znajdą się na Syberii”<sup>92</sup>. Od lutego wieś była sparaliżowana strachem<sup>93</sup>. Tym bardziej że zniszczenie, którego byli świadkami, nie miało jakby żadnego sensu. Wyjawszy niewielką okolicę w województwie tarnopolskim, gdzie do opuszczonych przez wywiezionych Polaków gospodarstw sprowadzono rodziny ukraińskie, pozostawione dobra i zagrody niszczały. Rozrabowane zaraz po wywózce przez okoliczną milicję stały puste, niezagospodarowane, niczyje. A więc z wywózki nikt nie miał żadnego pożytku. Okazało się, że to nie było wywłaszczenie w celu redystrybucji majątku, choćby nawet przeprowadzone okrutną metodą, tylko raczej zniszczenie życia ludzkiego i materialnych zasobów. Zniszczenie dla samego zniszczenia. Jaki mógł być sens takiej polityki władz?

Myślę, że ludność miejscowa, która pozostała na tych terenach po wywózce lutowej, miała niejasne przeczucie, że była świadkiem losu, który i ją czeka w przyszłości. Okrutna w tym była ironia bo przecież, jak wiemy, zebrania wioskowe i komitety uprzednio sporządzały listy, głosowały, czy choćby wyrażały zgodę na ekspulsję swoich sąsiadów. Ale niszczycielski mechanizm ustroju totalitarnego na tym właśnie polega, że potrafi manipulować uprzedzeniami, słabością ludzką i wzajemną niechęcią tak żeby, parafrazując Nalkowską, „ludzie sobie sami zgotowali ten los”. „Odwieziono nas do szkoły”, wspomina zeslaniec ze wsi Szuń na Wołyniu. „Do godziny 9 zwieziono w ten sposób kilkadziesiąt rodzin, załadowano nas wszystkich do sprowadzonych podwódek i pod silną eskortą, w grobowym milczeniu wyległego na ulicę tłumy ruskiego chłopstwa, żegnani zamaszystymi, prawosławnymi znakami krzyża, poplakujących tu i ówdzie bab, ruszyliśmy na stację Luboml. Nie cieszyła Ukraińców nasza niedola, na stacji chłop podwódczyk który mię odwiózł, podał mi ze smutnym uśmiechem rękę i powiedział «nie martwcie się Paniel niedługo i nas tak powiozą»”<sup>94</sup>.

A na stacji działy się rzeczy potworne. Był straszny tłok. Zwożono coraz więcej ludzi, a transporty nie odchodziły. Wstawiono

na te parę dni do rozkładu kolejowego pięćdziesiąt albo i więcej pociągów, co oczywiście spotęgowało i tak już istniejący bałagan. Mówilem o zatoczonych ulicach dojazdowych przed dworcem we Lwowie. Podobnie wyglądały drogi prowadzące do innych stacji, z których wyjeżdżały transporty do Rosji. A ponieważ trzeba było ludność przywiezioną na stację upilnować, więc trzymano wszystkich na zamkniętym terenie, który można było obstawić strażą albo ogrodzić. Rodzinę Mieczysława Omiotka przywieziono na stację o 6ej rano, ale zanim weszli do pociągu, czekali „pół dnia było bardzo zimno i dzieci bardzo plakali”<sup>95</sup>.

Na stacjach słychać było bezustanny krzyk, płacz i jęki. A przecież to był dopiero początek udręki i ludziom tak znowu nie ulżyło, kiedy ich wreszcie załadowano do wagonów. „Wpakowano do towarowego wagonu całego zaśnieżonego i załadowacialego, gdyż był on otwarty przed moim przybyciem”, pisze Franciszek Szablowski z powiatu nowogródzkiego. „Więc na śniegu zmuszony byłem ułożyć strudzone nie przespaną nocą swoje dzieci, które drżały z zimna, płacząc i prosząc mnie o ratunek, a ja ich ojciec byłem bezradny ulżyć ich cierpieniu”<sup>96</sup>. Były to, pamiętajmy, wagony towarowe, bez żadnych wygod, z dziurą w podłodze zamiast klozetu, czasami wyposażone w kilka pryzcz zbitych z drzewa i może jakiś piecyk. Do tych wagonów pakowano po kilkadziesiąt osób, liczba ich niekiedy dochodziła do siedemdziesięciu. Następnie zamykano wagony i już ich w czasie postoju na stacji więcej nie otwierano. Ludzie musieli sobie radzić sami, zaś pociągi stały na stacji i po pięć dni<sup>97</sup>. Przez ten czas nie podano im ani jedzenia, ani wody. „Zimno było przejmujące. W wagonach aresztowani stali trzy doby. Na każdy wagon dano 50 kg. węgla. My ze wsi dowieźliśmy na stacje co było tylko możliwe, lecz nie zawsze bolszewicy dopuścili nas do aresztowanych. Dużo dzieci zmarło na stacji. Po trzech dniach pociąg ruszył. Widziałem później zdjęcie w gazecie bolszewickiej odjeżdżającego pociągu i biegnące z płaczem za pociągiem pozostałe osoby, podpis pod zdjęciem następujący: «Placzące rodziny tych, którzy nie jadą do Rosji»”<sup>98</sup>. Jeżeli takie zdjęcie rzeczywiście się ukazało, to byłaby to jedyna znana mi wzmianka o wywózkach w oficjalnej prasie Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Zapamiętajmy dwa fragmenty tej przejmującej sceny. Po pierwsze, że ludzie umierali

w transportach, jeszcze zanim wyruszyły w podróż do Rosji. Po drugie, że moment wyjazdu z dworca, chwila w której pociąg ruszył ze stacji, odcisnęła się w ludzkiej pamięci jako następny próg, cezura, przypieczętowanie tułaczego losu.

Oczywiście wywózka lutowa była najbardziej mordercza. Tej upiornej zimy czy to w Łomży, czy w Wilejce, w Białymstoku, czy w Sarnach stopy porzuconych trupków dziecięcych pozostały na stacjach. „Pamiętam ówczesny mroźny dzień kiedyśmy ze swej miejscowości dojechali do stacji to sowietci chodzili po wagonach nosząc pod rękami dzieci niemowlęta pytając się czy «zanieczyszczonych rebiat nima»”<sup>99</sup>. W Postawach, kiedy po czterech dniach spędzonych w zamkniętych wagonach na stacji transport zesłańców gotowy był wreszcie do odjazdu, wzdłuż pociągu, „z orkiestrą” jak pisze rozgoryczony naoczny świadek, obniesiono otwartą trumnę. „Jak przyjechali do Rosji powiedziano: widzieliście jak tam przenoszono przed transportem zmarłego, który zmarł i już nie wróci, tak i wy nie wróćcie”<sup>100</sup>.

Kiedy pociąg wyjeżdżał ze stacji, krzyk i płacz przybierały na sile. Którzy byli w wagonach, rozpaczali nad własnym losem, którzy zostali na miejscu, wznosili lament oplakując odjeżdżających. „Gdy pociąg ruszył”, pisze dziesięcioletnia dziewczynka z Krzemieńca, „na stacji był wielki krzyk i płacz. W wagonie wszyscy się rozplakali nie wiedząc gdzie nas wiozą i za co”<sup>101</sup>. Nauczycielka z Gródka Jagiellońskiego zapamiętała z nocy kwietniowej, że „ludność żegnająca nas leżała krzyżem na ziemi wznosząc gorące modły do Boga, by nie pozwolił nam zginąć, by miał nas w swojej pieczy. My odjeżdżając zaśpiewaliśmy «Jeszcze Polska nie zginęła»”<sup>102</sup>.

Ludzie śpiewali pieśni nabożne, hymn państwowy, plakali, modlili się i umierali – słowem, kompletny repertuar martyrologii narodowej. Bo też i doświadczyli nieszczęścia na skalę dotychczas niespotykaną. Lutowe transporty zostawiły za sobą ponury ślad. Pisze osadnik wojskowy z Klewania: „Po ich odjeździe na linii Równe-Szepietówka wzdłuż toru znajdowano zwłoki w pierwszym rzędzie dzieci, które zmarły w czasie drogi i były wyrzucane na tor przez konwojentów”<sup>103</sup>. Trupy dzieci leżały też na torach kolejowych w Białymstoku, po drodze z Drohobycza i z Łom-



ży<sup>104</sup>. „W czasie transportu do Rosji”, pisze mieszkaniec Turki, „nie było stacji gdzieby nie wyrzucili 5-8 ludzi zamarzniętych”<sup>105</sup>. W Sarnach, do których doprowadzono już szerokie tory podług rosyjskich standartów, odbywały się przeladunki. Kolejarz, który tam wówczas pracował „dużo widział[em] wypadków śmiertelnych, zamarzniętych... Przeladunki odbywały się tylko w nocy. Słychać było jęki, płacze i jednocześnie śpiewy pobożnych pieśni – «Jeszcze Polska nie zginęła», «Nie damy ziemi», «Pod Twoją obronę», «Boże coś Polskę», i krzyki «dać wody»”<sup>106</sup>. „Na trzeci dzień otworzyli wagon”, pisze chłopiec z gminy Gliniane w województwie lwowskim, „to połowa była już nieżywa, leżały na podłodze zamarznięci i wymożeni głodem i bez dostępu powietrza. Zaczęli wynosić trupów i składali na dużą kupę a później przesykali śniegiem żeby nie było widać jak dużo poumieralo”<sup>107</sup>.

Dzieci i starcy umierali przez całą drogę i było to zjawisko na tyle rozpowszechnione, że opisano je we wspomnieniach ze wszystkich zakątków Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi<sup>108</sup>. Choć nie tak częste, wzmianki o śmierci w wagonie znajdujemy również w relacjach zesłańców z kwietniowej i czerwcowych fal. „Po dwóch dniach”, wspomina Jerzy Pruszyński z Nowogródka, „zaczęło okropnie śmierdzieć w wagonach ludzie zaczęli umierać na każdym postoju wynoszono tropy”<sup>109</sup>.

Ponieważ towarzyszyła im przez całą drogę, ludzie oswoili się wkrótce ze śmiercią. W dodatku, z perspektywy paru lat pobytu na przymusowym osiedleniu, gdzie ciężkie warunki powodowały wysoką śmiertelność wśród zesłańców, piszą jakby się z nią pogodzili, bez patosu i z prostotą. I już nie samo zjawisko śmierci ani jej częstotliwość, tylko okoliczności towarzyszące budzą sprzeciw i przerażenie. W transportach najbardziej chyba bolało ich, że nie mogli zmarłych uszanować, że nie było nawet namiastki pogrzebu, że, co tu dużo mówić, bezczeszczono zwłoki. „Bardzo dużo małych dzieci umarło od mrozu”, pisze szofer z Oszniani. „Rodzice prosili żeby pozwolić pogrzebać, to enkawudziści nie pozwolili, tylko kazali wyrzucać przez okno do śniegu”<sup>110</sup>.

Paradoksalnie, dopiero los ludzi umarłych, traktowanie zwłok, pozwalały uchwycić z największą ostrością różnicę wartości życia ludzkiego w pojęciu zesłańców i tych, którzy decydowali teraz o ich przeznaczeniu. „W drodze umarł dziadek a żołnierze rosyjscy

wyrzucili go przez okno"<sup>111</sup>. Taką scenę zapamiętuje się na całe życie. „Przykre i niezapomniane wrażenie zrobiło na mnie to”, pisze chłopiec z województwa tarnopolskiego, „że z towarowych wagonów, w których jechaliśmy, wyrzucano przez okna, ponieważ drzwi były zamknięte nagie zamarznięte ciała na śnieg. Robiono to dlatego, że w wagonach brak było miejsca, a opieki lekarskiej prawie że nie było”<sup>112</sup>.

Kolejna cezura to przejazd transportu przez dawną granicę rosyjską. Z reguły zmieniano wtedy pociągi i warunki materialne podróży trochę się poprawiały. Tutaj po raz pierwszy otwierano wagony i pozwalano ludziom wyjść na świeże powietrze. I już te kilka chwil spędzonych pod gołym niebem, studnia, z której może udało się zaczerpnąć wody, czy choćby ustronne miejsce zamiast dziury w podłodze wagonu, dodawały ludziom sił. Zresztą każde wyjście z wagonu było rzadkością w czasie tej podróży i zostało dokładnie przez zesłańców zapamiętane. W transporcie, którym jechał Tadeusz Macheta, pozwolono na to tylko raz, w transporcie Kazimierzy Pyrskiej raz na trzy dni, w transporcie Aleksandra Łagoty wypuszczano z wagonów codziennie na 3-4 minuty, „a czasem i wcale”<sup>113</sup>.

Na granicy po raz pierwszy dano zesłańcom jeść. I w tej kwestii jednak nie obowiązywały ściśle reguły, bo niektóre transporty w ogóle nie były karmione albo dawano do wagonów jakieś odpadki żywności, które powodowały dokuczliwe schorzenia<sup>114</sup>. Po przejechaniu granicy konwojenci nabierali pewności siebie i mogło się zdarzyć, że już od tej pory zostawiano uchylone drzwi wagonu podczas jazdy, albo że pozwalano na postoju wyjść za osobistą potrzebą. Ale symboliczna wymowa przekroczenia granicy była przerażająca, bo oto los zesłańców dopełnił się. I kiedy transport ruszał w dalszą drogę już po rosyjskiej stronie, w pociągach znowu rozbrzmiewały zbiorowe modlitwy, płacz i nabożne pieśni<sup>115</sup>.

„Sama podróż odbywała się w zapłombowanych wagonach towarowych bez światła i bez powietrza przez 40 dni... W takim wagonie jedni przychodzili na świat inni umierali”<sup>116</sup>. Ten skrótowny opis podróży na zesłanie omawia tylko skrajne przypadki. Wiemy już o tym, jak ludzie umierali w transportach, ale przecież większość zesłańców dotarła żywa (co prawda ledwo żywa) do celu podróży. Spróbujmy opisać doświadczenia milionów ludzi

(bo przecież tak samo wyglądały wywózki Litwinów, Estończyków, Ukraińców, czy Tatarów), które wypełniają godziny i minuty składające się na owe czterdzieści dni odliczone przez anonimowego rolnika z osady Antonówka Borek.

Przede wszystkim był straszny tłok. No bo jak to właściwie jest, kiedy 40, 50 czy 70 osób zostaje załadowanych do jednego wagonu? Odpowiedź na to pytanie daje Mieczysław Ruchlewicz wywieziony kwietniowym transportem ze Stanisławowa: „Na stacji załadowano nas do wagonów w których tak było ciasno, że ja miałem tylko tyle miejsca aby z podkurczonymi nogami siedzieć na nogach sąsiada (było to na pryczy wyprostować się również nie było można)”<sup>117</sup>. Oczywiście nie we wszystkich transportach warunki były równie tragiczne i z reguły na granicy rozluźniał się ścisk, bo rosyjskie wagony były szersze. Ale zdarzało się też, że po przesiadce na stacji przeładunkowej kilka transportów wysyłano w dalszą drogę jednym pociągiem o szerokim rozstawie kół i wtedy tłok był jeszcze gorszy niż na początku podróży<sup>118</sup>.

W wagonach jechali razem ludzie sobie obcy, wymieszani pod względem wieku, płci, klasy społecznej i narodowości<sup>119</sup>. I byłaby to mieszanka wybuchowa, bez względu na warunki, w których się razem znaleźli. A warunki były ciężkie. „Najgożej – pisze młodzieńki zesłaniec – było dzieciom małym którzy plakali za mlekiem lecz przez 2 tygodnie go nie widzieli”<sup>120</sup>. „Ludzie bili się poprostu o kubek wody, bo każdy chciał pić i jeść ale nie było co”<sup>121</sup>. „Najlepiej zachowywały się”, pisze nauczycielka z Białegostoku, „chłopskie kobiety istotnie kulturalne”<sup>122</sup>.

Na początku podróży starano się jeszcze zadbać o dzieci i chorych, na przykład odstępując im miejsca na pryczach. Ale w miarę upływu czasu coraz więcej osób zapadało na zdrowiu, a jako że nie było w ogóle pomocy lekarskiej w transporcie<sup>123</sup>, wkrótce chorowały całe wagony i nie pozostawało już nic innego jak tylko liczyć na własne siły, albo opiekę najbliższych.

Zesłańcy cierpieli z powodu warunków higienicznych, temperatury i braku żywności. W zamkniętych wagonach, w których pozabijano deskami otwory okienne, panowały ciemności. „Dzieci plakały bo było ciemno jak pod ziemią i nie było co jeść”<sup>124</sup>. „Do samego miejsca jechaliśmy trzy tygodnie to każdy z

nas był jak pijany bo nie widział światła okna w wagonie były zakute"<sup>125</sup>. Był zaduch, śmierdziało i rozplenily się wszy<sup>126</sup>.

„Jak transport ruszył to przez 27 dni ani wody ani chleba”, pisze Feliks Jarosz z powiatu sokalskiego<sup>127</sup>. Żywność, jak już pisałem, wydawano nieregularnie albo wcale<sup>128</sup>. „W ciągu 18 dni podano 4-razy ciepłą strawę, raz w nocy o 2-cj, dwa razy wieczorem i raz rano. Ludzie karmili się zapasami z domu. Wodę dawano raz na dobę"<sup>129</sup>. I to jest mniej więcej typowy obrazek potwierdzony w wielu relacjach: 2 wiadra wody i 500 gramów chleba dziennie na cały wagon, wiadro wody i ćwiartka chleba (na wagon czy na osobę tego już nie wiemy), 2 bochenki chleba na rodzinę co 3-4 dni, kawałek chleba i trochę kaszy, raz na dzień chleb i słone śledzie, zupa rybna co drugi dzień<sup>130</sup>. A więc nawet kiedy transporty żywności, trudno było przetrwać tę podróż ludziom, którzy z domu nie zabrali prowiantu. „Nie wspominał tu już o jedzeniu”, pisze jeden zesłaniec, „gdyż się człowiek dusił a to było gorsze niż głód a jaki jest głód to też nie każdy wie bo kto nie był głodny ten nie zrozumie"<sup>131</sup>. Ale stokroć bardziej niż głód dokuczalo zesłańcom w czasie podróży pragnienie.

Nie było wystarczającej ilości wody! W transporcie, którym wywieziono Antoniego Dudka z Połesia w lutym 1940 roku, przez tydzień nie dawali wody do wagonów: „Dzieci kładli się do drzwi i lizali szron na gwoździach ale i tego szronu nie było”. „Prawie umieraliśmy bez wody”. „Dzieci usychały bez wody”, pisze urzędniczka z Kosowa Połeskiego<sup>132</sup>. A co się musiało dzieć w kwietniu, albo co gorsza w czerwcu, kiedy nie było co pić? „Były dnie”, pisze Tadeusz Typrowicz wywieziony w kwietniu, „że nie było kompletnie wody, ludzie a zwłaszcza dzieci mdlały z pragnienia”. Zaś w czerwcu, wspomina naoczny świadek, „ludzie umierali z pragnienia"<sup>133</sup>.

Oczywiście zesłańcy jakoś próbowali sobie radzić. Wybijano deski i kraty z okien i zgarniano śnieg z dachu wagonu, chociaż był brudny i zakopcony sadzą. Latem zesłańcy musieli czekać na deszcz, aby zebrać trochę wody. Zimą powszechnie stosowano jeszcze taką metodę: „związywaliśmy sznurki i pasy i wiązaliśmy je do kupy potem na koniec wiadro i wyrzucaliśmy przez okno koniec z wiadrem a sznur trzymaliśmy i tak czerpaliśmy śnieg i ciągnęliśmy do wagonu"<sup>134</sup>. W efekcie więcej to dawało szkody

niż pożytku bo powodowało czerwonkę, a więc odwodnienie organizmu: „Od tej wody i brudu wybuchła epidemia krwawej dezynтерии, która objęła wszystkich pasażerów. Publicznie załatwiał się pierwsze potrzeby. Na początku ludzie wstydzi się i zawiesili od sufitu kawałek worka, ale worek był za krótki i widać tylne części ciała. Potem zapomniano się o wstydzie i ludzie jakby zatracili godność”<sup>135</sup>.

A do tego wszystkiego dochodziły jeszcze ekstremalne temperatury. Zesłańcy z kwietnia byli pod tym względem uprzywilejowani, ale dla wywożonych w czerwcu przekleństwem był upał, zaś dla pasażerów lutowych transportów – mróz. W niektórych wagonach stały co prawda piecyki, ale i te najczęściej bez wystarczającej ilości drzewa i węgla na opał. Zaś kiedy już był piecyk i dawało się go uruchomić, to nie zabezpieczony, co w tłoku i przy gwałtownych szarpnięciach lokomotywy powodowało oparzenia i zaccadzenie wagonu<sup>136</sup>. Ale tylko szczęśliwcy byli narażeni na te niebezpieczeństwa. Innym podróżnikom „zimno było tak strasznie”, pisze kobieta z powiatu kobryńskiego, „że wstając rano musiałam odrywać okrycia przymarzniete do ściany [wagonu]”, zaś zesłaniec z powiatu bóbreckiego podaje, że „gdy kto chciał odpocząć na podłodze [bo przyz nie starczało dla wszystkich w wagonie] przymarzał do niej”<sup>137</sup>.

Taka podróż trwała bardzo długo, niekiedy nawet i dwa miesiące<sup>138</sup>. „Po 10-15 dniach ogarnęło zmaltretowanych ludzi jedno pragnienie «dojechać do miejsca», «gdziekolwiek – byle prędzej»”<sup>139</sup>. Ale kiedy pociągi dotarły wreszcie do końcowej stacji, okazywało się, że trzeba kontynuować podróż w nieznaną. Piechotą, sałami, wozem, ciężarówką, albo rzeczną barką posuwali się zesłańcy, nieraz i tygodniami, w głąb Rosji. I umierali po drodze<sup>140</sup>. „Przywieziono nas do Pawłodaru... gdzie już czekały na rozwieszenie po rejonach tysiące ludzi... Męka nie skończyła się. Dzieci nie mogły się dostać do przepelnionego szpitala – dziesiątki ich umierało codziennie... Ludzie leżeli po kilka dni pod gołym niebem... Pod płotami zmarło kilkanaście osób bez żadnej pomocy”<sup>141</sup>.

Czy można jakoś ogólnie scharakteryzować sowiecką politykę przesiedleńczą w świetle przytoczonych świadectw? Jaki cel przyświecał komunistom, kiedy deportowali całe klasy społeczne

albo narodowości? Wedle oceny Normana Daviesa, do czasu ogłoszenia „amnestii” dla Polaków uwiezionych i zeslanych do Rosji (mialo to miejsce, jak wiemy, kiedy podpisano umowe polsko-rosyjska latem 1941 roku), polowa spozród nich juz nie zyla<sup>142</sup>. Dr Seweryn Ehrlich, autor monografii pod tytulem *U podstaw armii polskiej w ZSSR: Walka z chorobami zakaźnymi w 1942 r.*, podaje dokladne statystyki smiertelnosci wzród dopiero co wcielonych do wojska zolnierzy armii Andersa<sup>143</sup>. Od lutego do sierpnia 1942 umarlo okolo 4% chorych (przeslo 2000 osob) zarejestrowanych w szpitalach polowych. A przeciez mowa tu o męczyznach w wieku poborowym, którym przyslugiwaly wojskowe racje zywnosciowe i ktorych leczono. Jak wobec tego wygladala smiertelnosc wzród starszych ludzi, dzieci, albo tych wszystkich, ktorych nie odzywialo wojsko? Jakie mieli szanse przezycia ludzie rozrzczeni po wyglodnialej Rosji, wycieńczeni pracą w kolchozach i praktycznie pozbawieni opieki lekarskiej? Obawiam się, że na pytanie przeze mnie postawione odpowiedź jest tylko jedna: celem sowieckiej polityki przesiedleńczej bylo ludobójstwo.

Ale podsumujmy temat slowami zeslacow, osadnika ze wsi Palusza w oszmiańskim powiecie i zydowskiego mleczarza z Łucka. Najpierw glos z oszmiańskiego: „W jaki sposob to się odbylo nie będę opisywac. Postepok ten okrešlam w paru slowach: mord niemowlat i dzieci, bandytyzm, kradziez cudzego mienia, wyroki smierci bez sądu i winy. Rzecz tak straszna, którą opisac brnk słów. I ten kto tego nie przężyl sam to mu trudno jest uwierzyć. Po usunieciu z terenów polskich na Sybir niewygodnego sobie elementu, bolszewicy komunišci ogłosili na mityngach: «Wragow sawieckiej własti my tak uniczożajem, budziem siec poka nie istrebim wslech burżujow i kulakow nietolko zdzieš no po wsiem mirie». Już tych ktorych my od was zabrali nie zobaczycie. «Tam propadat jak rudaja mysz»<sup>144</sup>. A Mendel Srul, mleczarz z Łucka, swoje przezycia pod rządami sowietów podsumowal jednym zdaniem: „Ja za takie oswobodzenie im dziekuję i proszę ich żeby to byl ostatni raz”<sup>145</sup>.

## PRZYPISY

Cytowane materiały archiwalne składają się przeważnie z odpowiedzi na ankietę rozpisaną przez Samodzielny Referat Historyczny Armii Polskiej na Wschodzie (tzw. Armii Andersa) wśród żołnierzy i rodzin wojskowych ewakuowanych z ZSRR w 1942 roku do Persji. Ankietą składającą się z siedmiu pytań, dotyczyła wyborów październikowych z 1939 roku I pierwszego okresu okupacji sowieckiej. Oprócz odpowiedzi na pytania respondenci podają również swoje nazwisko, wiek, miejsce zamieszkania przed wojną oraz zawód. Kwestionariusze oznakowane są zazwyczaj numerami. Dokumenty te znajdują się obecnie w Instytucie Hoovera (HI) w Kalifornii. W odnośnikach podaje nazwę kolekcji: Polish Government Collection (PGC); Anders Collection (AC) lub Poland, Ambassade USSR Collection; numer pudła (w odniesieniu do kolekcji PGC, w której kwestionariusze nie są uporządkowane wedle rosnących numerów) oraz numer przyporządkowany cytowanemu kwestionariuszowi (np. AC, 1515; albo PGC, Pudło 53, 2455). Jeśli kwestionariusz nie jest oznakowany numerem, podaje nazwisko respondenta (np. Poland, Ambassade USSR Collection, Jadwiga Majewska). W Ośrodku Studiów, kierowanym przez profesora Wiktora Sukienickiego, z części tych kwestionariuszy zostały porobione w 1944 roku wyciągi. Opracowania te, spisane na maszynie, grupują wypowiedzi według powiatów: W Instytucie Hoovera zdeponowane są w Polish Government Collection. Cytując te wyciągi, podaje nazwę powiatu (która jest zarazem tytułem opracowania) i stronę. Niektóre powiaty opracowane były wstępnie w grupach i dopiero później opisane w osobnych opracowaniach. Można więc, dajmy na to, spotkać dwa maszynopisy zawierające relacje z powiatu krzemienieckiego. Ilekroć cytuję opracowania grupujące kilka powiatów, odnośnik opatrzony jest gwiazdką.

<sup>1</sup> Oszmiłna, np.

<sup>2</sup> HI, AC, 1379.

<sup>3</sup> HI, PGC, pudło 117, Antoni Dudek.

<sup>4</sup> HI, Poland, Ambassade USSR, pudło 50, Janina Strycharzówna.

<sup>5</sup> HI, PGC, 614.

<sup>6</sup> HI, PGC, 4590, 4712, 4939, 6848, 9046.

<sup>7</sup> HI, PGC, 690, 1137, 3194, 4826.

<sup>8</sup> Czerwony Sztandar, 8.I.1940.

<sup>9</sup> HI, PGC, 4712.

<sup>10</sup> HI, Kolekcja Mikołajczyka, pudło 15, Teka „Wilno under Soviet occupation 1940. Report by Henryk Tyszyński”.

<sup>11</sup> HI, PGC, 4873.

<sup>12</sup> HI, PGC, 832.

<sup>13</sup> HI, PGC, 3194.

<sup>14</sup> SPP, B.I. 3859; Dr Jadwiga Męcarska.

<sup>15</sup> Czerwony Sztandar, 8.I.1940.

<sup>16</sup> Czerwony Sztandar, 22.XI.1939.

<sup>17</sup> Niektóre źródła podają, że pas graniczny był szerokości 800 metrów. Patrz HI, AC, 12403, 14458; PGC, 2090, 3534, 7612.

<sup>18</sup> Pisał o tym nawet w błogiej nieświadomości, o czym właściwie opowiada anonimowy dziennikarz Czerwonego Sztandaru (9.IV.1940).

- 19 HI, AC, 1686, 6793, 14461.  
 20 HI, PGC, 7612.  
 21 HI, AC, Dr Tadeusz M. Wieliczko, „Polityka sowiecka na okupowanych ziemiach polskich”, str. 53, 54.  
 22 HI, Poland, Ambasada USSR, Box 46, Zofia Duch-Duchniewska; SPP, BI/3859, Dr Jadwiga Mękarska; Sambor, 49.  
 23 HI, AC, 11323. Patrz też, HI, PGC, 10276.  
 24 *Czerwony Sztandar*, 21 i 28 XII 1939.  
 25 HI, AC, 15560  
 26 HI, AC, 12300.  
 27 *Czerwony Sztandar*, 18 I 1940.  
 28 HI, AC, 15550. Relacje o powrotach z powodu okropnych warunków znaleźć można również w AC, 10555, 12300, 15560.  
 29 Postawy, 46.  
 30 *Czerwony Sztandar*, 25 VI 1941.  
 31 Dobromil, 37.  
 32 HI, PGC, pudło 588.  
 33 Patrz np HI, PGC, pudło 117, Stanisław Sypacz, Stanisław Korziewicz; pudło 119, Czesław Jezierski, Bronisław Andrensik; pudło 120, Wiktor Buchorski, Kazimierz Adler; Turka, 27; Krzemieniec, 33; Przemyśl, 92.  
 34 HI, AC, 12674.  
 35 Ibid.  
 36 Podaje za opracowaniem Romana Buczka, „Działalność opiekuńcza ambasady R.P. w ZSSR w latach 1941-1943”, *Zeszyty Historyczne*, nr 29, Paryż 1974, str. 48-49.  
 37 HI, PGC, pudło 588.  
 38 Memorandum „Numerical Record and Location of Polish Citizens in the USSR at the Date of the 25th April 1943”, HI, PGC, pudło 49.  
 39 Dolina, 39. Patrz także HI, PGC, 2318, 4887, 6581.  
 40 Oszmiana. *Czerwony Sztandar*, 18 X 1939. Patrz także Ostrów, 8; Sokoliski, 11; Białystok, 22-25; Równe, 12, 13; Brasław, 4; Wilejka, 22, 23; Lida, 15.  
 41 Patrz na przykład Łuniniec, 19; Kobryń, 18; Brasław, 8; Wilejka, 17, 18; Postawy, 14; Lida, 10; Kowel, 24.  
 42 HI, Poland, Ambasada USSR, pudło 47, Helena Wypłiewska. Patrz także Sarny, 24; Dubno, 33; *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali... dokument nr 133*.  
 43 Rozmowa z Mirosławem Łabuńką, którego ojciec był poważnym obywatelem jednej z wiosek ukraińskich powiatu brzeżańskiego (Filadelfia, lato 1980).  
 44 Zdobunów, uzupełnienia, str. 2.  
 45 Równe, 38; Zdobunów, 26; Horochów, 50, 51.  
 46 *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali... dokument nr 137*.  
 47 *Czerwony Sztandar*, 9 VI 1940; HI, AC, 10565, 14513; PGC, 8459.  
 48 Ivan Setov, „Instructions Regarding the Manner of Conducting the Deportation of the Anti-Soviet Elements from Lithuania, Latvia, and Estonia”; *An Appeal to Fellow Americans on Behalf of the Baltic States*, New York, Lithuanian American Information Center, 1944, str. 31-37.  
 49 *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali... dokument nr 143*.  
 50 HI, PGC, pudło 117, Stanisław Matrejcz.  
 51 HI, Poland, Ambasada USSR, pudło 50, Irena Kulikowska.  
 52 Zeznania złożone przez Wajnaucha w Kongresie Stanów Zjednoczonych opiewają jego udział w czerwcowej (1940) zsyłce. W lutym sytuacja wyglądała podobnie (U.S.



House Select Committee on Communist Aggression, 83rd Congress, 2nd Session, 8th Interim Report. Washington, Government Printing Office, 1954, str. 40).

<sup>63</sup> Nowogródzki, 50.

<sup>64</sup> HI, AC, 12394.

<sup>65</sup> *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dok. nr 143.

<sup>66</sup> Dolina, 75.

<sup>67</sup> Kalusz, 60.

<sup>68</sup> HI, AC, 12394.

<sup>69</sup> „O godzinie 4ej zaczęli stukać do okna. Usłyszał to mój syn i czym prędzej wykończył przez okno i zaczął uciekać. Zauważył to jeden krasnoarmiejeec wystrzelił raz nie trafił, a za drugim razem trafił w głowę” (HI, Poland. Ambasada USSR Collection, pudło 46, Anna Świdarska).

<sup>70</sup> Wilejka, 62. „Ja pod żadnym względem nie chciałam się ubierać to w ciągu 30 min. zjawilo się 15-tu żołnierzy i wprost wnieśli mnie na furę” (Dolina, 73).

<sup>71</sup> Porównaj na przykład Drohobycz, 68; HI, PGC, pudło 117, Kazimierz Pietraszewski, Henryk Płoszak; pudło 119, Jan Marszałek, Czesław Jezierski; pudło 120, Kazimierz Adler, Stefan Janczyński.

<sup>72</sup> Jarosław i Lubaczów, 46.

<sup>73</sup> HI, PGC, pudło 117, Maria Wiłk.

<sup>74</sup> HI, PGC, pudło 117, Leon Borucki.

<sup>75</sup> HI, PGC, pudło 120, Tadeusz Warzybok.

<sup>76</sup> Przemyśl, 91.

<sup>77</sup> HI, PGC, Włodzimierz Wołyński, 47. Podobny epizod odnotowany jest w relacji z powiatu Święciany, str. 40.

<sup>78</sup> *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dok. nr 67.

<sup>79</sup> HI, PGC, pudło 117, Zygmunt Kotlarz.

<sup>80</sup> HI, PGC, pudło 120, Eugeniusz Łabędź.

<sup>81</sup> HI, PGC, 770.

<sup>82</sup> *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dok. nr 13.

<sup>83</sup> HI, PGC, pudło 120, Kazimierz Zasepa.

<sup>84</sup> „Przyznać trzeba, że zachowywali się dość «grzecznie». Przed zapisaniem przedmiotów wartościowych pytali się czy będziemy io zabierać, a dopiero po otrzymaniu odpowiedzi zapisywali na listę. Za sprzedanie tych rzeczy pieniądze mieli przysłać. Rzeczy, które nie były zapisane zostały oddane naszemu dobremu znajomemu. Ten zaś w ciągu dziesięciu dni miał je sprzedać lub częściowo nam przysłać” (HI, PGC, pudło 117, Jerzy Trylski). Patrz także HI, PGC, pudło 117, Stanisław Kaziewicz; Kobryń, 53, 54; Lida, 48.

<sup>85</sup> HI, Poland. Ambasada USSR, pudło 50, Irena Kulikowska.

<sup>86</sup> HI, PGC, pudło 117, Leon Borucki.

<sup>87</sup> Równe, 38.

<sup>88</sup> Luboml, 14.

<sup>89</sup> Postawy, 46.

<sup>90</sup> Równe, 38.

<sup>91</sup> *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dok. nr 85.

<sup>92</sup> Patrz na przykład HI, PGC, pudło 117, Stanisław Kaziewicz, Jerzy Trylski; Kobryń, 53; 54; Lida, 48; Włodzimierz Wołyński, 47; Święciany, 40.

<sup>93</sup> Postawy, 46. „Dnia 10 lutego będąc w szkole o godzinie 9-tej weszło do klasy trzech sowieckich żandarmów z listą z której wyczytali uczni i kazali iść do domu w tej liście ja także figurowałam zabrałam książki i pożegnałam się z koleżankami bo

- przeczuwałam co mnie spotka. W klasie jak pani profesorka tak i uczniowie płakali bo trzecia część uczni klasę miała opuścić" (HI, AC, 14242). Patrz również HI, Poland, Ambasada USSR, pudło 50, Irena Kułikowska; PGC, pudło 117, Henryk Poloszak; pudło 124, Andrzej Zajączkowski; Gródek Jagielloński, 33; Krzemieniec, 32; *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dok. nr 4.
- <sup>64</sup> Porównaj na przykład *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dok. nr 16, 21.
- <sup>66</sup> HI, PGC, pudło 123, Zbigniew Tatarczyk.
- <sup>68</sup> HI, PGC, pudło 120, Eugeniusz Łabędź.
- <sup>67</sup> Pińsk, 78.
- <sup>80</sup> Dubno, 34.
- <sup>80</sup> Przemyśl, 93.
- <sup>80</sup> HI, AC, 1379. Porównaj także na przykład Pińsk, 78, 79; Nieśwież, 68; Łomża, 109; Wilejka, 61.
- <sup>81</sup> Np. dziesięcioletnia Maria Bargelówna, wywożona w czerwcu 1940 roku, zapamiętała „z bólem serca żegnając swój rodzinny próg... psa Reksia i Cezarka również kota Ciapcia który miauczał żałośnie za nami” (HI, Poland, Ambasada USSR, pudło 50; Maria Bargelówna).
- <sup>82</sup> HI, Poland, Ambasada USSR, pudło 46, Stefania Gołaszewska.
- <sup>83</sup> Porównaj na przykład, HI, Poland, Ambasada USSR, pudło 46, Czesława Maliszewska; HI, AC, 3477, 9659, 11938.
- <sup>84</sup> Luboml, uzupełnienie, str. 8.
- <sup>86</sup> HI, PGC, pudło 117, Mieczysław Omiotek.
- <sup>89</sup> HI, PGC, 770.
- <sup>87</sup> Patrz na przykład, HI, PGC, pudło 119, Stanisław Kucharski, Jan Marszałek; pudło 120, Mieczysław Klimczyk, Tadeusz Macheta, Eugeniusz Łabędź, Tadeusz Marków, Feliks Jarosz; pudło 122, Tadeusz Tyrowicz; pudło 124, Jerzy Pruszyński, Edward Markiewicz.
- <sup>89</sup> Łomża, 112.
- <sup>89</sup> HI, PGC, 9414.
- <sup>100</sup> Postawy, 46.
- <sup>101</sup> HI, Poland, Ambasada USSR, pudło 50, Janina Strycharzówna.
- <sup>102</sup> Gródek Jagielloński, 33.
- <sup>103</sup> Równe, 38.
- <sup>104</sup> Łomża; 109, 110, 111; Drohobycz, 69; Białystok, 91, 92.
- <sup>106</sup> Turka, 27.
- <sup>106</sup> HI, PGC, 8701.
- <sup>107</sup> HI, PGC, pudło 119, Bronisław Andreasik.
- <sup>108</sup> Tlumacz, 21; Lida, 47; Mołodeczno, 18; Luniniec, 58, 59; Drohobycz, 69; Kowel, 70, 71; Święciany, 39; Zdobunów, 28; Luboml, dodatek, 8; Brasław, 32; Kalusz, 61; Białostocki, 57; Horochów, 54; Łomża, 109, Sarny, 24; Luck, 68; Krzemieniec, 32, 33.
- <sup>109</sup> HI, PGC, pudło 124, Jerzy Pruszyński; patrz także Białystok, 92; Łomża, 111.
- <sup>110</sup> Oszmiana, bez strony.
- <sup>111</sup> HI, PGC, pudło 120, Antoni Mickowski.
- <sup>112</sup> HI, PGC, pudło 117, Stanisław Soboń.
- <sup>113</sup> HI, PGC, pudło 120; Poland, Ambasada USSR, pudło 50; patrz również *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dokument nr 141.
- <sup>114</sup> Patrz na przykład HI, PGC, pudło 120; Feliks Jarosz; Poland, Ambasada USSR, pudło 50, Janusz Iwanowski; *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dokument nr 141.

- <sup>118</sup> Porównaj na przykład, HI, Poland. Ambasada USSR, pudło 50, Maria Bargełówna; PGC, pudło 117, Edward Dudojc, Stanisław Kaziewicz; pudło 120, Stefan Janczyński, Eugeniusz Łabędź; *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dokument nr 136, 160.
- <sup>119</sup> Włodzimierz Wołyński, 47. „Gdzieś w sąsiednim wozie umarła staruszka, jęczał chory na zapalenie płuc. W potwornych bólach jakaś Żydówka urodziła dziecko. «Siostra» obcięła je nie sterylizowanymi nożyczkami. Dzieciatko niedługo umarło. Wyniesiono trupa gdzieś w nocy z trupem staruszki” (*W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dokument nr 165).
- <sup>117</sup> HI, PGC, pudło 117, Mieczysław Ruchlewicz.
- <sup>118</sup> Porównaj na przykład *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dokument nr 165.
- <sup>119</sup> Dla przykładu, oto co pisze kobieta wywieziona w czerwcu z Wilna identyfikująca się jako „gospodyni domowa”: „Było 30 osób, zaduch niesamowity. Moimi sąsiadami byli były minister litewski z żoną, żona drugiego ministra i dwie córki, litewski malarz z córką, właściciel domu – Żyd, kupiec, itd.” (Wilno, 86).
- <sup>120</sup> HI, PGC, pudło 124, Mieczysław Pytlak.
- <sup>121</sup> HI, Poland. Ambasada USSR, pudło 50, Janusz Iwanowski.
- <sup>120</sup> *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dokument nr 165.
- <sup>123</sup> Znalazłem tylko jeden opis obchodu lekarskiego podczas transportu i pomocy osobie, która miała wysoką gorączkę: na następnej stacji sanitariusz przyniósł choremu 2 białe bułeczki i kilka cukierków i kazal je od razu zjeść (HI, PGC, pudło 117, Stanisław Sypacz).
- <sup>124</sup> HI, PGC, pudło 120, Tadeusz Warzybok.
- <sup>125</sup> HI, PGC, pudło 117, Mieczysław Omiotek. Porównaj także HI, Poland. Ambasada USSR; pudło 50, Irena Kulikowska; PGC, pudło 117, Stanisław Kaziewicz, Leon Borucki; pudło 122, Bronisław Wawruszczak.
- <sup>126</sup> Patrz na przykład Szczuczyn, 47; Postawy, 47; białostocki, 55; HI, PGC, pudło 120, Kazimierz Adler, Mieczysław Klimczyk, Józef Jesionka; Poland. Ambasada USSR, pudło 49, Zofia Jagodzińska.
- <sup>127</sup> HI, PGC, pudło 120, Feliks Jarosz.
- <sup>128</sup> W jednej tylko relacji, niejakiego Tymicza ze Lwowa, opisane jest, że żywność przyzwoicie w czasie kwietniowego transportu i że nawet można było kupić od eskorty cukierki i papierosy (HI, AC, 78).
- <sup>129</sup> Białystok, 94.
- <sup>130</sup> HI, Poland. Ambasada USSR, pudło 50, Władysław Bialo, Józef Sukiennik; PGC, pudło 117, Stanisław Sypacz; pudło 120, Aleksander Legota; Bóbrka, 34; Kosów Poleski, 43.
- <sup>131</sup> HI, PGC, pudło 117, Mieczysław Ruchlewicz.
- <sup>132</sup> HI, PGC, pudło 117, Antoni Dudek; Jarosław i Lubaczów, 46; Kosów Poleski, 43.
- <sup>133</sup> HI, PGC, pudło 122, Tadeusz Typrowicz; postawy, 47.
- <sup>134</sup> HI, PGC, pudło 117, Edward Dudojc. Patrz także Łuniniec, 58; Kobryń, 53.
- <sup>135</sup> Wilno, 86.
- <sup>136</sup> HI, PGC, pudło 117, Zygmunt Kotlarz; pudło 120, Eugeniusz Łabędź.
- <sup>137</sup> Kobryń, 53; Bóbrka, 34.
- <sup>138</sup> Porównaj na przykład HI, Poland. Ambasada USSR, pudło 50, Kazimiera Pyrka, Julia Łysoniówna; PGC, pudło 119, Stanisław Kucharski.
- <sup>139</sup> *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dokument nr 165.

<sup>140</sup> HI, PGC, pudło 117, Jadwiga Lublińska; Poland. Ambasada USSR, pudło 49, Zofia Jagodzińska.

<sup>141</sup> *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...*, dokument nr 165.

<sup>142</sup> Norman Davies, *God's Playground: A History of Poland*. Columbia University Press, New York, 1982, tom 2, str. 451.

<sup>143</sup> Wydane w Rzymie, nakładem Towarzystwa Wiedzy Wojskowej 2. Korpusu w 1946 roku. Patrz strony 53, 54, 59.

<sup>144</sup> Oszmiana, bez strony.

<sup>145</sup> HI, PGC, 5331.

NAKŁADEM

ANEKSU

**Jacek Bocheński**

**STAN PO ZAPAŚCI**

***Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1987***

powieść współczesna

Książka – z jednej strony jest realistycznym opisem warszawskiego szpitala w połowie lat 80-ych, z drugiej – przedstawia obraz społeczeństwa polskiego

Str. 143

cena: £4,00 – \$10,00

**Alicja Iwańska**

**BAŚŃ AMERYKAŃSKA**

nowela satyryczna ukazująca

amerykańskie środowisko akademickie lat siedemdziesiątych

Str. 72

cena: £3,00 – \$7,50

**Piotr Sommer**

**.CZYNNIK LIRYCZNY**

**I INNE WIERSZE**

z ilustracjami EWY KURYLUK

Str. 104

cena: £4,00 – \$10,00

**Szymon Jakubowicz**

**BITWA O SAMORZĄD 1980-1981**

Str. 200

cena: £5,00 – \$11,00

**Krystyna Kersten**

## **TERROR NA PRZEŁOMIE WOJNY I POKOJU LIPIEC 1944 – LIPIEC 1945**

Sybir zna nas od dawna, jeszcze z lat caratu  
Tam właśnie za swą woźność ginęli ojcowie  
Czegoż więc od nas chcecie? Odpowiedź światu  
Przyjaciele-Moskale, czy tylko wrogowie?

*Do przyjaciół Moskali, 1944*

Nurtuje mnie od dawna pytanie, dlaczego masowe represje bezpośrednio po oswobodzeniu spod okupacji niemieckiej niemal całkowicie zniknęły ze zbiorowej pamięci? Czyżby terror okresu nazwanego stalinowskim przesłonił wcześniejsze aresztowania, wyroki śmierci, mordy, obozy, deportacje, pacyfikacje? Przesłonił tak dalece, że z niedowierzaniem podchodzi się dziś do ówczesnych świadectw i obecnie ujawniających zbrodni, by wymienić choćby najlepiej znaną sprawę „branki” na Suwalszczyźnie w czerwcu i lipcu 1945 r.?

Sądzę, że doświadczenia te – a dla większości społeczeństwa były to pierwsze doświadczenia z porządkiem nadchodzącym ze Wschodu – wymazano z pamięci z powodów nieporównanie głębszych, mianowicie z uwagi na ich znaczenie w procesie przystoso-

wywania się do narzuconej rzeczywistości. Terror tych kilkunastu lub, w części kraju, kilku miesięcy, sprzęgnięty z wymarciem okupacją (na Kresach Wschodnich dwiema okupacjami), rozczarowaniem do własnych elit politycznych, głębokim kryzysem zaufania do sojuszników – Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii – a także rozbiciem więzi, niepomniernie ciężkimi warunkami życia, które trzeba było urządzać od nowa, nadwerzęzył zdolność oporu i czynnego przeciwstawiania się nowej władzy. Co więcej – terror ten zaszczerpił nowy strach w społeczeństwie pragnącym po sześciu latach nieustannego zagrożenia przede wszystkim bezpieczeństwa, spokoju, stabilizacji, normalnej egzystencji. „Legenda o NKWD przychodzi z Rosji i z Łuhelskiego. Ludzie boją się już ze sobą rozmawiać, gdyż najmniejsza niestrożność kończy się aresztowaniem”<sup>1</sup> – ta opinia oficera, który po uwolnieniu z Woldenbergu przebywał przez kilka miesięcy w kraju, by w kwietniu 1945 r. wyjechać na Zachód, trafia w sedno. Strach, który wówczas zasiano, przetrwał, moim zdaniem, do dziś. Pamięć tamtych przeżyć nie odblokowały w masach sygnały władzy, że wolno już pamiętać – a może nawet należy – mówić, pisać, demaskować, oskarżać w tej samej mierze, co represje lat 1949-1956. O tym, co się działo w pierwszych miesiącach, ludzie wciąż boją się mówić. A może nie tylko boją się? Może wielu z nich nie chce wracać do swoich wyborów i zachowań tamtego czasu?

Waga terroru z przelomu wojny i pokoju leży nie tylko w tym, iż stanowi on rozdział w księdze polskiej martyrologii i może być częścią aktu oskarżenia władzy komunistów czy – jak chcą niektórzy – stalinizmu. O wiele istotniejszy jest wpływ, jaki terror ten wywarł na społeczeństwo polskie. Właśnie terror pierwszych miesięcy, zabijający nadzieję wolności i skłaniający do szukania ratunku w ramach wyznaczonych przez przemoc tych, którzy niosąc wyzwolenie, jednocześnie zniewalali.

Represje lat 1944-1945 inicjowały i realizowały odpowiednie służby radzieckie; podstawę działalności tych służb na zachód od nowej granicy ustalonej w Moskwie w momencie powołania PKWN stanowiło znane porozumienie z 26 lipca 1944 r.; jego art. 7 ustalał, że przestępstwa przeciw wojskom radzieckim w strefie operacji wojennych podlegają jurysdykcji Radzieckiego Wodza Naczelnego. luterpretowany szerzej, ów akt miał saukcjonować

władanie radzieckich organów ścigania w Polsce. Operacjami kierował gen. NKWD Iwan Sierow z ramienia Smiersz, organizacji kontrwywiadu. Jemu to podporządkowane było NKWD na terenie Polski. Aparat PKWN, a następnie Rządu Tymczasowego odgrywał rolę drugorzędną. W pierwszych miesiącach „terror sowiecki – jak to określano w dokumentach polskiego podziemia – działał zupełnie jawnie aparatem własnym”. Później stopniowo NKWD przekazywało część swoich funkcji aparatowi polskich Urzędów Bezpieczeństwa „sprawując nad nimi nadzór całkowity i kontrolę oraz działając nadal i swoim własnym aparatem – bezwzględnie, sprawnie, iecz już nie jawnie, a z ukrycia”: W połowie 1945 r. Delegat Rządu stwierdzał, że na aparat represji składa się: „NK/GB/WD, liczne, lotne i stałe placówki działające decentralistycznie, niezależnie od powiązań z polską administracją ogólną i wymiarem sprawiedliwości; b) placówki Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (...) które są pod nadzorem, a najczęściej pod bezpośrednim kierownictwem NK/GB/WD; spełniają raczej pomocnicze funkcje dla NK/GB/WD i formalnie ścigają przestępstwa objęte dekretem PKWN o ochronie państwa z września [błąd – winno być z października – K.K.] 1944 i współpracują z sądami specjalnymi; c) Milicja Obywatelska (...)”<sup>2</sup>. Trudno na podstawie dostępnych mi źródeł stwierdzić, jak przedstawiało się współdziałanie polskich władz bezpieczeństwa z radzieckimi służbami specjalnymi; wydaje się pewne, że nie było ono pozbawione konfliktów. Zwłaszcza na początku strona polska starała się kierować represjami we własnym zakresie. Przemawia za tym informacja przedstawiona na posiedzeniu Biura Politycznego 6 września 1944 r., a dotycząca wizyty u Bułgana. Mowa jest tam o przekazaniu wszystkich aresztowanych we Lwowie do dyspozycji Radkiewicza i o telefonie Stalina do Bułgana, w którym Stalin miał pytać, „czy jest wiadomym sowieckim organom, że nie wolno przeprowadzać im aresztowań?”<sup>3</sup>. Z pewnością jednak była to gra pozorów, typowa dla Stalina obtuda.

Radziecki scenariusz działań represyjnych w Polsce rysuje się dość wyraziście. Stalin był świadom, że władza komunistów jest słaba i nie ma oparcia w społeczeństwie. Z jego punktu widzenia była to zresztą okoliczność raczej pomyślna, bo, paradoksalnie,

sprzyjająca uzależnieniu Polski od ZSRR. Na posiedzeniu Biura Politycznego 9 października 1944 r. Gomułka przytoczył zdanie Stalina wygłoszone podczas niedawnej wizyty przedstawicieli PKWN i KRN w Moskwie: „Tow. Stalin ostrzegł nas, że w tej chwili mamy bardzo dogodną sytuację w związku z obecnością Armii Czerwonej na naszych ziemiach. »Wy macie teraz taką siłę, że jeśli powiecie 2 x 2 jest 16, to Wasi przeciwnicy potwierdzą to«, powiedział Stalin. Ale – mówił Gomułka – tak nie zawsze będzie. Wtedy nas odsuną, wystrzelą jak kuropatwy”<sup>4</sup>. Toteż Stalin czynił wszystko, aby – gdy przyjdzie moment wycofania Armii Czerwonej i gdy wraz z zakończeniem wojny ustaną podstawy sprawowania jawnej jurysdykcji radzieckiej – polskie społeczeństwo skłonne było, jeśli nie z ochotą, to biernie, uznać, że „2 x 2 jest 16”. Inaczej mówiąc, by miało wyrobiony odruch warunkowy strachu.

Wedle ocen polskich władz podziemnych infiltracja Polski przez NKWD i wywiad radziecki zaczęła się na dużą skalę już w 1943 r. Charakteryzując „akcję komunistyczną w Polsce”, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w marcu 1944 r. odnotowywało nowe zjawisko: „Kraj jest coraz silniej nasycony agendami i agentami sowieckimi, którzy przejmują inicjatywę. Rozwija się proces sowietyzacji rodzimej komuny. (...) Moskwa coraz szerzej przejmując inicjatywę w ręce. Inicjatywa ta przejawia się przede wszystkim w dziedzinie organizacji wojskowej, gdzie coraz większą rolę odgrywają agenci sowieccy, i w dziedzinie wywiadu. Należy tu wymienić tworzenie NKWD i biura informacji wojskowo-politycznej...”<sup>5</sup>. Podobną opinię wyrażał gen. Bór Komorowski w raporcie o sytuacji z 20 listopada 1943 r. Podkreślano też – wówczas i później, już po oswojeniu od Niemców – że wywiad radziecki ma dobrą orientację w sprawach Polski Podziemnej. W marcu 1945 r. w biuletynie *Dokumenty chwili*, opatrzonym adnotacją „tajne, po wykorzystaniu spalić”, opisując metody NKWD stwierdzano, iż są one bez porównania bardziej wyrafinowane niż metody Gestapo, między innymi dlatego, że „z NKWD współdziała tysiące ludzi, często ideowych, wierzących, że tępią »reakcję«. »faszystów«, i że służą dobrze Ojczyźnie”. Podnoszono, iż NKWD znakomicie wykorzystuje polską łatwowierność i naiwność polityczną<sup>6</sup>. W nieco późniejszej charakterystyce terroru



sowieckiego w Polsce również wyrażono pogląd, że metody pracy NKWD są „bardziej wykształcone i skuteczne niż metody Gestapo. Pozostałych na tutejszym terenie agentów Gestapo przejęło NKWD na swój żołąd. Ponadto rozbudowało własny aparat w oparciu o siatkę organizacyjną PPR. Badanie zatrzymanych jest prowadzone przy zastosowaniu najrozmaitszych metod od łagodnych do najbrutalniejszych, aż do bicia i torturowania włącznie. Zdarzają się wypadki morderstwa i okaleczeń w czasie śledztwa”<sup>7</sup>.

Zanim historycy poznają oceny sytuacji wysyłane do Moskwy przez różne ogniwa władz radzieckich w Polsce, zwłaszcza zaś dyrektywy i instrukcje dotyczące ich działalności, zdani są na wnioskowanie pośrednie. Wszystkie poczynania radzieckie zdają się zmierzać do zniszczenia bądź podporządkowania najaktywniejszej części społeczeństwa, wywołania atmosfery strachu i ugruntowania w całym społeczeństwie poczucia, że jest skazane na radzieckie rządy. Operacje policyjne wspierano operacjami propagandowymi. W istocie rzeczy propagandzista różnych szczebli i formatów oraz funkcjonariusz NKWD współdziałali w niszczeniu naturalnych związków pomiędzy ludźmi, w degradowaniu idei i wartości konstytuujących społeczeństwo. Jeden kazal wybierać między zagładą fizyczną i ugięciem się, czasem wręcz upodleniem, drugi dostarczał argumentów na rzecz kapitulacji, rzucając oskarżenia i kalumnie na ludzi o niezachwianym dotąd autorytecie, nurzając w błocie symbole i świętości, a zarazem kusząc powyciąganymi z rozmaitych szuflad autentycznymi wartościami, takimi jak realizm polityczny, bezpieczne granice na zachodzie, sprawiedliwość społeczna, równouprawnienie mniejszości. Niekiedy policjantem i propagandzistą był ten sam człowiek. Oto co na ten temat napisano we wspomnianych *Dokumentach chwili*: aresztowany – na ulicy, w kotle, w swoim mieszkaniu – zostawał umieszczony w więzieniu. (Jak wiadomo, każda placówka NKWD miała własne więzienie, najczęściej w piwnicach.) „Warunki są okropne – czytamy – ciemno, wilgotno, zimno i głodno. Obsługa poszczególnych więzień składa się z agentów NKWD. Polscy milicjanci do więzień dostępu nie mają”. Zaczynały się przesłuchania – wedle tego świadectwa zazwyczaj bez specjalnych tortur cielesnych. Trwały 3-5 godzin, najczęściej

nocą, w małych odstępach czasu. „Pierwsze przesłuchanie ma charakter propagandowy. Przesłuchujący przez całe 5 godzin mówi o sytuacji politycznej, o stosunkach w Polsce przed 1939 r., o fatalnej polityce »reakcji« i »szlachetczyzny«, za którą obecnie Polska pokutuje, o klice dowódców, którzy dla własnej fantazji gubią niewinnych ludzi (przykład Warszawy), o upodleniu AK i partii »reakcyjnych«, po czym wyciąga kartotekę miejscowości, z której aresztowany pochodził. Czyta pseudonimy, mówi o wszystkim, co się w danej miejscowości działo. Następnie przechodzi na tematy prywatne. W czasie powodzi słów rzuca nagle jakieś pytanie”. To wszystko bez protokołu. Formalne przesłuchanie zaczynało się później. „Za wsypanie kierownictwa danej organizacji obiecują aresztowanym wolność, pieniądze, złote góry. Aresztowani, pod wpływem przedstawionego materiału, często zalamują się i sypią. (...) Często pozorowane są egzekucje. Wygląda to tak: aresztowanego prowadzi się do celi śmierci. Jest on przekonany, że to koniec, a stojący pod celą prowadzący dochodzenie agent NKWD rzuca pytanie »gdzie mieszka kierownik?«. Jeżeli aresztowany niczego nie powie, to odprowadzają go do poprzedniej celi. Metody powyższe – piszą autorzy – dają wprost przerażające wyniki i w rezultacie NKWD wie znacznie więcej o tajnym życiu polskim niż wiedziało Gestapo”. Twierdzą oni nadto, iż ci, którzy wyszli z rąk NKWD, w większości wypadków, jeżeli nie zostali wypuszczeni „na wabia”, to uprzednio podpisali deklarację o współpracy. Artykuł kończy się konkluzją, że „NKWD posiada dobrych psychologów, zna nasze wady narodowe i umiejętnie je wykorzystuje”.

Zawarte w tym tekście informacje nie były wynikiem „psychozy” NKWD i demonizowania roli tej instytucji, ale nawet gdyby tak było, stanowiłyby one dowód, że już w pierwszej połowie 1945 r. strach poczynił znaczne spustoszenia.

Można było odwracać się ze wstrętem od napisów „AK – zapluty karzeł reakcji” i wyrzucać do kosza gazety pomawiające Armię Krajową i jej dowództwo o dawanie posłuchu niemieckim podszeptom, oszczerstwa te nabierały jednak innego wymiaru, gdy były sprzężone z zagrożeniem fizycznym.

Armia Krajowa stanowiła od pierwszej chwili główny obiekt represji i ataków propagandowych. Jest to zrozumiałe, gdy się

zważy na znaczenie tego symbolu walki i oporu dla moralnej kondycji polskiego społeczeństwa. Jego zniszczenie – moralne i fizyczne – prowadziło do unicestwienia potencjału obronnego Polaków i ich duchowego rozbrojenia. Był to pierwszy stopień do ubezwłasnowolnienia, degradacji i znieprawienia. Zniweczenie Armii Krajowej było niezbędnym warunkiem przekucia społeczeństwa na modłę radziecką. Cel ten był znany. Jedynie plan działań, które miały do niego prowadzić, przewidywał rozmaite warianty.

Proporcje dwóch podstawowych metod postępowania, terroru oraz pozyskiwania obietnicami, zależały od rozwoju sytuacji i reakcji Polaków. Wat cytuje znamienne wypowiedź Jerzego Borejszy w kuluarowej rozmowie w czasie szczecińskiego Zjazdu Pisarzy w 1949 r.: „Stwierdziwszy, że socrealizm jest nieunikniony, Borejsza miał dodać: »Ale my, bolszewicy, jesteśmy taktykami, tempa i etapy dostosowujemy do stopnia napotykanego oporu«”<sup>8</sup>.

Pierwsze doświadczenia w Wilnie, Lwowie i na Lubelszczyźnie dowodziły, że „Sowiety chcą zniszczyć AK jako polską siłę dyspozycyjną im nie podporządkowaną”<sup>9</sup>. Kiedy okazało się, że Armia Krajowa, gotowa do współdziałania wojskowego w walce z Niemcami, odmawia kategorycznie rozbrojenia i wcielenia do „armii Berlinga” – jak wówczas powiadano – władze radzieckie bez zwłoki i wahań przystąpiły do rozbrajania siłą. Część żołnierzy i większość dowódców deportowano w głąb ZSRR (na roboty leśne koło Kaługi, do obozów, do kopalni na Uralu), część osadzono w więzieniach, w obozach poniemieckich czy tworzonych *ad hoc* obozach na terenie Lubelszczyzny, Rzeszowskiego, Podlasia, w rejonie Warszawy, później również na zachód od Wisły. Oto najbardziej znane obozy, wymienione w cytowanej charakterystyce terroru z połowy 1945 r.: Rembertów, Krześlin k. Siedlec, Wesola, Skrobów k. Lubartowa, Krzesimów k. Łącznej, Głupsk, Kraczwice k. Opola Lub., Mątwy k. Inowrocławia, Łęgnów k. Bydgoszczy, Zimne Wody k. Bydgoszczy, Potulice, Mielęcín, Starogard, Lipno, Toruń, Poznań, Ciechanów, Wieliczka, Mysłowice, Sosnowiec-Radocha, Strzemieszyce, Świętochłowice, Katowice, Janów Podlaski, Brześć n. Bugiem; nie wymieniono Majdanka i Oświęcimia, stwierdzając, że „ostatnio niektóre obozy są

przekazywane administracji polskiej, niektóre zaś likwidowane (Majdanek, Rembertów)". Źródło to wspomina też o więzieniach-obożach typu „połowego”, w których trzymano żołnierzy AK. Były tam „doły o wymiarach najczęściej 1,5 x 1,5 x 2 m, z garścią słomy, przykryte deskami i słomą”, w szczerym polu, w okolicy, z której wysiedlono ludność „ze względu na tajemnicę wojskową”. W 1981 r. w Rzeszowie głośna stała się historia jednego z takich połowych obozów w miejscowości Trzebuska k. Sokółowa Małopolskiego. Wiązało się to z przypomnieniem zapoznanej sprawy zbiorowych mogił żołnierzy AK pomordowanych przez NKWD w 1944 r., znajdujących się w pobliskim lesie turzańskim. Z zeznań ludzi, którzy jeszcze żyją i pamiętają – w większości chłopów z okolicy – wylania się obraz tyleż wiarygodny, co wstrząsający<sup>10</sup>. Z pewnych śladów wynikałoby, że w obozie w Trzebusce, do którego zwożono akowców, znalazł się także gen. Władysław Filipkowski, dowódca lwowskiego obszaru AK, który 31 lipca 1944 r. udał się na wzwanie władz radzieckich do Żyto-  
mierza, gdzie został zatrzymany.

W grudniu 1944 r. gen. Tatar w ocenie sytuacji na obszarze zajmowanym przez Armię Czerwoną dokonanej przez Oddział VI Sztabu stwierdzał, że „w stosunku do Armii Krajowej występują zwykle następujące kolejne etapy: usuwanie elementu kierowniczego, presja w kierunku podporządkowania Berlingowi oddziałów AK, rozbrowienie oddziałów, areszty, deportacje względnie internowanie najbardziej czynnego elementu, który odmawia współpracy, wcielanie przemocą względnie w drodze poboru do oddziałów Berlinga”<sup>11</sup>. W polityce wobec Armii Krajowej należy wyróżnić ówie fazy, co jest związane z zasadniczym zwrotem politycznym, jaki dokonał się na początku października 1944 r. W fazie pierwszej, która trwała około trzech miesięcy, zakładano, że większość żołnierzy i część kadry oficerskiej AK zostanie wcielona do wojska. Gomulka 29 października na posiedzeniu Biura Politycznego powiedział: „Akowcy, na których w niedawnej przeszłości zdecydowani byliśmy oprzeć częściowo WP, okazali się w przygniatającej większości elementem wrogim, który bezwzględnie trzeba usunąć”<sup>12</sup>. Radkiewicz na posiedzeniu PKWN 4 października 1944 r. stwierdził: „Początkowo akowców nie aresztowaliśmy, rozbrawiliśmy ich i odsyłaliśmy do wojska, niezależnie od

tego, do jakiej kierowniczej organizacji należeli”<sup>13</sup>. Była to tylko częściowa prawda – w owych miesiącach bardziej elastycznej polityki, kiedy to, przeplatając terror i agitację, usiłowano, jak pisał ge. Okulicki, „chwycić doły” akowskie, trwały równocześnie aresztowania sztabów i dowódców<sup>14</sup>. Przecież już wtedy zapelnily się więzienia i obóz na Majdanku. Obóz w Trzebusce powstał na początku sierpnia 1944 roku.

Głosząc, że „dla wszystkich żołnierzy i oficerów AK są szeroko otwarte podwoje WP, wszystkie stanowiska wojskowe i szkoły wojskowe”, zapewniając, że „dla nich sformowane są pierwsze bataliony zapasowe w Lublinie, Jarosławiu, Białymstoku i Wilnie, które całkowicie przeznaczone są dla członków podziemnych organizacji zbrojnych” (Instrukcja Zarządu Polityczno-Wychowawczego I Armii WP z 12 VIII 1944)<sup>15</sup> liczono na to, że masy akowskie pozbawione kierownictwa oraz poddane dyscyplinie wojskowej i indoktrynacji – ulegną; sugerowano się doświadczeniami przy tworzeniu wojska w ZSRR. W stosunku do tych, którzy zamiast do pułków zapasowych trafili do obozów, zamierzano zastosować znany proceder moralnego upodlenia, alternatywę deportacji lub więzienia. Oto tekst deklaracji, jaką mieli podpisywać żołnierze AK:

„Ja... skierowany do obozu dla internowanych, wskutek podejrzenia o wrogie ustosunkowanie się do jedynych legalnych organizacji Państwa Polskiego – KRN i PKWN oraz do Naczelnego Dowództwa WP, stwierdzam z własnej, nieprzymuszonej woli co następuje: 1. Oceniam należycie zbawienną dla naszego narodu działalność KRN i PKWN i będę w dalszej swej pracy lojalny i posłuszny wszystkim ich zarządzeniom, jak na żołnierza polskiego przystało. 2. Widzę i potępiam haniebną działalność kierownictwa AK i innych zbliżonych do niej organizacji, które pomagają hitlerowskiemu okupantowi, usiłując swą dywersyjną akcją osłabić WP i rozbić jedność Narodu. 3. W dalszej swej pracy w WP nie będę utrzymywał kontaktów z zakazanymi przez dekrety PKWN nielegalnymi organizacjami i dążyć będę do ułatwienia Naczelnemu Dowództwu walki z wszelkimi próbami i objawami wrogiej działalności AK i jej podobnych, wymierzonych przeciwko Polsce demokratycznej i WP. 4. Rozumiem, że skierowanie mnie do obozu dla internowanych było – wobec

zarzucania mi wrogiej działalności – uzasadnione przez troskę NDWP o całość i przydatność bojową sił zbrojnych Narodu, nie żywię więc z tego powodu do nikogo żalu ani pretensji”<sup>16</sup>.

Jednak niebawem i te metody fizycznego bądź moralnego tępienia Armii Krajowej i akowców uznano za niewystarczające i nie dość skuteczne. Podczas wizyty delegacji KRN i PKWN w Moskwie (28 IX – 3 X 1944) Stalio zaatakował Bieruta, zarzucając polskim komunistom „brak rewolucyjnego podejścia” i „rewolucyjnych metod”. Bierut relucjonował Biuru Politycznemu: „Druga konferencja zakończyła się bardzo ostrą krytyką, która wprawdzie nosiła charakter osobisty, skierowana była mianowicie do mnie – ale – jak mi się wydawało – biła nie tylko we mnie. Tow. Stalin krytykował naszą miękkość, rozlazłość, że nie umiemy wystąpić dostatecznie śmiało. Kiedy się dowiedział, że żaden obszarnik nie został jeszcze posadzony, wymyślał: «Cóż wy za komuniści! To nie tylko brak komunizmu, to brak patriotyzmu, właściwego stosunku do potrzeb narodu». Ta krytyka wiązała się z naszym stosunkiem do walki z wrogiem. Zdenerwowanie tow. Stalina wynikało z informacji tow. Bułganina o zwolnieniu grupy ludowców, która wzywała do bojkotu i do walki z nami i urządziła nielegalne zebrania. Taka miękkość, podchodzenie w rękawiczkach do wroga, który nas zwalcza, dyskredytuje nas jako rewolucjonistów. Tow. Stalin zwracał uwagę na konieczność zmiany: *perestroitsa ili ustupit*”. Po relacji Bieruta Biuro Polityczne „doszło do wniosku, że krytyka była całkowicie słuszna, że Partia musi ją uznać i zastosować się do niej; by *perestroitsa* i zmienić nasze postępowanie”. Gomułka w obszernym przemówieniu stwierdził, iż należy odpowiedzieć na „terror reakcji” i przejść do kontrataku. Ochab mówił: „Czujemy się w cieplarnianych warunkach, czekamy na to, że CK w Moskwie da nam dyrektywy. Nie bierzemy sami odpowiedzialności za los Polski i klasy. Tu nie chodzi o to, że za swoje błędy będziemy płacić głową, tu idzie o przyszłość klasy. Nas zdemoralizowała sytuacja, że znajdujemy się pod opieką Czerwonej Armii. To usypia naszą czujność. Musimy brać odpowiedzialność za kraj, za naród. Musimy się zastanowić nad tym, jak wybrnąć z tej sytuacji, aby znowu nie slyszec, że się nie nadajemy”. Najostrzej wystąpił Kasman: „Kto by pomyślał – powiedział – że będąc u władzy nie zastosujemy terroru wobec

reakcji (...) Przerażenie ogarnia, że w tej Polsce, w której partia jest hegemonom, nie spadła nawet jedna głowa (...) Terror skuliby wielu ludzi wokół nas, brak terroru rozzuchwała AK. Należy przyjrzeć się robocie bezpieczeństwa, bo są sygnały, że wypuszcza się wrogów"<sup>17</sup>. Grozą powiało.

Historycy toczą spory na temat związku pomiędzy istniejącym realnie oporem – owym „terrorem reakcji”, na który powoływał się Gomułka – a przejściem komunistów do rozszerzonego i zaostrzonego terroru. „Kurs na porozumienie” pierwszych miesięcy, przypisywany krajowym działaczom PPR, przeciwstawia się często nowej linii, narzuconej przez Stalina i część Biura Politycznego. Październikowy zwrot 1944 r. to odrębny problem, wart wnikliwej analizy. Niewątpliwie rację mają ci wszyscy, którzy wskazują na celowe wyolbrzymianie aż do granic mistyfikacji działań wojskowych i politycznych organizacji konspiracyjnych dla wytworzenia klimatu zagrożenia i uzasadnienia własnego terroru. Ale też nie ulega dla mnie wątpliwości, że Stalin i cytujący go Gomułka nie mylili się twierdząc, że komuniści utrzymują się dzięki potędze radzieckiej, mając przeciw sobie ogromną większość zorganizowanej i aktywnej części społeczeństwa. W tym sensie można powiedzieć, że terror był współmierny do oporu, nawet jeśli opór był w danym momencie sparaliżowany przez obecność radziecką. Podobnie zresztą ujmował to wówczas gen. Tatar, gdy dokonując oceny sytuacji na obszarze zajętych przez Armię Czerwoną stwierdzał: „Społeczeństwo polskie na akcję władz sowieckich względnie prosowieckich zareagowało oporem, bojkotem i częściowo czynnym przeciwdziałaniem, dążąc do zwartego utrzymania szerokich mas w wierności legalnemu Rządowi. Opór wywołał wzmożone represje ze strony PKWN. W represjach tych ostatnio otwarcie bierze udział NKWD”<sup>18</sup>.

Przejście do strategii represywnej znajdowało wyraz w polityce, w propagandzie, w wojsku. Dwie dziedziny miały szczególne znaczenie: wykonanie reformy rolnej oraz stosunek do Armii Krajowej. Uznano, że akowcy „okazali się w przygniatającej masie elementem wrogin, który bezwzględnie trzeba usunąć” – to cytowane już słowa Gomułki. Materiały, być może spreparowane przez radzieckie służby specjalne, miały przekonać tych wszystkich, którzy niedawno opowiadali się za wcielaniem akow-

ców do WP, iż „zjednoczone siły AK, BCh, NSZ i ZWZ [sic! – K.K.] mobilizują się do puczu”, że „sytuacja przedstawia się znacznie bardziej poważnie niż mogło się zdawać”<sup>19</sup>. Telefonogram, z którego pochodzą te stwierdzenia, został wysłany z Lublina do Moskwy 12 października, w czasie pobytu delegacji KRN i PKWN w związku z wizytą Churchilla i rozmowami na tematy polskie. W ciągu kilku następujących dni nadeszły dalsze depesze, informujące o dywersji i dezercjach, między innymi o dezercji 31 pułku piechoty, która to wiadomość „zdenerwowała nieco Stalina”, jak powie potem Bierut. „Zarzuca nam – relacjonował na posiedzeniu Biura Politycznego 22 października – że chcieliśmy odsunąć Czerwoną Armię, że traktujemy ją jak obcą armię itd. Telefonicznie dał natychmiast zarządzenia do Rokossowskiego i NKWD w związku z sytuacją w Polsce. W pewnym momencie wyraził się, że wprowadziliśmy siebie i jego w błąd przy ocenie przeciwnika. Obecnie należy nam wziąć za leb przeciwnika, a nie występować w obronę AK, tak jak kiedyś Gorki poróżnił się z Leninem na tle represji. Jednakże uważał, przypominając Marksa, że ma to i dobre strony, gdyż kontrrewolucja pobudza do czynu rewolucyjnego. Bez tego rewolucja zatracą czujność. Nas też pobudzi do czynu kontrrewolucja”. Tymczasem Stalin „w związku z wiadomością o przygotowaniach AK do wystąpień zgodził się, aby Bulganin pojechał do Lublina”.

Na tymże posiedzeniu Biura Politycznego w punkcie „sprawy wojskowe” Spychalski, który we wrześnie był zdania, że należy uczynić wszystko, „by wcielić szeregi AK do WP”, stwierdził, iż „stan obecny w armii jest więcej niż groźny z punktu widzenia partyjnego. AK opanowała wiele ogniw”. Mówiono o „wykrywaniu gniazd wrogich”, o dezercjach i przechodzeniu „na stronę wroga”. A także o ściągnięciu brygady kawalerii „dla oczyszczenia terenu z band”. I o tym, że Bulganin „proponował zastąpić straż kolejową jednostką sowiecką” i że „trzeba na to pójść”. Józwiak zaatakował Rolę Żymierskiego, że „daje on wszystko w ręce AK-owców”, że o wydziale informacji można mówić tylko jako o wydziale akowskim, bo „nasz faktycznie nie istnieje”. Radkiewicz stwierdził, że „chłystki akowskie dostali wysokie stanowiska i wszystkie środki do swojej propagandy” i bił na alarm: „Wojsko wysłizguje się z naszych rąk”. Wniosek? – „Sztab musi być nasz.



Fachowcy akowcy jeżeli już zostaną, muszą mieć kontrolerów. Akowców szkodników musimy likwidować, aresztować". Berman ze swojej strony przestrzegał: „Na terenach, które przyjdzie opanowywać, AK będzie związane o wiele bardziej z AK [sic! – K.K.] aniżeli u nas. Przy perspektywie porozumienia się z Mikołajczykiem grozi w tym stanie rzeczy największe niebezpieczeństwo. Jest za pięć dwunasta”<sup>20</sup>.

Tydzień później podobny sąd wyraził Gomulka. Mówiąc o konieczności usunięcia akowców z wojska oświadczył: „Niebezpieczeństwo jest tym większe, że porozumienie z Mikołajczykiem może nastąpić, co bezsprzecznie stworzy dodatkowe plusy dla AK. Jeśli nie zabezpieczyć się przed tym, to może zaistnieć sytuacja, że wojsko przez nas budowane stanie się narzędziem w rękach reakcji”. Przychylając się do tej opinii Bierut oświadczył: „Trzeba spojrzeć śmiało rzeczywistości w oczy. Akowcy siedzą w najważniejszych ogniwach wojskowych. Trzeba ich stamtąd usunąć i zastąpić elementem pewnym. Na AK wojska nie zbudujemy”. W projekcie uchwały mówi się o „poważnym zaostrzeniu walki klasowej na wyzwolonych terenach”, przewidując, iż „w najbliższym czasie zaostrzy się ona jeszcze bardziej”. Jak również o tym, że resort bezpieczeństwa publicznego nie jest przygotowany do pełnienia swojej roli, z braku bowiem ludzi „cały szereg działów niezwykle ważnych, jak to społeczno-polityczny, dział więzień i obozów, wydział kolejowy, wydział ochrony rządu wcale nie istnieją”. Stwierdzano, że „w więzieniach przetrzymywany jest tysiąc akowców, ale zaledwie kilkadziesiąt spraw może być przekazane sądom, gdyż nie ma ludzi do prowadzenia śledztwa”<sup>21</sup>.

Konsekwencją tych ocen były decyzje podjęte 31 października, dotyczące między innymi internowania kilkuset oficerów Armii Krajowej. Zgłoszona na tym posiedzeniu Biura Politycznego propozycja Radkiewicza, aby z akowców aresztowanych przez władze radzieckie utworzyć specjalne bataliony zapasowe, została odrzucona: „W dyskusji nad tą sprawą zdecydowano, że bardziej celowym będzie utworzenie specjalnych obozów pracy dla różnego rodzaju przestępców i włączenie do nich również tego elementu akowskiego, na który nie ma dostatecznych dowodów do sądenia go na podstawie dekretu o ochronie państwa”<sup>22</sup>. W piątym punkcie przyjętej rezolucji „o sytuacji i pracy w wojsku”

stwierdzano: „Braki i błędy pracy politycznej w wojsku, niedocenia-  
nianie przez niektóre ogniwa aparatu politycznego niebezpiecznie  
wrogiej roboty AK, co znalazło swój wyraz w obsadzaniu stano-  
wisk politycznych niepewnym elementem akowskim, w pobłażli-  
wym stosunku do AK w ogóle, a szczególnie do jej przeszłej dzia-  
łalności, słabe reagowanie na taktykę AK, polegającą na przeci-  
wstawieniu oficerów Armii Czerwonej oficerom i żołnierzom pol-  
skim, brak czujności ze strony aparatu politycznego, zaniedbanie  
pracy politycznej wśród oficerów liniowych, a zwłaszcza z Armii  
Czerwonej i daleko niedostateczne lub całkowite nieprzeciwsta-  
wianie się wysiłkom AK, zmierzającym do izolacji tych oficerów  
od masy żołnierskiej”<sup>23</sup>.

Następstwem tych ocen i decyzji były aresztowania, rozstrzeli-  
wanie, deportacje oficerów AK, którzy znaleźli się w wojsku,  
dokonywane przy akompaniamencie rozszalałej oszczerczej pro-  
pagandy. W poufnej instrukcji Głównego Zarządu Polityczno-  
-Wychowawczego stwierdzano wówczas: „mamy liczne dowody  
zbieżności hasel głoszonych przez AK i przez propagandę Goeb-  
belsa, mamy liczne dowody współdziałania AK-NSZ z bandami  
bulbowskiemi i Gestapo, nie pora więc okazywać im «zrozumie-  
nie», «szacunek» i tolerować «przywiązanie do przeszłości». (...)  
Każdy pracownik polityczno-wychowawczy pojąć musi, że dzisiaj  
nie ma miejsca na żadne porozumienie z AK w wojsku”<sup>24</sup>. Terror  
policyjny i propagandowy zatoczył jednak znacznie szersze kręgi.  
W wymiarze policyjnym uzyskał podstawę w drażniącym dekre-  
cie o ochronie państwa uchwalonym przez PKWN 30 paździer-  
nika 1944 r., większość poczynań dokonywała się jednak poza  
prawem. Terrorem objęto wszystkie sfery życia publicznego, włą-  
cznie z samym PKWN. Usuwano ze stanowisk osoby, których  
posłuszeństwo nie było pewne. Wszędzie, włącznie z powstają-  
cym aparatem bezpieczeństwa, demaskowano „wrogą robotę”.  
17 grudnia na posiedzeniu Biura Politycznego Radkiewicz mówił:  
„W ciągu ostatniego miesiąca wykryto w aparacie bezpieczeństwa  
poważne agentury akowskie (Lublin, Białystok, Rzeszowskie, a  
przede wszystkim Kieleckie). W Kieleckim grupa specjalna pra-  
cuje nad oczyszczeniem aparatu. (...) Przenikanie następowało  
poprzez PPR. Szli w nasze szeregi akowcy, bechowcy, NSZ-owcy  
(wodzireje NSZ), zajmowali nieraz kierownicze stanowiska”<sup>25</sup>.

Puszczona przez Stalina w ruch machina terroru miała dwa cele: zniszczyć realnego przeciwnika i obezwładnić społeczeństwo, lecz również, może nawet przede wszystkim, zaaplikować ludziom, którym Stalin dawał władzę w Polsce, wstępny kurs regul, obowiązujących w radzieckim świecie: schizofrenii, strachu, swoistej logiki, zwłaszcza zaś tego, co Wat, rozumiejący jak mało kto mechanizmy stalinowskiego systemu, nazwał ubezwłasnomysleniem. Nawet komunista Bierut, nawet ci, którzy w latach wojny otrzymali pierwsze nauki w ZSRR, nie mówiąc o Gomułce, jeśli mieli przekuć Polskę na stalinowską modłę, musieli przejść przyspieszoną edukację, sami się przeobrazić, przyswoić sobie zasady działania w wynaturzonym świecie totalitarnego komunizmu. Zostali postawieni wobec alternatywy *perestrojka ili ustupit*, wiedzieli zaś – ba, mieli to w trzewiach – co kryje się za taką alternatywą. W tym sensie operacja zapoczątkowana przez Stalina na przełomie września i października 1944 r. była skierowana zarówno przeciw polskiemu społeczeństwu, jak przeciw tym, którzy z woli kremlowskiego przywódcy instalowali w Polsce nową władzę. Była to uwertura do roku 1948 i następnych; taki sam był cel, także metody. Tyle, że w sferze władzy, a ściślej na szczytach komunistycznej hierarchii, Stalin w 1944 r. zadowolil się jedynie groźnymi pomrukami, realne prześladowania ograniczając do reszty społeczeństwa.

Wbrew sądom, dość powszechnym w starszej generacji, która była obiektem radzieckich i komunistyczno-polskich działań, terror zapoczątkowany w październiku 1944 r. miał zasięg ogólnonarodowy, nie sprowadzał się do represjonowania czynnych przeciwników nowej władzy. Uderzał – prawda, że w stopniu bardzo zróżnicowanym – w społeczeństwo jako całość. Wedle wciąż tych samych metod, wypróbowanych w przeszłości w ZSRR, atak koncentrował się na grupie reprezentującej narodowe aspiracje i drogie społeczeństwu wartości. Miało to wyizolować ową grupę i – co istotniejsze – wszczepić społeczeństwu specyficzną kompozycję irracjonalnego lęku i racjonalnego przekonania, że wyrzeczenie się związków z Armią Krajową, kulturą zachodnią, odchyleniem pravicowo-nacjonalistycznym itd. oznacza bezpieczeństwo. Tyle, że każdy w każdym momencie mógł się okazać akowcem, agentem amerykańskiego imperializmu, szpiegiem, trockistą,

nacjonalistą... Sztuka radzieckiego systemu terroru, przeszczonego do Polski, polegała na takim dozowaniu lęku i poczucia złudnego bezpieczeństwa, by świadomość możliwości w każdym momencie zagrożenia wiodła do kapitulacji i ubezwłasnowolnienia, nie zaś, jak podczas niemieckiej okupacji, do powszechnego oporu. Miarą skuteczności maszyny terroru wprawianej w ruch w 1944 r. jest utrzymujące się po dziś rozdzieranie prześladowań, jakie dotknęły Armię Krajową, a także inne ugrupowania konspiracyjne, od postępowania NKWD czy władz PKWN wobec całego społeczeństwa. Tym właśnie tłumaczą wspomniane na początku wypchnięcie ze świadomości i z pamięci masowych prześladowań pierwszego roku władzy komunistów. Zaczęło się to od momentu, kiedy zrodził się szczególny psychospołeczny stan wiedzy i zarazem niewiedzy o nowych katowniach w piwnicach, o obozach, w których w dołach w ziemi, po kolana w wodzie, w ciemnościach, pozbawieni jedzenia siedzieli tysiącami ludzie z AK, o masowych wywózkach i rozstrzeliwaniach.

Walec prześladowań ruszył pełną parą na początku października 1944. Kolejne depeche działających jeszcze radiostacji donosiły o nasilających się represjach. W depechy z Lublina 19 października pisano: „W związku z konferencją w Moskwie władze sowieckie i PKWN puściły w ruch całą maszynę propagandy i terroru NKWD i milicji obywatelskiej. Chcą za wszelką cenę zniszczyć AK jako reakcję i faszystów”. Meldunki dochodzące ze wszystkich okręgów zajmują dziesiątki stron<sup>20</sup>. Wszystkie mówią o opłuwaniu Armii Krajowej jako bandytów, faszystów, morderców, pacholków Hitlera, o masowych aresztowaniach, wyrokach śmierci wydawanych przez sądy NKWD. Terror NKWD porównują z gestapowskim. W meldunku z podokręgu Warszawa-Wschód 27 października alarmowano: „konieczna jest reakcja na terroryzowanie ludzi z AK. Przy obecnym stanie w krótkim czasie niewielu z nas zostanie”. W tym właśnie czasie powstał w Krzeszlinie pod Siedlcami obóz NKWD dla akowców i osób z administracji cywilnej Rządu RP, obozy w Mielcu i Rembertowie. Piwnice siedziby NKWD przy ulicy Brzeskiej 6 w Warszawie zapelnily się więźniami. Podobnie jak wszędzie, część wywożono do łagrów w głębi ZSRR, część rozstrzeliwano na miejscu. Samochody załadowane zwłokami w ciągu godziny powracały po nowy transport.

Masowe groby z tamtego czasu wciąż nie zostały odkryte; o niektórych wzmiankują ówczesne dokumenty.

Wedle informacji posiadanych przez polskie podziemie, a także wedle późniejszych relacji, Polaków wywożono do obozów w Diahilewie koło Riazania, w Borowiczkach, w Ostaszkowie<sup>27</sup>. W Diahilewie miało przebywać około 2200 Polaków, aresztowanych pod koniec 1945 r.: osmuset powróciło wiosną 1946 r. do kraju. W źródłach z tego okresu mowa jest też o dużym obozie koło Leningradu, gdzie znajdowało się blisko pięć tysięcy polskich więźniów. W obozie panowała bardzo duża śmiertelność: do początku 1946 r. zmarło około 1800 osób; 1200 więźniów repatriowano<sup>28</sup>. Według polskich ocen z przełomu 1946/47 w ZSRR znajdowało się w tym czasie około 27 tysięcy Polaków, aresztowanych i internowanych w latach 1944-45 na terenie Wileńszczyzny oraz Ukrainy i Białorusi Zachodniej (skazanych przez sądy lub więzionych bez wyroków). Wykaz nie obejmował deportowanych z obszarów położonych na zachód od nowej granicy między Polską i ZSRR<sup>29</sup>.

Do obozów w ZSRR trafiali nie tylko żołnierze Armii Krajowej i osoby czynne w życiu politycznym podziemnego państwa. Masowe aresztowania „niebezpiecznego elementu” rozlewały się szeroką falą. Obejmowały ziemian, rządców, aparat administracyjny i samorządowy (sołtysów, wójtów, burmistrzów, urzędników), służbę leśną, kolejarzy, sędziów, nauczycieli, duchowieństwo, po prostu ludzi znanych w okolicy ze swojej postawy, aktywnych, szanowanych, a nastawionych krytycznie do kroczącego od wschodu porządku. Dotknęły – wbrew upowszechnionym schematom myślenia – mniejszości narodowe, przede wszystkim środowiska ukraińskie i białoruskie, również lewicowe<sup>30</sup>. Zazwyczaj terror działał wybiórczo, ale bywało, że po prostu zabierano ze wsi czy miasteczka odpowiedni kontyngent, jak popadło. W obozie w Ostaszkowie znalazło się na przykład około stu pięćdziesięciu osób z gmin Brańsk, Grodzisk koło Siemiatycz i Boćki, wskazanych przez miejscowy wywiad NKWD. W rejonie tym przeprowadzono dużą akcję pacyfikacyjną. Akcje pacyfikacyjne prowadzono w rejonie Chełm-Rejowiec, w okolicach Szczebrzeszyna, w rejonie Majdan Lubelski-Raniżów koło Kolbuszowej<sup>31</sup>.

Prześladowania Armii Krajowej, aresztowania, idące w tysiące, stanowiły tło operacji pozyskiwania, zwłaszcza jednostek znaczących w życiu publicznym. W *Bilansie pięciomiesięcznej gospodarki sowiecko-lubelskiej na ziemiach Polski*, sporządzonym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Londynie stwierdzano, że „idącym na kompromis pisarzom i artystom ofiarowywano posady, mieszkania, zorganizowano sale odczytowe i na uroczyste akademie, uruchomiono teatry”<sup>32</sup>. To prawda, choć obietnicom i nagrodom, pokusom kariery i mirażom ideologicznym towarzyszyła jako kontrapunkt rozkręcana spirala terroru. Pozytywne motywacje, na które tak chętnie się dziś powołują zwłaszcza ludzie z lewicy, a którym nie sposób zaprzeczyć, wspierały się na fundamencie lęku i strachu – lęku drążącego głębię ludzkiej psychiki i strachu na poziomie świadomości. Lęk i strach zaczynały swe niszczyielskie dzieło: one to powodowały, że przymykano oczy na ton propagandy, na kalumnie przekraczające granice już nie przyzwoitości, lecz wręcz zdrowego rozsądku. One sprawiały, że nie chciano wiedzieć o tym, co się dzieje na Zamku w Lublinie, na Majdanku, na Brzeskiej, w Rembertowie; że odrzucano docierające informacje i milczano. Oczywiście, nie sam strach odgrywał tu rolę, ale on leżał u podstaw wyborów, uzasadnianych rozmaitymi motywacjami: politycznymi, ideologicznymi, filozoficznymi.

Obecnie nie sposób stwierdzić, ile dziesiątków tysięcy osób padło ofiarą terroru między lipcem a grudniem 1944 r., ilu ludzi postradało życie, ilu wywieziono, ilu wyszło z więziennych piwnic i obozów okaleczonych fizycznie i duchowo i jaką część społeczeństwa, nie dotkniętego na własnej skórze represjami policyjnymi, zarażono strachem, otwierającym wrota coraz dalszym kompromisom. Z całą pewnością można mówić o procesach masowych, zarówno gdy chodzi o rozmiary represji, jak i wpływ ich na społeczeństwo.

W styczniu 1945 r. w ślad za wielką ofensywą radziecką walec terroru potoczył się na zachód. Powtórzył się scenariusz: za jednostkami Armii Czerwonej podążało NKWD, instalowało swoje więzienia i obozy, zaczynało działać. Ludzie znikali z ulic, przychodzono po nich do domów, zatrzymywano w „kotlach”. „Nie jest w stanie ująć uwagi, że każdego niemal dnia ktoś w tajemniczy

sposób ginie na ulicy lub po prostu znika po nim wszelki ślad” – pisano w jednej z ówczesnych ocen sytuacji<sup>33</sup>. Źródła AK i Delegatury Rządu donosiły o dziesiątkach konkretnych faktów aresztowania pojedynczych osób lub całych grup. Metoda działania pozostała niezmienną: unicestwić lub złamać. „NKWD podczas badań stawia zazwyczaj propozycje przejścia na ich służbę za cenę zwolnienia. W wypadku pozytywnego ustosunkowania się więźnia, następują pytania dotyczące możliwości jego w środowisku podziemnym, co stanowi potem dowód przeciwko niemu. Propozycje, których celem jest pozyskanie rzeczywistej współpracy, stawiane są po zakończeniu śledztwa”<sup>34</sup>. Istotne znaczenie miały działania, określone w języku policyjnym jako „akcja prewencyjna”. NKWD i polskie urzędy bezpieczeństwa przeprowadziły tysiące rozmów ostrzegawczo-kuszących. W doniesieniach z kraju do Londynu stwierdzano, że „zmusza się Polaków na poważnych stanowiskach (profesorów wyższych uczelni, lekarzy itp.) do podpisywania memoriału potępiającego w obelżywych słowach rząd polski w Londynie i Armię Krajową, a wyrażającego hołd i poparcie rządu lubelskiego”<sup>35</sup>. Sposób postępowania był dostosowany do znaczenia danej osoby oraz związanych z nią planów: inaczej traktowano Zygmunta Żuławskiego, profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, księżnę Lubomirską<sup>36</sup>, inaczej Marię i Adama Tarnowskich z Polskiego Czerwonego Krzyża, jeszcze inaczej Bolesława Piaseckiego i Witolda Bieńkowskiego. Ten ostatni, aresztowany 5 grudnia 1944 r. w Miedzeszynie, więziony w Lublinie i Włochach, przesłuchiwany między innymi przez Sierową, był przeznaczony do odegrania podobnej roli co Piasecki. Nie przyjął jej początkowo, trafiając do obozu w Rembertowie, skąd uciekł w nocy z 21 na 22 maja 1945 r. w czasie akcji uwalniania więźniów przez zgrupowanie AK „Kołbiel”. Ukrywał się przez pewien czas, został jednak ujęty i po rozmowie z Gomułką zgodził się współpracować z Piaseckim w tworzeniu *Dziś i Jutro*. Sam napisze później: „Nigdy nie byłem na tyle naiwny, aby sądzić, że w ustroju komunistycznym osiąga się coś za nic. Zdawało mi się natomiast, że stara zasada do ut des znalazła zastosowanie również w wypadku Piaseckiego i moim. My dostaliśmy koncesję i debit na działanie w zamian za osłabienie ostrości zjawisk rewolucyjnych i przeciwdziałanie tak zwanej emigracji wewnętrznej”<sup>37</sup>.

Piasecki i Bieńkowski to bez wątplenia przypadki skrajne – każdy na swój sposób. Ale przechodzenie na stronę nowego porządku, w tym czasie jawnie i brutalnie wspartego o radziecką przemoc, nie było zjawiskiem wyjątkowym. Już w lutym 1945 r. Delegat Rządu J.S. Jankowski stwierdzał, że „inteligencja, przede wszystkim wyższa, nie wytrzymała zgłasza się do współpracy i na posady. Bywają wypadki, że i pracownicy Delegatury robią to samo. Szósty rok nieporównanie ciężkich warunków życia i pracy oraz beznadziejna nasza sytuacja polityczna łamią ludzi nawet wartościowych, pragnących jakiegoś zakończenia”<sup>38</sup>. Na tę gotowość psychiczną nakładały się nieustające aresztowania działaczy politycznych, dowódców wojskowych, ziemian, pracowników sądownictwa, kolejnictwa; ludzi różnych zawodów, grup społecznych, o rozmaitych orientacjach politycznych, od socjalistów po nacjonalistów. Więzienia się przepelniły. Siedziby NKWD i UBP we Włochach pod Warszawą, w aresztach przy ul. Strzeleckiej, 11 Listopada, Cyryla i Metodego na Pradze, w zespole kamienic przy placu Łuwalidów w Krakowie, w Poznaniu na ul. Słonecznej itd. otoczyła atmosfera ponurej grozy. O panujących tam warunkach, poza ówczesnymi doniesieniami podziemia i wspomnieniami osób, które przeszły przez owe katownie, świadczą słowa Gomułki i niektórych dyskutantów na plenum KC PPR w maju 1945 r. Gomułka stwierdził wówczas: „Daje się u nas w więzieniach ludziom zwierzęce warunki”. Ochab zaś powiedział, że to, co dzieje się w więzieniach, kompromituje komunistów<sup>39</sup>.

Wielu spośród dotkniętych represjami – były to w skali kraju tysiące – wytrzymało fizycznie i psychicznie, część jednak wychodziła załamana z więzień, piwnic NKWD czy UB, z obozów, a nawet tylko z pokojów, w których uprzejmy funkcjonariusz częstował papierosami, herbatą i prowadził rozmowę utrzymaną w tonie łagodnej perswazji. Tej drugiej kategorii udało się wpoić przekonanie, że opór jest daremny, że „coś za coś”, że nie ma innego wyjścia, że rząd zawiódł, że sojusznicy nas opuścili, że trzeba ludząc despotę ratować, co się da, że Odra i Nysa, że reforma rolna i piękne hasła Manifestu Lipcowego. Powyciągano z narodowej tradycji i literatury te wątki, które głosiły realizm, potępiały romantyczne szaleństwa, polski insurekcyjizm. Wskazywano Powstanie Warszawskie jako kolejną, tragiczną lekcję.



Czyniono to tym skwapliwiej, z tym większym ferworem, im bardziej приходило zagłuszyć wartości zakorzenione w polskiej glebie kulturowej, tłumić wewnętrzny sprzeciw, oszukiwać samego siebie.

Kierownicze koła gasnącego Państwa Podziemnego były świadome, iż represje mają przede wszystkim złamać morale społeczeństwa, pozabawiając istniejące jeszcze struktury konspiracyjne powszechnego poparcia, jakim się cieszyły w czasie okupacji niemieckiej. We wspomnianej już charakterystyce represji w pierwszym półroczu 1945 r. stwierdzano, że terror „w okresie od 15 I do 30 VI 1945 r. kierował się nie tylko przeciw domniemanym ośrodkom dywersji «na tyłach frontu», ale posiadał nadto wyraźne cele polityczne, mianowicie wyniszczenie w Polsce wszystkich elementów niepodległościowych. W prasie i propagandzie nazywano to walką z reakcją i agentami hitlerowskimi, w praktyce oznaczało to walkę z całym polskim ruchem podziemnym z okresu okupacji hitlerowskiej. Terror – pisano – uderzył przede wszystkim w b. dowódców b. AK, urzędników Delegatury, polityków, sędziów, oficerów, ziemian, przemysłowców i nawet w przedwojennych działaczy politycznych i społecznych. Wykruszenie dowódców b. AK na niektórych terenach osiągnęło w tym czasie około 50% stanu z 15 I 1945 r.”<sup>40</sup>.

Terror radziecki i polsko-komunistyczny był, jak to już podkreślałam, zróżnicowany zależnie nie tylko od osób czy warstw społecznych, lecz także od regionów kraju. Wielka fala represji przeszła wczesną wiosną 1945 r. przez Pomorze i Śląsk; tysiącami zamykano ludzi pod pozorem pociągania do odpowiedzialności za przyjęcie niemieckiej listy narodowościowej. Zapelnily się Potulice i obóz na terenie ponemieckiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Terror miał również przyływy i odpływy, zależne – wówczas – nie tyle od siły realnego oporu społeczeństwa, co od biegu wydarzeń na scenie międzynarodowej.

W pierwszej połowie 1945 r. dostrzec można wyraźnie dwie odrębne, choć nakładające się na siebie i wzajemnie się przenikające fale represji. Jedna z nich wiązała się z postanowieniami jałtańskimi i z wynikającą z tych postanowień perspektywą tworzenia rządu jedności narodowej z udziałem demokratycznych śro-

dowisk w kraju i na uchodźstwie. Na początku marca w kręgu elity, szczególnie politycznej, nastąpiły tak liczne aresztowania, że Jankowski, zanim sam znalazł się w samolocie, uwożącym go wraz z piętnastoma towarzyszami do Moskwy, depeszował do Londynu o interwencję rządów sprzymierzonych. Prosił o „zwrócenie uwagi sprzymierzeńcom, że przy dalszym działaniu NKWD komisja trzech nie będzie miała do kogo się zwracać”<sup>41</sup>. Poczynania NKWD rzeczywiście do tego właśnie prowadziły. Sens ich sprowadzał się do usunięcia części polskiej elity politycznej ze sceny, by wśród pozostałych podsyć gotowość do uznania warunków dyktowanych przez ZSRR.

Fala prześladowań, uderzających warstwę przywódczą społeczeństwa, z natury rzeczy była selektywna. Tylko niektórzy zostali nią objęci bezpośrednio, a i to wielu zatrzymanych po rozmowie wypuszczano. Liczono, że aresztowanie kilkuset skłoni do uległości tysiące. Represje dawkowano ze zdumiewającą precyzją. Zmiany natężenia, bez względu na to, czy były zamierzone od początku, czy też następowały pod naciskiem sytuacji, sprzyjały rozbrojeniu społeczeństwa i podsycały postawy kapitulanicke. W takim to kontekście trzeba widzieć pewne złagodzenie terroru policyjnego i propagandowego na przełomie maja i czerwca. Wiąże się je z ostrą krytyką organów bezpieczeństwa dokonaną na plenum KC PPR 20 maja 1945 r. w referacie wygłoszonym przez Gomułkę oraz podczas dyskusji nad tym referatem. Gomułka posunął się tak daleko, że stwierdził, iż gdyby stan istniejący miał trwać nadal, partia stałaby się ekspozyturą NKWD. Nie odtworzymy dziś układu i jego mechanizmów, które sprawiły, że polscy komuniści zaczęli głośno dawać wyraz swym obawom, że PPR zostanie uznana za agenturę sowiecką, jak i niepokojowi, iż „zaczyna w państwie naszym nad naszymi głowami wyrastać drugie państwo. Organa bezpieczeństwa same robią pewną politykę, do której nikt się nie ma wtrącać”<sup>42</sup>. Nic nie wskazuje na to, że działali bez wiedzy i zgody Stalina. Najpewniej wraz z zakończeniem wojny, przy niejasnej sytuacji międzynarodowej, w przewidywaniu rychłego sfinalizowania rozmów na temat utworzenia TRJN, wobec wycofania radzieckich zastrzeżeń do uczestnictwa Mikołajczyka, Stalin i polscy komuniści uznali, że należy zwiększyć ciężar gatunkowy działań politycznych,

poszerzyć znacznie sferę polityki. To zaś wymagało zmiany metod postępowania, nowej taktyki, wysunięcia na pierwszy plan uwodzieleńskich zabiegów pod adresem społeczeństwa. Zwrot dokonał się w ciągu kilku dni i był dostrzegalny dla każdego. W propagandzie powiało nowym duchem. „Od afiszów z hasłem «precz ze zbirami z AK i NSZ» przeszli w całej prasie i oficjalnych wystąpieniach do stwierdzenia, że AK to bohaterowie, że kłamstwem jest, by byli „zrehabilitowani i aresztowani” – depeszował do Londynu Korboński, pełniący po uprowadzeniu Jankowskiego funkcję Delegata Rządu. Dalej stwierdzał: „Ma być utworzona komisja międzypartyjna z większymi pełnomocnictwami, która objęłoby więzienia i obozy i zwolni aresztowanych tylko za należenie do AK”<sup>43</sup>.

Decyzja o powołaniu komisji złożonej z przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości i MBP zapadła 25 maja, podczas konferencji obu ministrów. Komisja miała zbadać stan więzień i obozów „z prawem zwalniania zatrzymanych, przebywających tam bez żadnych zarzutów lub bez sankcji prokuratorskiej względnie sądowej”<sup>44</sup>. Składać się miała z czternastu ekip i „bezzwłocznie przystąpić do rozładowania obozów”. „Porządkowanie stosunków w obozach pracy i więzieniach” okazało się jednak nielatwym przedsięwzięciem, „stale ujawniały się nowe trudności i przeszkody”, nawet przy próbach zewidencjonowania osadzonych w obozach osób. Do początków lipca prace komisji objęły tylko Centralny Obóz Pracy w Warszawie, liczący około 3 tysięcy osób; w następnej kolejności zamierzano „przystąpić do porządkowania stosunków w obozie na terenie łódzkim, który liczy około 13 tysięcy osadzonych, a następnie na terenie Śląska, gdzie znajdują się trzy obozy pracy”<sup>45</sup>. Do października 1945 r. przesłuchano 13 483 więźniów, a zwolniono 4 141. Według wciąż niepełnych danych pozostawało w obozach 30 268 osób. Zwalniano przede wszystkim obywateli niemieckich (przed 1939 r.) narodowości polskiej, wpisanych na listę narodową niemiecką III i IV grupy na terenach włączonych do Rzeszy, starców, kaleki, matki z małymi dziećmi i kobiety w ciąży. W tym czasie – późną jesienią – było na terenie Polski kilkadziesiąt obozów, między innymi w Jaworznie (z trzema podobozami), w Oświęcimiu, Mikoszewicach, Wadowicach, Stałowej Woli, Brodnicy, Środzie Wlkp.,

Targowej Górcie, Lesznie-Gronowie, Krzesimowie-Popkowicach, Sikawie, Mysłowicach, w kopalni „Niwka”, Klimontowie, w kopalni „Piaski”, w kopalni „Renard”, w kopalni „Paryż”, w Wojowicach, w Milowicach, w kopalni „Siemianowice”, w kopalni „Polska” w Świętochłowicach, w kopalni „Kteofas”, „Eminencja”, „Śląsk” oraz Centralny Obóz Pracy w Warszawie<sup>46</sup>.

Terror sprawowany bezpośrednio przez NKWD i inne radzieckie instytucje kończył się. Początkowe stadium władzy komunistów, naznaczone bezwzględny prymatem represji, ustępowało miejsca nowej fazie współwystępowania terroru i polityki. Po wielomiesięcznej potężnej porcji strachu społeczeństwo miało otrzymać kilkanaście miesięcy nadziei.

Zanim jednak zaczęła się nowa faza, związana z powstaniem koalicji z udziałem Mikołajczyka, przynajmniej częściowo autentycznej, końcowym niejako akordem pierwszego roku władzy PKWN i Rządu Tymczasowego była szeroko zakrojona akcja pacyfikacyjna, która objęła przede wszystkim wschodnią część kraju. Gomułka notabene na plenum majowym zażądał równoczesnej walki z „sekciarstwem” i z „reakcją”. „Ta linia – mówił – wprowadzona w życie ułatwi nam walkę z reakcją. Jeżeli reakcję odizolujemy, będzie nam ją łatwiej zniszczyć fizycznie. Przeciw grasującym bandom organizuje się szeroka akcja likwidacyjna ze strony bezpieczeństwa. Ta akcja musi być powiązana z wielką akcją uświadamiającą”<sup>47</sup>.

Pacyfikacje na wielką skalę trwały od kwietnia. Korboński 26 kwietnia depešował do Londynu: „Rozpoczęła się pacyfikacja powiatów: Garwolin, Łuków, Lubartów i Zamość. Wojska sowieckie otaczają wsie i wszystkich mężczyzn prócz nieletnich i starców wywożą na wschód. Powody aresztowania obliczane na kilkanaście tysięcy wywołały masową wędrówkę do lasu i tworzenie się dzikich uzbrojonych oddziałów, które jednakże mają postawę bierną i tylko atakowane bronią się. Lasy Czernieckie bombardowało lotnictwo sowieckie”. Następnego dnia stwierdzał: „Większa akcja pacyfikacyjna wojsk sowieckich koło Turobina”. 3 maja płk Liniarski, komendant okręgu AK, a potem Delegatury Sił Zbrojnych Białostok, informował rząd w Londynie: „W rejonie Białegostoku NKWD stale rozstrzeluje pojedynczo żołnierzy byleż AK, wywożąc do lasu. Dla zatarcia śladów rozstrzelanych

grzebią w masowych mogiłach ofiar pomordowanych w 1944 przez Gestapo. W kwietniu w powiatowych miastach zakwaterowano oddziały NKWD, które kontrolują okolice. Schwytych młodych mężczyzn mordują na miejscu. Zamordowano już kilkanaście osób (...)" . Onże w połowie maja podawał dalsze wiadomości: „Do miast i miasteczek na terenie Białostockiego przybyły bataliony wojsk NKWD, które zakwaterowano w szkołach i większych budynkach murowanych. Przygotowano dużą ilość piwnic jako więzienia. Z dniem 15 V br. NKWD wraz z milicją rządu lubelskiego rozpoczęło systematyczne i planowe oblavy za młodzią. Akcja zakrojona na dużą skalę, są masowe aresztowania. W czasie oblavy, zwykle z rana, wieś są otaczane wojskiem NKWD z bronią maszynową; kto chroni się ucieczką, jest na miejscu mordowany. W dniach 10, 11, 12, 13 maja liczne eskadry bombowców i myśliwców sowieckich bombardowały i ostrzelały ogniem ckm wszystkie lasy w obszarze białostockiego. Niektóre kompleksy leśne ostrzelano również ogniem artylerii i broni pancernej. Bombardowanie i ostrzeliwanie obiektów leśnych trwa”.

Trwały też działania pacyfikacyjne na Lubelszczyźnie i na Podlasiu. 7-go maja Korboński donosił o pacyfikacji przy użyciu czołgów i samolotów w powiatach: włodawskim, chełmskim, krasnostawskim, bitgorajskim. W Siedleckim 2-go maja dokonano pacyfikacji wsi Wodynie. W gminie tej, przy rozbieraniu baraków, w których kwaterowało wojsko radzieckie i NKWD, miano odkopać zwłoki 75 ludzi. Rozpoznano wśród nich żołnierzy AK z okolicy. „Przypuszczamy – stwierdzał komendant obwodu Mińsk Maz. – że leży tam jeszcze więcej pomordowanych”. 17 maja miała miejsce pacyfikacja wsi Czołki w pow. zamojskim. „Po otoczeniu przez oddziały NKWD została zaatakowana pociskami zapalającymi ze wszystkich stron. Ludność, chcąc chronić swoje życie przed pożarem, zaczęła wioskę opuszczać i uciekać. Wówczas posypały się strzały, zaczęto łapać ludzi, których po związaniu ładowano do samochodu. Większość ludzi uciekła do lasu, jednak kobiety, dzieci i starców wylapano. Wieś doszczętnie spalono”. Podobny los spotkał na tamtym terenie niejedną wieś. Kierownictwo konspiracji uważało, że pacyfikacje i trwające nieustannie wywózki – Polaków mieszano nagminnie z Niemcami i volksdeutschami – to dopiero zapowiedź głównego uderzenia,

które ma zdławić polski opór. „Pacyfikacja trwa – pisał Korboński do Londynu – ale główne uderzenie dopiero nastąpi. Mają w nich wziąć udział wojska sowieckie pogranicznego NKWD i w drugim rzucie dwie dywizje polskie, specjalnie politycznie przeszkolone i dowodzone na wyższych i średnich szczeblach przez oficerów sowieckich”<sup>48</sup>.

Informacje te były zgodne z prawdą. Trwały przygotowania do wzmoczonych działań wojskowych przeciw zbrojnemu podziemiu we wschodniej części kraju. Naczelnym dowódcą WP, gen. M. Żymierski, 24 V 1945 r. wydał rozkaz „w sprawie likwidacji zbrojnego podziemia na wschodnich terenach Rzeczypospolitej”, wyznaczając do tej operacji cztery dywizje piechoty: 1, 3, 8 i 9. 1 DP wraz 1 Warszawską Brygadą Pancerną miała działać na północnym Mazowszu, Podlasiu i na Suwalszczyźnie, w rejonie, gdzie według oceny władzy zagrożenie ze strony podziemia było największe. Dywizje te były bezpośrednio podporządkowane Żymierskiemu. Ich zadanie określono następująco: „przeczyszczenie terenu”, „likwidacja band” i grup zbrojnych, zapobieganie tworzeniu się nowych oddziałów. Jak pisze historyk wojskowości: „w toku akcji stosowano różnego rodzaju formy działania. Najczęściej przeszukiwano wsie oraz kompleksy leśne siłami piechoty oraz broni pancernej”. 1 DP od przybycia 2 VI 1945 r. w rejon Łukowa do 1 sierpnia przeprowadziła 70 operacji<sup>49</sup>.

Już z tych stwierdzeń wylania się obraz szeroko zakrojonej akcji pacyfikacyjnej, mającej zniszczyć podziemne ugrupowania i sterroryzować ich zaplecze społeczne. 6-go czerwca Prezydium Rady Ministrów podjęło formalną uchwałę o pacyfikacji województw lubelskiego, rzeszowskiego, kieleckiego i białostockiego. Działaniom wojska, także radzieckich oddziałów NKWD, towarzyszyć miały akcje propagandowe, uświadamiające konieczność „likwidacji bandyckiej działalności reakcji”. Do wielu miejscowości przybyły znaczne siły NKWD dokonując aresztowań, pacyfikując wsie, przeprowadzając oblawy na męczyzn. Mieczysław Jaworski w swej historii Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego pisze: „Z wydzielonymi oddziałami radzieckich Wojsk Wewnętrznych ściśle współpracowały UBP oraz pododdziały polskich wojsk wewnętrznych, szczególnie w woj. białostockim i na pograniczu woj. lubelskiego i rzeszowskiego. Na

szeroką skalę współdziałanie to zostało podjęte w lutym 1945 roku.<sup>50</sup>

Raz jeszcze wypadnie powrócić do zależności pomiędzy oporem i terrorem. Pacyfikacje uzasadniano wzrostem sił zbrojnego podziemia; część historyków, między innymi i Jaworski, sąd ten podtrzymuje. Prawdą jest, że represje na nowo zapełniły lasy. Stwierdzali to w depeszach do Londynu płk Rzepecki, Stefan Korboński, płk Władysław Liniarski. Płk Rzepecki jako Delegat Sił Zbrojnych depeszował 12 czerwca: „Powszechna woła oporu przeciwko sowiecko-lubelskiej rzeczywistości przeradza się wśród byłej AK i związanych z nią kół w opór przeciw rozwiązaniu jej szeregów. Ma to charakter żywiołowo-społeczny i przeradza się w szeroką samoobronę, którą bierzemy pod wpływy i kierunek”<sup>51</sup>. We wcześniejszej depeszy szefa departamentu informacji Delegatury Rządu do premiera Arciszewskiego stwierdzano: „Zbiegowie od prześladowań sowieckich ukrywają się w lasach. Potworzyły się również oddziały dezerterskie z wojsk Berlinga i sowieckich w Białostockiem, grupy własowców, na Wołyniu Ukraińców. W Lubelszczyźnie szerzą się zabójstwa peperowców i agentów wydziału bezpieczeństwa. Nastroje w społeczeństwie antysowieckie i wybitnie negatywne w stosunku do rządu tymczasowego i jego organów”<sup>52</sup>. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, iż czynny opór, zwłaszcza zbrojny, został wywołany przez aparat represji, był pochodną terroru. Widzę następujący układ zależności: rzeczywista oporność polskiego społeczeństwa wobec instalowanego systemu mimo jego przebrania w narodowe i demokratyczne szaty, nawiązywanie do Konstytucji Marcowej, odwoływanie się do tradycji – terror, który tę oporność miał złamać – odruchy samoobronne przy (mowa o wiosnie 1945 r.) powszechnej rezygnacji, skoncentrowaniu się na wymogach życia powszedniego, odbudowie, poszukiwaniu najlepszych rozwiązań w ramach narzuconego Polsce porządku, w upartym dążeniu, by żyć.

Opór i określone przez realia polskiej sytuacji przystosowanie, przybierające różną postać, od walki Mikołajczyka o wolne wybory aż po głoszoną przez PPS-owców tezę, że drastyczne ograniczenie suwerenności państwowej oraz obywatelskich praw i swobód jest przejściowe; od podjęcia obowiązków zawodowych do wielkich karier i awansów osiągniętych kosztem kłopotów z

sumieniem; od wewnętrznej akceptacji wizji socjalistycznej do mimetycznej adaptacji. Rozumowanie w kategoriach albo-albo, albo opór i walka, albo kapitulacja, czy wręcz uznanie nowej władzy, uniemożliwia zrozumienie ówczesnych postaw, charakteryzujących się przenikaniem i interakcją czynników, z których jedne pchały w kierunku pogodzenia się ze zgotowanym Polsce losem, inne zaś pobudzały do oporu, czasem jawnego, ale coraz częściej skrytego, a przecież niepokonanego. Opór i przystosowanie nie stanowiły dwóch różnych płaszczyzn, lecz skomplikowaną konstelację, w której, zależnie od warunków, raz brała górę uroda, raz bunt.

*Grudzień 1988*

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> Studium Polski Podziemnej w Londynie (dalej SPP) 3.1.2.2.2 Obserwacje z Polski I II – 12 III 1945.

<sup>2</sup> SPP, MSW t. 77, poz. 228. Terror sowiecki w Polsce i samoobrona społeczeństwa w pierwszej połowie 1945 r.

<sup>3</sup> Centralne Archiwum KC PZPR (dalej CA), PPR, 295 V-1, s. 1-2 Protokół posiedzenia Biura Politycznego KC PPR, 6 IX 1944.

<sup>4</sup> Ibidem, s. 10-18. Protokół posiedzenia Biura Politycznego KC PPR, 9 X 1944.

<sup>5</sup> Instytut im. gen. W. Sikorskiego w Londynie, Prezydium Rady Ministrów (dalej PRM), I/155, s. 56-127, Sprawozdanie Wydz. Społecznego MSW, 17 III 1944.

<sup>6</sup> SPP, MSW t. 64, Dokumenty Chwili, marzec 1945, nr 1.

<sup>7</sup> Por. przypis 2.

<sup>8</sup> A. Wat. *Świat na haku i pod kluczem. Eseje*, Londyn 1985, s. 23.

<sup>9</sup> *Armia Krajowa w dokumentach*, t. III, Londyn 1976, s. 585, depeza z 25 VII 1944.

<sup>10</sup> Relacja w posiadaniu prywatnym.

<sup>11</sup> *Armia Krajowa w dokumentach*, t. V, Londyn 1981, s. 185 i nast. Depesza gen. Tatara do gen. Okulickiego, 10 XII 1944.

<sup>12</sup> CA 295/V-1, s. 29-32. Protokół posiedzenia Biura Politycznego KC PPR, 29 X 1944.

<sup>13</sup> Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej AAN), PKWN, Protokoły posiedzeń, s. 69-78, 4 X 1944.

<sup>14</sup> K. Kersten, *Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948*, Paryż 1986, s. 80. Por. także Instytut im. gen. W. Sikorskiego, PRM I/161, s. 10-18, 34-46, opracowywane przez OVI Sztabu zestawienia: Stosunek Sowietów do AK, 16 I 1945, 8 II 1945 (za lipiec-sierpień 1944).

<sup>15</sup> Cyt. za J. Blum, *Sprawa 31 pułku piechoty. Tło, przebieg i charakter masowej*



dezercji żołnierzy 31 p.p. w 1944 r., *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1965, R.X., nr 3 (35), s. 45.

<sup>18</sup> CA, 295/V-1, s. 7. Nie udało się stwierdzić, czy tekst ten był zatwierdzony i stosowany.

<sup>17</sup> Tamże, s. 10-18. Protokół posiedzenia Biura Politycznego KC PPR, 9 X 1944.

<sup>18</sup> *Armia Krajowa w dokumentach*, t. V, s. 185-187.

<sup>19</sup> CA, 233/IV, s. 14 i nast. Odpisy telefonogramów z Lublina, październik 1944.

<sup>20</sup> CA 295/V-1, s. 23-27, Protokół posiedzenia Biura Politycznego KC PPR, 22 X 1944.

<sup>21</sup> Tamże, s. 29-32. Protokół posiedzenia Biura Politycznego KC PPR, 29 X 1944. Projekt uchwały s. 33-34.

<sup>22</sup> Tamże, s. 35-37. Protokół posiedzenia Biura Politycznego KC PPR 31 X 1944.

<sup>23</sup> I. Blum, *op. cit.*, s. 45.

<sup>24</sup> CA 295/V-1, s. 63-71, Protokół posiedzenia Biura Politycznego KC PPR, 17 XII 1944.

<sup>25</sup> *Armia Krajowa w dokumentach*, t. V, s. 87. Por. też Instytut im. gen. W. Sikorskiego, PRM, I/161A, s. 13-18. Zestaw nr 3 materiałów z Kraju, 31 I 1945, sporządzony przez oddział VI Sztabu NW. Tamże, s. 102 i nast.

<sup>26</sup> Por. W. Briański, *Poľacy w łagrach radzieckich w latach 1944-1947*, Białystok b.r.w., *Zeszyty Historyczne* nr 3.

<sup>27</sup> CA 295/VII-189, s. 90 i nast. Wyciągi z raportów komórki wywiadu WiN Stocznia, sierpień 1946, znalezione przy zabitym dowódcy.

<sup>28</sup> CA, Sprawy Bolesława Bieruta 254/IV-22, k. 39-42, Materiały do repatriacji ludności polskiej z ZSRR, b.d. (1947?).

<sup>29</sup> Por. Eugeniusz Misillo, *Polska polityka narodowościowa wobec Ukraińców 1944-1947*, referat na seminarium w Sobótce, 5-9 IX 1988 r.

<sup>30</sup> Instytut im. gen. W. Sikorskiego, PRM 154/II, Notatka: „Pozycja PKWN” 3 XII 1944.

<sup>31</sup> SPP, MSW t. 64, Bilans pięciomiesięcznej gospodarki sowiecko-lubelskiej na ziemiach Polski.

<sup>32</sup> *Ibidem*.

<sup>33</sup> SPP, MSW t. 77, Terror sowiecki w Polsce i samoobrona społeczeństwa w pierwszym półroczu 1945.

<sup>34</sup> Dziesięć lat walki Ludowej Służby Bezpieczeństwa, powielony skrypt hagiograficzny.

<sup>35</sup> Instytut im. gen. W. Sikorskiego, PRM, 161 A, s. 106-109, Sytuacja kraju pod Sowietami (przechrój nr 2), 6 III 1945, sporządzona przez VI Oddział Sztabu NW na podstawie depeš z kraju.

<sup>36</sup> SPP, 3.1.2.2.2., Zeznanie Lubomirskiej Wandy złożone w Londynie 8 V 1945, a zawierające opis kolacji, jaką wydała na polecenie generała radzieckiego dla niego i jego sztabu. Z polskiej strony w kolacji uczestniczyli książę Stefan Lubomirski z żoną i siostrą, hr. Konstanty Zamojski z żoną, hrabina Maria Płater, Dominik Horodyński i Henryk Sobański. W czasie wieczoru „jeden z oficerów, zauważywszy leżącą na stole talicę kart, podjął się wróżb. Typowym dla wróżb było przepowiedzenie wszystkim Polakom dalekiej podróży w licznym towarzystwie. Poľacy interpretowali tę wróżbę jako zapowiedź wysyłki na Sybir”. Książna podkreślała, że stosunek oficerów radzieckich do pań był „zupełnie nienaganny, znajomość form towarzyskich – poprawna”.

<sup>37</sup> Papiery osobiste W. Bieńkowskiego w posiadaniu syna.

- <sup>30</sup> *Armia Krajowa w dokumentach*, t. V, s. 282; także cytaw w przyp. 35 ocena sytuacji kraju, 6 III 1945.
- <sup>39</sup> Referat Władysława Gomułki wygłoszony na plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego PPR w Warszawie 20 maja 1945 r. w: *Archiwum Ruchu Robotniczego*, t. VII, Warszawa 1982, s. 13; K. Kersten *op. cit.*, s. 111. Por. także Cz. Leopold, K. Lechicki, *Więźniowie polityczni w Polsce 1945-1956*, Gdańsk 1981 i Paryż 1983.
- <sup>40</sup> Por. przypis 2.
- <sup>41</sup> SPP, MSW t. 52, depeza J.S. Jankowskiego do ministra spraw wewnętrznych Berezowskiego, 10 III 1945.
- <sup>42</sup> W. Gomułka, Referat...
- <sup>43</sup> *Armia Krajowa w dokumentach*, t. V, s. 428 i nast.
- <sup>44</sup> AAN, PRM 759, k. 8-9; Notatka urzędowa do Obywatela Premiera Tymczasowego Rządu RP opracowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości, 28 V 1945.
- <sup>45</sup> Tamże, k. 2-4. Informacja kierownika Nadzoru Prokuratorskiego przy Ministerstwie Sprawiedliwości, 11 VII 1945.
- <sup>46</sup> AAN, URM 2a/3, k. 33 i nast., Informacja kierownika Nadzoru Prokuratorskiego przesłana przez Ministra Sprawiedliwości wicepremierowi Wł. Gomułce, 16 XI 1945.
- <sup>47</sup> Gomułka, Referat...
- <sup>48</sup> *Armia Krajowa w dokumentach*, t. V, s. 382, 383, 394, 407, 416, 419, 420. Por. też SPP, MSW t. 53, opracowanie pt. Część zanotowanych aktów terroru na terenie Polski, 9 VIII 1945.
- <sup>49</sup> L. Grot, Udział Ludowego Wojska Polskiego w walce z reakcyjnym podziemiem 1944-1948 (w: *O utrwalenie władzy ludowej w Polsce 1944-1948*, Warszawa 1982, s. 348.
- <sup>50</sup> M. Jaworski, *Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego 1945-1965*, Warszawa 1984, s. 55.
- <sup>51</sup> Stenogram procesu Jana Rzepeckiego i towarzyszy, styczeń 1947.
- <sup>52</sup> *Armia Krajowa w dokumentach*, t. V, s. 375 depeza nadana z Warszawy 17 IV 1945.

Nakładem **AKTIS S.A.R.L.**:

**RYSZARD LEGUTKO**

**BEZ GNIEWU I UPRZEDZENIA**

Szkice o książkach, ludziach i ideach

Zbiór esejów i recenzji, z których większość publikowana była w niezależnym krakowskim kwartalniku ARKA (podpisane pseudonimem Marek Leski). W tomie między innymi: „Myśli o niemyśleniu”; „O totalitaryzmie”; „Wierzbicki o Wierzbickim”; „Amerykański Tyrmand”; „O nacjonalizmie”; „Niebezpieczne związki liberalów”; „Anty-Kundera”.

**AKTIS S.A.R.L.**  
42, av. de Wagram  
75008 PARIS

Cena 70 FF,  
\$US 10  
str. 180

**Ewa Bieńkowska**

## **WYBÓR I TOŻSAMOŚĆ**

Hannah Arendt pisze o podstawowej różnicy w myśli greckiej między tym co dane, co jest takie jakie jest, a tym co zdobyte, uzyskane w życiu. Grecy stworzyli dla tych rzeczy dwa pojęcia, których przeciwieństwo było silnie odczuwane. Pierwsze odnosi się do natury, do tego co najbardziej podstawowe i nietykalne, drugie do rzeczy społecznych, do zorganizowanego życia ludzi, które nawet gdy nie jest odczuwane jako coś chwiejnego i podległego zmianie, w każdym razie ma charakter mniej głęboki, nie tak nieodwołalny. Dla Greków temu co dane, co jest takie jakie jest, należy się od nas wdzięczność, która jest rodzajem nabożności – i Hannah Arendt podziela ten sposób widzenia. Dodaje od razu, że dla niej to co dane, co jest takie jakie jest, to jej żydostwo, fakt oczywisty i podstawowy, jak i ten, że urodziła się nie mężczyzną, a kobietą. To zdanie, które pod jej piórem wydaje się trafną samoanalizą, ma nie tylko sens afirmujący. Jest zdaniem polemicznym skierowanym do Gershoma Scholema, wielkiego badacza tradycji żydowskiej. Otwiera ono ogromny problem – nie jeden, ale cały ciąg problemów, które dla Hanny Arendt należały do uniwersalnej przestrzeni zagadnień teoretycznych, podczas gdy dla jej korespondenta i polemisty były najważniejszą, właściwie jedyną sprawą długiego i niezwykle aktywnego życia.

Osoba Scholema należy do wielu naraz obszarów: do historii współczesnego religioznawstwa i odrodzenia studiów judaistycznych, do historii syjonizmu i instytucji państwa Izrael, wreszcie do przełomu w naukach humanistycznych, którego kuźnią były szwajcarskie spotkania znane pod nazwą Eranos. W każdej z tych dziedzin położył wielkie zasługi i z pewnością można by napisać książki o każdym z obszarów jego działalności z osobna. W tej chwili nie one mnie interesują – albo raczej interesują w szczególnym sensie: o ile prześwieca poprzez nie i wyraża się w nich problem znacznie szerszy i bardziej konkretny, ten, którego dotyczy spór z Hanną Arendt. Problem własnej tożsamości odczuwanej jako rzecz dana bądź jako rzecz uzyskana – zarazem określanej jako przynależność do czegoś ponadjednostkowego, zbiorowego. Co z kolei otwiera pytania: co to znaczy przynależność, jaki rodzaj istnienia czy zachowania jest rzeczywistą przynależnością; jeśli przynależymy, to do czego mianowicie, do pewnej wspólnoty z krwi i kości czy raczej do rzeczy duchowych, które w niej odnajdujemy, w jej historii, księgach, symbolach? Czy tożsamość, jako przynależność, można zadecydować, nicomal z dnia na dzień, czy można ją w sobie wybudować świadomym wysiłkiem, niejako z premedytacją – czy też jest ona domeną danego i zastanego, tego co jest, jakie jest i czemu (wedle Greków) należy się od nas nabożność? I jeśli jednostka tak określa własną tożsamość, czy gubi się w niej bez reszty, czy też pozostaje w niej coś ponadto, coś co wymyka się przynależności – i jaki sens nadać związkowi między tym co w nas przynależne i nie-przynależne? Autobiografia Gershoma Scholema\* jest pasjonującym i żywym, to znaczy wcielonym traktatem na ten właśnie temat.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Młodziutki berliński licealista, urodzony na dwa lata przed końcem stulecia w rodzinie w pełni zasymilowanej, gdzie nikt nie wypiera się pochodzenia, ale niewiele ono waży wobec chęci, by znaleźć godne miejsce w społeczeństwie niemieckim, dać dzieciom prawdziwie niemieckie wykształcenie i przygotować je do uczestnictwa w pracach i zaszczycach, jakie z tego płyną. Nie chodzi się do synagogi, ale w piątek wieczorem zbiera się cała rodzina na uroczystej kolacji. Nie święci

\* Gershom Scholem, *De Berlin à Jerusalem*, Albin Michel, 1984.

się Jom Kippur, ale pod koniec grudnia ustawia się w salonie choinkę – niemiecki Tannenbaum – jako znak ludowego święta, w którym chce się jakoś zaznaczyć swoją partycypację. Pan domu jest za pełnym i lojalnym włączeniem się w sprawy państwowo-społeczne (będzie o tym grzmiał wobec krnąbrnych synów podczas pierwszej wojny), ale nie lubi małżeństw mieszanych. Ze względów nie pryncypialnych a psychologicznych – niezbyt dobrze się czuje w towarzystwie niejednorodnym, nie mającym wspólnych zwyczajowych odniesień. Nasz licealista zna wyłącznie język niemiecki i prowadzi takie samo życie jak wszyscy jego koledzy, już zaczyna się pasjonować literaturą, a zwłaszcza filozofią. Przełom następuje gdy ma 14 lat – jest nagły i całkowity. Iskra przyszła z zetknięcia z młodzieżowymi organizacjami syjonistycznymi, których cele były raczej rozrywkowe (spory ideologiczne rozpoczną się po wybuchu wojny). Młody Gerhardt – to jego imię – spotyka dorosłych przywódców ruchu, rzuca się na książki i broszury. Decyzja jest prawie natychmiastowa: droga, którą idzie jego ojciec – i tysiące innych – jest całkowicie błędna.

Po dziesięcioleciach Scholem poświęcił temu tematowi artykuły i prelekcje. Znajdujemy w nich odpowiedź na pytanie, co to znaczy błędna droga i z jakich przyczyn jest ona błędna i nie może być inna. Psychologicznie biorąc, można to nazwać racjonalizacją gestu o wiele bardziej podstawowego, gestu ze sfery osobistej konwersji, gdzie idzie o wybór nie tylko sposobu istnienia, ale wręcz o wybór siebie – jakim jestem, czy też jakim mam być, abym naprawdę czuł się sobą. Jednak ta racjonalizacja ma swoją wagę i waży ciężko: jest opisem procesu asymilacji Żydów niemieckich od połowy XVIII wieku i analizą jego logicznej i historycznej niemożliwości (podobne analizy wyszły też spod pióra Hanny Arendt). Niemożliwości logicznej, ponieważ asymilacja chce sprzeczności: żeby inni uznali mnie – ale nie takim, jakim jestem, lecz pod warunkiem, że wyrzeknę się tego, czym jestem. Historycznej, ponieważ gwałtowne wejście Żydów (po roku 1820) do wolnych zawodów, sztuki, dziennikarstwa i nauki wytworzyło problem obecności żydowskiej. Scholem twierdzi, że asymilujący się z entuzjazmem intelektualści byli jedynymi w przestrzeni społecznej, którzy przestali (czy też pragnęli przestać) dostrzegać własne pochodzenie – inni nie byli skłonni im tego zapomnieć. Ze

strony żydowskiej asymilacja jest więc dla niego monstrualnym wysiłkiem samozaprzeczenia, ze strony niemieckiej jest klamstwem. Bowiem najpierw społeczeństwo niemieckie żąda tego wyrzeczenia, za cenę włączenia do społeczności\*. Natomiast później, gdy operacja już się dokona, będzie śledziło nie dające się jakoby zatrzeć odmienności, żydowskie „pozostałości”. Scholem mówi o miłości Żydów do języka i kultury niemieckiej, o pragnieniu jednostek, by zostać przyjętym do tego wspaniałego świata i z jego instrumentów uczynić własne środki ekspresji. Ta miłość została odrzucona. Wedle Scholema wieloletnie współżycie obu narodów musiało zakończyć się katastrofą.

To pisal po drugiej wojnie światowej i jej doświadczeniach – ale działania w tym kierunku rozpoczął już około roku 1912. Jego decyzja to zerwanie ze złudzeniem: nie będzie dążył do tego, by zostać niemieckim inteligentem. Wyobraźmy sobie berlińskiego licealistę, którego jedynym i „naturalnym” językiem, w domu, w szkole, na ulicy, jest język niemiecki; który żył w świecie wspólnych młodzieńczych lektur, Goethego i Schillera, żył ich pojęciami i problematyką, i który naraz zaczyna uczyć się języka obcego – obcego nie w tym sensie, co zacząć się uczyć np. angielskiego. Obcego o tysiąclecia, o całe obszary cywilizacyjne, przychodzącego z kultury, która w zwykłym znaczeniu nie ma nic wspólnego z rzeczywistością europejską początków XX wieku, jej myśleniem, kategoriami, celami. Uczy się po kilkanaście, kilkadziesiąt godzin tygodniowo, stopniowo może już czytać święte księgi i komentarze, postanawia poświęcić całe życie tym studiom. A po wybuchu pierwszej wojny, obserwując eksplozję nacjonalizmu niemieckiego (również w środowiskach żydowskich), postanawia osiedlić się w Palestynie zaraz po zdobyciu uniwersyteckich dyplomów.

Nie jest to przypadek wczesnego powołania naukowego. Nie idzie o to, że Gerhardt Scholem odkrywa pasję, która będzie mu towarzyszyła przez całe życie i pochłonie największą część jego

\* Przypomina to słynne słowa wygłoszone na rewolucyjnym Zgromadzeniu Narodowym w r. 1789: „Żyd jako jednostka pomiędzy jednostkami – tak! Żydzi jako swoista zbiorowość – nie!” Stanie się to sloganem również wśród niemieckiej inteligencji liberalnej, walczącej o prawa dla Żydów.

energii. Rzecz rozgrywa się gdzie indziej: młody człowiek określa swoją tożsamość, to czym rzeczywiście, a nie z pozoru, jest. Określa ją zarazem negatywnie i pozytywnie (nigdy nie będziemy wiedzieli, jaki impuls jest w nas pierwszy). Odmawia przynależności, do której wszystko, zdawało by się, go popycha, która leży w społecznym porządku rzeczy – wybiera inną, trudną i nieoczywistą, której trzeba się dopiero nauczyć, pokonując bariery obcości. Bliższe staje się obce, a nieznane, niezrozumiałe, staje się własne. Zauważmy, że w ten sposób dokonuje się pierwszy wyłom w sztywnym podziale na rzeczy dane i uzyskane. Paradoksalnie to, co zastane, staje się dopiero przedmiotem wyborów, który mógłby być również inny. Daną mi tożsamość zdobywam własną decyzją i własnym wysiłkiem. Zostaje osłabiony element nieodwracalności, absolutnej determinacji, który stanowił o różnicy obu sfer. Pojawia się natomiast coś nowego, co w staroświeckim języku nazywane było wolną wolą – porusza się ona w pewnym polu możliwości i przechyla szalę na jedną stronę. Nie to jest ważne, że wolna wola nigdy nie jest czysta i abstrakcyjna, lecz zabarwiona emocjami i obciążona poczuciem ograniczeń. Ważne, że wybór został dokonany i miesza karty rozdane przez los.

Historię Scholema można opowiedzieć z kilku punktów widzenia. Co najmniej dwa z nich będą przeczyły istnieniu wolnej woli, z przeciwstawnych stanowisk. Dla antysemity ta historia dowodzi tylko, że chroniczna obcość wobec cywilizacji europejskiej obnaża się wreszcie pod pozorami uczestnictwa. Dla tradycyjnego anty-asymilacjonisty idzie o powrót na łono jedynej wspólnoty, do której należy się z natury i rzeczy, od której próżno by się uchylać, bo i tak cię wszędzie dogoni – i to podwójnie, poprzez swoich i poprzez obcych. W sumie chodzi o tę samą wizję ludzkiej tożsamości, zafascynowaną tym, co dane i czemu tak czy inaczej trzeba się podporządkować. Teksty autobiograficzne i analizy krytyczne Scholema sugerują inny obraz. Nie tylko wyboru – długiego i świadomego budowania siebie. W ramach decyzji „bycia Żydem” autor będzie musiał podjąć postanowienia bardziej szczegółowe: np. opowiedzieć się za wiarą, ale i za laickim charakterem państwa żydowskiego, zdecydować, że nie będzie prowadził ortodoksyjnego trybu życia. Jest niezmiernie ciekawe, jak dalece jego pojmowanie nowej tożsamości, pełne szacunku dla tradycji i

autorytetów, nacechowane jest najbardziej osobistymi rysami i idzie za własnymi potrzebami. W koncepcji tożsamości, jaką Scholem dla siebie buduje, rdzeniem wydaje się być ciekawość intelektualna, namiętność wiedzy. Być Żydem to dla niego przede wszystkim pragnąć dowiedzieć się, co kryją w sobie stare księgi – jak kształtowała się kultura i duchowość żydowska, jakie problemy ją ukonstytuowały, jakie narzędzia myślowe miała do dyspozycji, jakie sprzeczności rozrywały ją i zapładniały. Będzie pracował nad tym pół stulecia, zanim zdecyduje się na zaatakowanie najważniejszych zagadnień – na syntezę. Stanie się człowiekiem ksiąg, pism świętych, który jakby dopiero po drodze, w rozciągniętym na całe życie akcie interpretacji, dowiadyuje się czym jest to, co wybrał, w jaką wszedł przestrzeń dokonując swojego wyboru.

Na pierwszy rzut oka potwierdza w ten sposób prastary obraz żydowskiego mędrca, który roztopił swoje istnienie w pobożnych czytaniach, tam gdzie spoczywa raz na zawsze dany i niewyczerpany sens świata. Można powiedzieć, że i dla Scholema życie mieśza się z lekturą i prawda jest owocem egzegezy. Ale rabinu przemienia się w nowoczesnego uczonego, który poza tajemnymi znakami szuka uniwersalnej dialektyki problemów, węzłów sprzeczności i pracy nad ich przewyciężeniem; zastanawia się również nad związkami między konstrukcjami symbolicznymi a historyczną sytuacją wspólnoty, która je wznosi. Czyli otwiera stare symbole schodząc „poniżej” nich: z jednej strony ku pracy umysłu nad wielkimi ideami, z drugiej ku konkretnej historii, z którą idee muszą się uporać. Tak będzie w badaniach nad Kabałą i mistyką żydowską, nad mesjanizmem i sabataizmem. Tradycyjne pojęcie interpretacji, związane z samą istotą kultury żydowskiej, u Scholema staje się czymś w rodzaju auto-interpretacji: jakby zostało przywołane po to, by zrozumieć samego siebie – własną sytuację w czasie historycznym, sens własnego wyboru. W tym znaczeniu praca Scholema należy do eonu (słowo wydaje się tu na swoim miejscu), gdzie najbardziej czeigodne symbole wchodzą w fazę krytyczną i indywidualistyczną – odpowiadającą na osobiste pytania jednostek.

Druga Gershoma Scholema, wytknięta wcześniej, będzie do końca konsekwentna i zgodna z pierwotną inspiracją. Uczony



zachowa żywe kontakty z Europą, będzie spotykał regularnie dawnych przyjaciół i dyskutantów, w miarę swoich publikacji będzie coraz bardziej obecny w świecie, który porzucił. Te kontakty będą obfitowały w dramatyczne zderzenia, jak choćby spór z Rosenzweigiem, który na jego argumenty odpowiada, że gdyby musiał wybierać między żydowskością a niemieckością – wolałby umrzeć. Albo polemika z Buberem na temat granic swobody w kształtowaniu sobie własnej tradycji z wątków dostarczanych przez Tradycję (czyli polemika z Buberowską interpretacją hasydizmu. Albo znacznie wcześniej spór z Hanną Arendt), o sens nadawany pojęciu przynależności (z okazji jej książki *Eichmann w Jerozolimie*). Chcę zatrzymać się krótko przy jeszcze innej debacie Scholema, związanej z przyjaźnią intelektualną, która była dla niego wyjątkowo ważna. Myślę o przyjaźni i dyskusjach z Walterem Benjaminem.

Poświęcił mu całą książkę, nasyconą intelektualnym urzeczeniem. Tym ciekawszą, że nie jest książką o poglądach Benjamina, lecz o człowieku, dla którego poglądy i idee były czymś niesłychanie istotnym, ale którego osoba nabierała wypukłości dopiero poprzez zderzenie idei noszonych w głowie z zawilymi okolicznościami życia. Od momentu zapoznania się, w połowie pierwszej wojny, i szybkiego postępu przyjaźni, Scholem nigdy nie będzie wątpił, że ma do czynienia z kimś genialnym. Jedytnym w całym otoczeniu, z kim można rozmawiać dogłębnie o wszystkim, również o filozofii i teologii, i kto dochodzi od razu do sedna problemów. Tak będzie oceniał rozmowę i pisanie Benjamina, w całej rozciągłości, nawet (z zastrzeżeniami) artykuły mniej lub bardziej marksistowskie przeznaczone dla Instytutu Horkheimera. Od początku kultura i myśl żydowska, syjonizm i asymilacja są w centrum ich dyskusji. Dla Scholema najbardziej frapujące jest to, że myślenie Benjamina, całkowicie osobiste i niezależne, opiera się na podstawach zaczerpniętych ze spekulacji żydowskich. Zwłaszcza teorią języka i koncepcją kultury jako nieustającego komentarza – komentarza do źródeł, komentarza do komentarzy. Przekazywanie i nauczanie – esencja tradycji – są istotą każdego gestu pisarskiego, w którym język nie ogranicza się do komunikowania znaczeń, lecz jest wysiłkiem dotarcia do początku, do transcendentnej podstawy wszelkiego sensu. Pisarz to komentator prze-

blegający łańcuch historii w obu kierunkach, ku genezie i ku nieprzerwanej pracy pokoleń, która z niej wypływa i z niej czerpie usprawiedliwienie. Później, w okresie marksistowskim, uaktywni się u Benjamina drugi obok genezy biegun żydowskiej teologii, mesjanistyczny. Rewolucja będzie otwarcie potraktowana (w *Tezach o filozofii historii* pisanych pod koniec lat trzydziestych) jako Apokalipsa zwiastująca nadejście Mesjasza, który spełni niedopelniony sens kultury – sens życia.

Debata dwóch przyjaciół trafiają szybko na punkt zapalny: określenie własnej tożsamości i konsekwencje stąd wynikające. Scholem już zdecydował i przekazuje przyjacielowi swoje racje (duchowe, intelektualne, społeczne). Od początku – i tak już pozostanie – Benjamin, podzielać w dużej mierze te poglądy, uchyla się od jednoznaczności, jak gdyby akt samookreślenia był przeciwny jego naturze, stosunkowi do życia i do kultury. Scholem już w latach wspólnego życia w Szwajcarii obserwuje, że żarliwości myślowej Benjamina towarzyszy poczucie wewnętrznej swobody w próbowaniu różnych tez, manewrowaniu nimi, w oddzielaniu teoretycznej akceptacji od praktycznych następstw. To bardzo Castorpowe *pacet experiri* niekiedy wprawia Scholema w panikę, nie rozumie, jak tak można postępować wobec rzeczy poważnych – wybuchają konflikty, po których następuje jeszcze głębsza akceptacja osobowości przyjaciela. I tak syjonizm pasjonuje Benjamina, w pewnym momencie staje się nawet ośrodkiem jego zainteresowań – ale nie będzie to akces, lecz eksperymentowanie ideą, przyglądanie się jej z wielu stron, szczepienie na niej własnych teoretycznych pomysłów. Będzie to raczej egzegetyczne „wczuwanie się w sytuację” niż identyfikowanie się z nią. Podobnie z marksizmem, któremu nie tylko odbierze ortodoksyjny schematyzm (rzecz nierzadka u intelektualistów tamtej epoki), ale do którego domiesza niestylizowane ingrediencje: teologiczne przesłanki swojego myślenia.

Ludzie, którzy się z nim stykali (Hannah Arendt na przykład), byli uderzeni jego „kosmopolityzmem” – powiemy: wykształceniem europejskim. Zdawało się, że ten człowiek nie tylko przeczytał wszystko, ale posiada wyjątkowe wycucie specyfiki epok historycznych i kultur narodowych. Obok kultury niemieckiej, która jest głównym odniesieniem, Francja i jej literatura

pociąga go najbardziej. Ulice Paryża z czasów wygnania po 1933 stają się literackim przedłużeniem ulic opisywanych w *Dzieciństwie berlińskim*. Proust, Valéry, Baudelaire – kontrapunktem dla esejów o Goethem, Karlu Kraussie, Kafce. Kosmopolityzm otwiera przestrzeń, której by nie mógł mu dać żaden z konkretnych wyborów – przestrzeń próbowania, które nie musi być uchylaniem się czy wyrafinowaną zabawą. To ono poszerza prawie w nieskończoność pole komentarza, wzbogaca i czyni zawilszym łańcuch prowadzący ku genezie sensu. Zniechęcony do Niemiec widzi swoją rolę jako Europejczyka, który spogląda z interpretacyjnego dystansu na rozłożone przed nim partytury kultur i układa ich elementy w nową całość.

Ale i to nie uwalnia od wewnętrznych wątpliwości. W książce o Benjaminie\* Scholem opowiada o wydarzeniu, które go zdumiało podczas spotkania z przyjacielem w Paryżu w roku 1929. Benjamin był chronicznie bez pieniędzy i rozglądał się rozpaczliwie za wydawcą, mecenasem, fundatorem, kimś kto zapewni mu spokój do pisania na najbliższe lata. Akurat przebywał w Paryżu rektor świeżo utworzonego uniwersytetu jerozolimskiego i Scholem, na zasadzie próbowania każdej szansy, zaproponował, że zorganizuje rozmowę. (W głębi ducha zawsze marzył, że uda mu się ściągnąć przyjaciela do Palestyny.) Podczas rozmowy Benjamin oświadcza rektorowi, że jedynym jego celem są studia hebrajskie, że wszystko, co dotąd robił, było wprawką do refleksji filozoficznej i teologicznej skupionej na pisarzach żydowskich i że Jerozolima będzie dla niego najwłaściwszym miejscem życia umysłowego. Scholem nie wierzy własnym uszom, ale czuje się szczęśliwy, że decyzja dojrzała i Benjamin stanął oto wobec ostatecznego kroku. Ciąg dalszy, prowadzony korespondencyjnie, będzie bezustannym wykręcaniem się Benjamin od zapowiedzianej podróży, odkładaniem daty pod wszelkimi pretekstami, w końcu milczeniem. W parę lat potem Scholem dostanie list, gdzie wśród prywatnych spraw, jakby mimochodem, Benjamin pisze, że jego zadaniem jest zostać najwybitniejszym krytykiem niemieckim. Wybór okazał się niemożliwy.

\* Gershom Scholem, *Walter Benjamin. Histoire d'une amitié*, Calmann Levy, 1981.

Nie będzie również możliwy w przypadku pokusy marksistowskiej, reprezentowanej przez Brechta i Instytut Horkheimera. Benjamin wejdzie w marksizm z podobną mieszaniną entuzjazmu i dezynwoltury, chytrłości i samowoli. Z eksperymentatorską żylką, która poddyktuje mu coś gorszego jeszcze (w oczach wiernych) niż zwykły odwrót: podporządkowanie wiary własnej wizji, gdzie wiara ta staje się cieniem innych, wyższych potęg. Są to nie opuszczające nigdy Benjamina zainteresowania metafizyczne, a zwłaszcza jak twierdzi Scholem, fascynacja teologią żydowską.

Nad biografią Gerszloma Scholema, jak ją możemy rekonstruować z książek, artykułów, listów, unosi się aura – by tak rzec – twarzą i pogodną. Był niezłomny, szedł do końca za swoimi postanowieniami, uniknąwszy europejskiego koszmaru lat trzydziestych i czterdziestych żył jak mędrzec, nieustępliwy i ważący swoim głosem na debatach publicznych. Aura spowijająca życie Waltera Benjamina jest miękka i tragiczna. Nie tylko dlatego, że żył w Europie i popełnił samobójstwo osaczony przez wkroczenie Hitlera do Francji. Bardziej jeszcze dlatego, iż rzeczywiście reprezentuje tę Europę – w jej elemencie niemieckim, „kosmopolitycznym” i żydowskim. Jego osobista sytuacja rozciąga przed nami jakby synopsis napięć, które w pierwszej połowie stulecia wynoszą na powierzchnię to, co przygotowywało się w głębi historii europejskiej. Napięć intelektualnych, społecznych, politycznych. Jako formacja umysłowa Benjamin uosabia spotkanie kultury humanistycznej i myśli krytycznej z dziedzictwem, które dzięki obecności żydowskiej w Europie pozwalało dotknąć zarówno początków jak i punktu dojścia, powiązać depozyt przeszłości z problematyką najbardziej współczesną. Ta szansa, jaką symbolizował Benjamin, została zachwiana przez zagładę Żydów europejskich.

Miękkość jego postawy odpowiadała czemuś obiektywnemu: współczesnej niemożności ostrych rozstrzygnięć i samookreśleń. Znajdował się wewnątrz sieci splecionej z niezliczonych nitek i sam ją dalej tkal. Każda z tych nitek, włączona w całość, traciła pierwotny charakter i nabierała w zetknięciu z innymi połysku wieloznaczności. Nowe znaczenia, ujawnione przez grę wciąż się budującej całości, otwierają nieprzewidziane horyzonty, które

nie unieważniają dawnych, ale nie pozwalają wrócić po prostu do starych granic. Ktoś kto był urzeczony tą niemożliwą do scalenia całością, tą splatającą się tkaniną i pragnął być jej tkaczem-komentatorem, nie mógł wygrać jednego tylko ściegu.

Zwróćmy uwagę na to, że postawa Scholema, wychodząc z przeciwnych założeń i zmierzając do innych celów, w rezultacie włączyła się w podobną perspektywę. Ogłosiwszy exodus z kultury zachodniej i wylądowanie dziejom narodu wybranego, Scholem wrócił do niej, można powiedzieć, triumfalnie, wprowadzając do umysłów poczucie przykładowego znaczenia myśli i duchowości żydowskiej i ich tragicznych zderzeń z historią. Znając jego pesymizm co do uleczalności antyżydowskiej choroby Europy, nie przywiązywał być może nadzwyczajnej wagi do odźwięku, jaki spotykały tu jego pisma. Niemniej istnieją one odtąd w naszym horyzoncie, wplatają się w tkaninę, neutralizując *ex post* ostrość sprzeczności, którą Scholem widział w momencie swojego wyboru.

Czy to znaczy, że ostatecznie Benjamin miał trafniejszą intuicję, czym jest kultura i na czym polega kulturalna tożsamość? Że Hannah Arendt błędziła, przeciwstawiając zbyt sztywno to co dane i co zdobyte, ale miała rację, akceptując z czcią pierwsze, lecz pragnąc spełnić się w drugim? Pytania wciąż wydają się bez prostej odpowiedzi, jakby umyślnie przeznaczone do tego, by ciągle być stawiane, przez każdego z osobna, w przeczuciu, że nigdy nie-będzie się całkiem pewnym, czy przeciwstawne racje muszą się w istocie wykluczać.

Ewa Bieńkowska

Paul Thibaud

## OD GULAGU DO OŚWIĘCIMIA: PUŁAPKI MYŚLI ANTYTOTALITARNEJ

Słowo „totalitaryzm” zrazu przywodziło na myśl stalinizm i ideokrację. Obecne badania nad narodowym socjalizmem i ludobójstwem sugerują, że bardziej niż logika idei liczy się przemoc nihilistyczna i władza dla władzy. A ponieważ refleksja nad demokracją jest nierozdzielna od rozważań nad niebezpieczeństwem totalitarnym, demokracja jawi się nam bardziej jako antyprzemoc (zgoda, dialog, wspólna wiara w sprawiedliwość) niż jako antydogmatyzm i nieokreślenie.

Od blisko dziesięciu lat we francuskich środowiskach intelektualnych i politycznych panuje antytotalitarna jednomyślność, która zastąpiła antyfasyzm jako zasadę różnicującą: oto istnieją ustroje z zasady a nie z przypadku bądź przez skrzywienie czyniące ze społeczeństwa przedmiot dla władzy, wykluczające – czy przynajmniej zwalczające – pluralizmy, jakie cechują demokrację.

Fakt, że komunizm (powołujący się na eschatologię pozytywną i na pojednanie przeciwności) stał się okazją dla nowej zmiany w

---

Esej opublikowany w somie *La France en politique 1988*, wydanym pod redakcją Bernarda Manin przez Esprit, Fayard i Seuil, Paryż 1988.

świadomości, że intelektualści, których to w pierwszym rządzie dotyczyło, wyrzucają dziś sobie manowce własnych dobrych intencji, fakt ten sprawił, że zrównano totalitaryzm z dyktaturą utopii, otoczono podejrzliwością wolę zbiorową i w rezultacie zubożono zarówno pojęcie, jak i praktykę demokracji.

A jednak nie ogranicza się ona do mniejszego zła w polityce – jest pozytywną walką przeciw wykluczeniu, za upowszechnieniem obywatelskości. Nie jest więc zwykłą odmową praktyk zmierzających do zniesienia ludzkiego nieokreślenia, jest również pragnieniem, by historia ludzka była dziełem wszystkich. Inaczej mówiąc, postawa totalitarna, przeciwnie niż zbyt łatwo twierdzili niektórzy (i być może autor niniejszego), nie polega na tym, że pragnie się dobra ludzkości, nawet nie na tym, że posiada się jego wyobrażenie (jakże byłoby możliwe pragnąć dobra i nie mieć jego wyobrażenia?), lecz na tym, że stawiamy się poza lub ponad debatą, która pozwala skonfrontować i zrelatywizować rozmaite wizje dobra powszechnego. Mordercza jest nie idea lecz fakt, że została izolowana, zmieniona w hipostazę, zagarnięta przez władzę i tych co ją sprawują, jak to analizuje Claude Lefort, zapożyczając od Solżenicyna termin „ideologia z granitu”: Idea zmienia się w swoje przeciwieństwo, wytwarza niezrozumiałość i przemoc, władza w państwie „utożsamia się z osiągnięciem pewności na temat istoty społeczeństwa”<sup>1</sup>.

Nadużywanie pojęcia ideokracji jest typowe dla wulgaty antytotalitarnej, która sugeruje, że logika „wielkiej idei” (ludzkość pojednana) sama przez się produkuje katastrofę. Co do refleksji o demokracji, proponuje ona mądrość dość ubogą, wizję świata statyczną: strąca w ciemności zewnętrzne wszystko, co nie jest demokracją liberalną, hoduje przesąd antyutopijny (*corruptio optimi pessima*): aby kochać demokrację, trzeba ją kochać w sposób umiarkowany... Ale czy demokracja rozsądna, letnia, co do której zbyt szybko się wszyscy zgadzamy, nie jest również wystawiona na niebezpieczeństwa: właśnie dlatego, że nie troszczy się o zobowiązania, które są korelatami jej zasady uniwersalności? Zafascynowana wypaczeniami idei wielkodusznych zdaje się ona dostrzegać, że totalitaryzm to bardziej cynizm, przemoc, rozpacz niż skrzywione skutki przesadnej moralności. Oczywiście, w każdym totalitaryzmie jest jakaś idea: potrzebuje jej, by mógł się sam

nazwać (narodowy, komunistyczny, socjalistyczny...) a zwłaszcza, by napiętnować zepsucie, któremu wydał śmiertelną walkę (zepsucie żydowskie, mięszczańskie, kułackie...) Ale czy ważna jest naprawdę idea czy też fanatyzm i nienawiść, które ją zamieszkują i wprawiają w ruch? Ideokratyczne definicje totalitaryzmu (na przykład Alain Besançon czy Michala Hellera) smagają idee, które posłużyły za kostium dla terroru, ale cóż mają one do powiedzenia o energii, która wytwarza terror, oślepiając intelektualistów i zmieniając we współników zbrodni?

To nie przypadek, że równoległe do rozpowszechniania się wulgaty antytotalitarncj, która wszystko odnosi do ideologii, powraca z wielką siłą problem specyfiki narodowego socjalizmu, a zwłaszcza ludobójstwa dokonanego na Żydach. Zapewne jest to zainteresowanie problemem (Żydzi i Europa) o wiele szerszym niż kwestia totalitaryzmu, niemniej wskazuje ono również na słabości dzisiejszych pojęć: obsesja ideologiczna odwróciła naszą uwagę od refleksji nad przemocą, nagą, oczywistą przemocą hitlerizmu. Skądinąd wizje konserwatywne niebezpieczeństwa totalitarnego, którym przyświeca duch rozważań, niezdolne do wyobrażenia jakiegokolwiek postępu demokracji, który uczyniłby ją odporniejszą, skazane są na powtarzanie tych samych ostrzeżeń (wobec Gorbaczowa) i na rozrząsanie swego nieczystego sumienia (w stosunku do zagłady Żydów, w stosunku do stalinizmu).

Skoro rozumienie demokracji związane jest z rozumieniem jej przeciwieństwa, totalitaryzmu, chcemy zaproponować wyjście poza wizję statyczną – i to w dwóch płaszczyznach. Ująć totalitaryzm jako pojawienie się przemocy totalnej, to rozmyślać o warunkach historycznych owego pojawienia się i spróbować przemyśleć demokrację nie tylko jako odmowę pewnej hubris ideologicznej, lecz, w sensie pozytywnym, jako budowanie zgody pomiędzy ideami i interesami. To nie tylko smagać pokusy, na które demokracja jest wystawiona, ale również nakreślić jej pewien horyzont.

### *Ideologia i śmierć idei*

Totalitaryzmy nie są wybudowane na idei, lecz na sile, która posługuje się ideami. Hannah Arendt posuwa się do twierdzenia,



że rasizm i komunizm nie są bardziej totalitarne niż dowolne inne idee. Stały się nimi dopiero wtedy, gdy „ruchy totalitarne” postanowiły je „spożytkować”<sup>2</sup>. Monologizm dogmatyczny jest dla ruchów totalitarnych sposobem na likwidację idei. W tym znaczeniu smutna mowa-trawa breżniewizmu jest punktem dojścia języka totalitarnego: prawdą jest to, co ja mówię, więc to co mówię, jest prawdą i odwrotnie.

Dla władzy totalitarnej jest zapewne nie bez znaczenia, by przyciągnąć do siebie idee i ideologów, ponieważ sposób, w jaki znieprawia, sprowadzając na swój poziom i jedne i drugich, jest wykładnią jej siły uwodzicielskiej. Ale dzieje się to na peryferii, w strefach przechodnich, które Czesław Miłosz opisał w *Umyśle zniewolonym*<sup>3</sup>. Ideologia, język uzasadnienia jest potrzebny na zewnątrz, wobec „poputczyków”, wobec tych, co się wahają. Jeśli przyjmiemy analizę Hanny Arendt, wedle której totalitaryzm jest zorganizowany „cebulowo”, z koncentrycznych warstw, gdzie każda jest chroniona od zewnątrz przez warstwę ludzi uczestniczących w systemie, ale w sposób mniej intensywny, możemy powiedzieć, że im bliżej centrum, tym większa wiara i tym mniej treści ideowych, tym więcej cynizmu, a jedynym przedmiotem akcesu staje się nieomyślność wodza. W tym sensie Hannah Arendt mogła powiedzieć, że ten, kto jest zafascynowany totalitaryzmem, „wierzy równocześnie we wszystko i w nic”, ponieważ jego wiara ma tylko jedną treść: dzięki wodzowi wszystko jest możliwe.

Redukcja myśli do władzy, charakterystyczna dla ruchów totalitarnych, jest związana z ich polemicznym – monopolemicznym – wyobrażeniem świata; wszystko daje się określić w terminach walki. Louis Dumont tak podsumowuje swoją analizę obrazu narodu niemieckiego w *Mein Kampf*: „Zbiorowość ta jest podporządkowana (...) antagonizmowi ras, a jedność „rasy” faktycznie istnieje tylko poprzez antagonizm z inną rasą, poprzez antysemityzm”<sup>4</sup>. Ważne jest, aby aktywista miał wycucie, obsesję konfliktu, by umiał wykryć nieprzyjaciela, który przeniknął wszędzie.

### *Opór wobec demokracji*

Skoro w sercu prądu totalitarnego znajdujemy nie zespół idei lecz, by tak rzec, wściekłość, projekt rewanzu wobec świata w

całej rozciągłości, jak scharakteryzować podobne uczucie? Jeśli prawdą jest, jak twierdzi Hannah Arendt, że Niemcy są jedynym krajem produkującym ruch totalitarnej, jeszcze przed przejęciem władzy, możemy na przykładzie Niemiec prześledzić, w jaki sposób przybrały siłę i formę publiczną wątki i uczucia, które wydały totalitaryzm.

Wyjaśnianie narodowego socjalizmu poprzez narodową tradycję niemiecką wydaje się niezbyt zadowalające, bowiem w najlepszym razie prowadzi do uchwycenia skłonności autorytarnych, które bynajmniej nie są specyficzne dla okresu hitlerowskiego. Podobnie – wyjaśnianie za pomocą cech społecznych (zaostrenie walki klas) bądź kulturalnych (rodzina represyjna) kapitalizmu: dlaczego gdzie indziej te same przyczyny nie dały tych samych skutków? I czy zresztą można się ograniczyć tylko do tego?

Hannah Arendt, gdy opisuje opuszczenie, izolację, samotność, odczuwane przez izolowaną jednostkę w społeczeństwie masowym, chociaż nie dostarcza zadowalającego wyjaśnienia (dlaczego więc istnieją nadal demokracje w społeczeństwie nowoczesnym?), przynajmniej wskazuje na to, co powinno zostać wyjaśnione: „Ucieczka mas przed rzeczywistością to potępienie świata, w którym są zmuszone i nie są w stanie żyć”. Co było tak niemożliwego do zniesienia, że bunt stał się tak totalny; bunt nie tyle „wewnątrz świata”, przeciw takiej czy innej niesprawiedliwości, lecz przeciw światu, który zakłada aż tak globalny zamęt?

Wyjaśnienia materialne tego zamętu (bezrobocie, hiperinflacja z 1923 roku) zawierają część prawdy (por. bardzo wysoki procent bezrobotnych w SA), lecz rozbijają się o fakt, że to nie wielkie „anonimowe” miasta dały najwięcej głosów na Hitlera, a jednolite wspólnoty przechowujące silne poczucie tożsamości, drobni mieszkańcy z małych miasteczek i wsi, najczęściej protestanci. Uczucie opuszczenia, utraty odniesień, które należy założyć, gdy szuka się wyjaśnienia zjawiska narodowego socjalizmu, powinno być zapewne umieszczone na innym poziomie, bardziej globalnym, symbolicznym i politycznym, na poziomie kryzysu wartości zbiorowych.

Przed wszystkim uderza opór niemieckiego systemu politycznego wobec wartości liberalnych. Już w latach 1860 pierwszy przywódca socjalistyczny Lassalle szuka porozumienia z Bismar-

kiem, aby „odciąć proletariat od demokracji burżuazyjnej”<sup>5</sup>. W 1871 większość liberalów przyjmuje z rąk cesarza konstytucję, która w rzeczywistości odbiera władzę przedstawicielom ludu wybranym w powszechnych i równych wyborach. Druga Rzesza bynajmniej nie zrywa z zasadą monarchiczną, cesarz zachowuje rolę więcej niż symboliczną. Zasada ta jest przedmiotem ataków i traci swoją wiarygodność wraz z modernizacją kulturalną, narastaniem znaczenia socjaldemokracji, zarazem potężnej (35% głosów w 1912) i politycznie marginesowej, niemniej nie zostaje ona zastąpiona przez inną. Niemcy Wilhelma II, naznaczone sprzecznościami i niekonsekwencjami w tym samym momencie, gdy ich prestiż kulturalny, potęga ekonomiczna i wojskowa osiągają szczyt, rządzone są przez kastę pod przewodnictwem władcy-bufona o zmiennych nastrojach: dynamizm, dążenie do światowej rangi utrzymują jedność i przesłaniają nieobecność wiarygodnych wartości politycznych. Jeśli porównamy sposób prowadzenia wojny 1914-18 przez Francuzów i Niemców<sup>6</sup>, z jednej strony mamy armię związaną z kulturą polityczną, której ideały uniwersalistyczne są szeroko podzielane, z drugiej armię odwołującą się jedynie do swoich własnych wartości, honoru, odwagi, koleżeństwa, skuteczności.

Polityczny problem Niemiec to nie tyle przetrwanie wartości „feudalnych” (zasada wymiany poddaństwa za opiekę, przeciwstawiona suwerenności ludu), to raczej fakt, że nie zostały one zastąpione w miarę jak się wykruszały. Ten problem wydaje się jeszcze bardziej nierozwiązywalny w 1918, ponieważ wartości polityczne, zdolne zluźnić wartości tradycyjne, zniszczone przez klęskę, to wartości francusko-angielskie, w imię których opinia międzynarodowa potępiła Niemcy. Jakże się dziwić, że nie są one chętnie przyjmowane, skoro panuje poczucie, że siła niemiecka posiada inne podstawy. Jakże się dziwić, że wątek hipokryzji i powierzchowności wartości demokratycznych, uosobionych przez Ligę Narodów, staje się wówczas jądrem dzieła myślicielea tak ważnego jak Carl Schmitt?

Nieobecność uznanych powszechnie wartości politycznych uczyniła z Republiki Weimarskiej, wedle historyka niemieckiego K.D. Brachera<sup>7</sup>, strukturę pustą, czystą ramę dla konfliktów. Każda ideologia, środowisko, grupa nacisku, instytucja zamyka

się moralnie w sobie. Stąd przemoc i niestalość gry: pucze i kontrpucze, bunty, zabójstwa, tworzenie formacji niezależnych i paramilitarnych, cynizm i niestabilność sojuszy parlamentarnych – symptomy „słabości systemu i potęgi jego części” (Ayçoberry, op. cit.). Fakt, że Reichswehra zasklepia się w apolityczności oznacza po prostu, że nie uznaje wartości głoszonych przez państwo, nie jest w służbie narodu, lecz żyje moralnie dla samej siebie.

### *Pucz moralny*

Ta agresywna fragmentacja pozwala zrozumieć pojawienie się Hitlera. Wierność wobec Cesarstwa zapewniała jedność społeczeństwa, gdzie każda korporacja pielęgnowała swój system wartości. Jedność demokratyczna, spoczywająca na wzajemnym zrozumieniu, wymagałaby, przeciwnie, interioryzacji wspólnych wartości, dzięki którym możliwe są negocjacje. Ale żadnemu z prądów politycznych nie udało się wintegrować tych wartości w kulturę niemiecką i w jej świetle wydają się one kłopotliwym przymusem, symbolem drwiny i bezsily. Odpowiedzią jest pucz moralny, bunt antyeuropejski i antydemokratyczny, gdy wobec niemożności przywrócenia pozytywnej prawomocności politycznej Hitler proponuje narodowi niemieckiemu, by określił się poprzez nienawiść do innego, w ramach koncepcji ludzkości jako bezlitosnej walki, oraz inauguruje podstawową strukturę totalitarną, która polega na obsesyjnym i wszechogarniającym podziale na „nas” i „ich”.

Dlaczego wprowadzony podział ma charakter rasistowski i antysemitki? Można odpowiedzieć sumarycznie, że Hitler przejął istniejący antysemityzm i zuniwersalizował go w mitologicznej postaci wojny ras. Antysemityzm jest bez wątpienia jedną z podstawowych struktur kultury europejskiej, która pomimo tylu apeli o tolerancję nie potrafiła zdobyć się na pozytywne rozumienie judaizmu. Na wyższym poziomie dało to ataki Szekspira, Woltera, Kanta, Dostojewskiego przeciw Żydom trzymającym się z dala od ludzkości, a na poziomie pospolitym przesady religijne i społeczne. Stary antysemityzm produkuje nową formę w epoce demokratycznej, gdy Żydzi zaczynają symbolizować fakt, że grupa nie jest skazana na zamknięcie w swojej tożsamości i że

nowe formy ludzkiego bytu są zawsze możliwe. Antysemityzm staje się wówczas argumentem grup czepiających się zagrożonych tradycji.

Ów antysemityzm polityczny rozwinął się równolegle w licznych krajach Europy z końcem XIX wieku, wraz z laicyzacją i zakwestionowaniem odwiecznych tradycji. Nie był on wcale mniej żywy i rozpowszechniony we Francji niż w Niemczech. Różnica tkwi w tym, że z powodu słabości tradycji liberalnych Niemcy nie przeszli przez ową mobilizację części elit politycznych i kulturalnych przeciw antysemityzmowi, jaką był we Francji ruch w obronie Dreyfusa. W każdym razie, antysemityzm polityczny jest środowiskiem rodzinnym hitleryzmu i elementem decydującym o jego rozpowszechnieniu. Nihilizm hitlerowski jest pradoksalnie związany z nostalgią za społeczeństwem, spoczywającym na wartościach pewnych. Jak dowodzi tego antysemityzm, nosiciele tej nostalgii nie są zdolni realizować wartości, które proklamują; potrafią je głosić wyłącznie w postaci nienawiści i żądać dla nich gwarancji autorytarnych. To faktyczna i milcząca rezygnacja z tych wartości wystawiła tradycjonalistów na totalitarną pokusę, gdzie świadomość wartości zostaje zastąpiona przez przemoc rozpętaną jako odpowiedź na ich zagrożenie<sup>8</sup>.

Ale w stosunku do antysemityzmu politycznego rasizm hitlerowski wnosi, by tak rzec, pewne udoskonalenie. Proponuje na dodatek prostacki lecz skuteczny system „demistyfikacji” wartości liberalnych; spełnia pragnienie tradycjonalistów, by nie okopywać się tylko na pozycjach obronnych, lecz przejść do ataku. Na tym polega, jak wykazał Louis Dumont, strona nowoczesna narodowego socjalizmu, sposób w jaki, posługując się modną kartą demistyfikacji, pozwala podnieść się z upokorzenia czcicielom tradycji. Świat współczesny drwi z tradycji w imię prawdy pragnień indywidualnych (liberalizm) lub interesów i konfliktów klas (marksizm). A więc narodowy socjalizm pójdzie jeszcze dalej, powoła się na prawdę instynktów, na głębinową prawdę rasy. Jak spostrzegli to prawdziwi konserwatyści, początkowo również skuszeni (zwłaszcza Hermann Rauschning, pierwszy i najciekawszy krytyk narodowego socjalizmu), Hitler rozbija wszelkie normy moralne, ponad wszystkim stawia walkę i panowanie; lecz czciciele tradycji dają się oszukać, oślepieni przez antyliberalne resentymenty.

Ta zuchwałość demystyfikacyjna Hitlera tłumaczy, dlaczego niektórzy wybitni przedstawiciele inteligencji niemieckiej rozpoznali swoje wartości w stylu jego wystąpień: Martin Heidegger, Gottfried Benn, Carl Schmitt... Również Jünger nie był od tego daleki. Oczywiście, blichtr neo-tradycjonalistyczny narodowego socjalizmu budzi nieufność i pogardę u członków awangardy<sup>9</sup>, lecz porywa ich idea ruchu. Co wcale nie znaczy, że twórczość tych pisarzy i filozofów miała charakter hitlerowski lub pre-hitlerowski; można raczej mówić o ich milczeniu etycznym, o postawie antyidealistycznej, która odcina od wartości uniwersalnych i zdejmuje wszelką za nie odpowiedzialność; w tej sytuacji działanie i twórczość stają się dla siebie jedynymi odniesieniami. Nieobecność wartości politycznych, która wytworzyła „uczucie strachu w społeczeństwie ustabilizowanym” i popchnęła konserwatywne mieszczaństwo w ramiona Hitlera, znajduje odpowiednik w „fanatycznej czystości” (Klaus Mann o Gottfriedzie Bennie) kulturalnej awangardy, w jej nieufności względem ideałów, w religii działania i decyzji jako zasady ostatecznej. Jej „formalizm”, jak zauważył Benn, mógł się łatwo stać „rytualizmem”, to znaczy wypełnić się naraz dowolną treścią – byle odpowiednio intensywną. Fakt przystąpienia do narodowego socjalizmu wielu spośród głównych twórców niemieckich potwierdza przewagę ruchu nad ideałami, przewagę struktury polemicznej nad językiem uzasadnienia.

### *Totalitaryzm skoncentrowany*

Jednym z paradoksów narodowego socjalizmu jest fakt, że jego pierwotna baza ideologiczna była dziełem nieznacznej mniejszości, stanowiąc zarazem, poprzez swój styl i sposób interweniowania, odpowiedź na ogólny kryzys kultury i polityki. To tłumaczy, dlaczego narodowy socjalizm nie zagarnął całej przestrzeni społecznej, ale mógł przejąć legalnie władzę. Totalitaryzm hitlerowski, chociaż reprezentował reakcję antydemokratyczną o zasięgu ogólnonarodowym, rozwinał swoją rasistowską logikę tylko w jednym sektorze społeczeństwa: był to totalitaryzm pełny, ale jedynie dla Żydów.

Porównanie ze stalinizmem wydaje się znaczące. Stalinizm powołuje się na ideologię (marksizm), która w r. 1930 została

narzucona przez państwo całemu społeczeństwu i miała na uwadze całe społeczeństwo. Natomiast narodowy socjalizm okazał się ograniczony zarówno przez swoją matrycę ideologiczną, jak i przez rasowe określenie nieprzyjaciela. Powszechna walka ras, którą Hitler podniecał się jeszcze w swoim ostatnim bunkrze, była w pełni realizowana tylko w stosunku do Żydów i Cyganów.

W działalności narodowo-socjalistycznej można zaobserwować zarazem zawężenie i radykalizację. Świadczy o tym proces selekcji potępieńców uczestniczących w ostatecznym rozwiązaniu, zdolnych spełniać czyny, których żądano od nich wprost: to „gorliwi i ambitni słudzy Trzeciej Rzeszy odpowiadający na impulsy i sugestie płynące z ośrodka władzy”<sup>10</sup>. Można by mówić o totalitaryzmie skoncentrowanym, który realizuje się zarazem kompletnie i tylko w jednej dziedzinie. W każdym razie, jedynie system obozowy i system eksterminacji pozwala na pełne wcielenie fanatycznego i wyalienowanego stylu życia, który charakteryzował hitlerowca „czystej krwi”, zdolnego zinterioryzować „nowe zasady działania: bezpieczeństwo narodu-rasy, prewencja, uniwersalizacja przeciwnika, «wojna duchowa»”<sup>11</sup>.

Zawężenie skuteczności ruchu totalitarnego tłumaczy możliwość huntury dawnych elit politycznych, wojskowych i religijnych, jak spisec 20 lipca 1944. Wyjaśnia również możliwość reorganizacji społeczeństwa niemieckiego po klęsce narodowego socjalizmu, reorganizacji wokół fachowców, którzy trzymali się na uboczu, oraz fakt, że tyłu Niemców nie pozbawionych całkiem dobrej wiary mogło uznać, iż nie mieli nic wspólnego z tym, co działo się w przeszłości<sup>12</sup>.

Refleksje te sugerują, że narodowy socjalizm jest przede wszystkim odrzuceniem demokracji żerującym zarówno na etycznej absencji pewnych przedstawicieli kultury, na ich wyrafinowanym antyuniwersalizmie oraz na zamęcie wywołanym przez brak uznanych wartości politycznych i wynikającym właśnie z nieobecności kultury demokratycznej. To odrzucenie przybrało formę kultury siły, historycznego autorytetu przemocy. Pomimo szerokiego oddźwięku zostało ono przechwycone przez ruch sam w sobie ograniczony (produkt rozkładu wartości tradycyjnych) i którego sukces bierze się z nowego i unowocześnionego kształtu, jaki nadał walce wydanej demokracji. Narodowy socjalizm, przed-

sięwzięcie zarazem pseudo-tradycjonalistyczne i pseudo-nowoczesne, był dziełem ludzi marginesu (w sensie społecznym i kulturalnym), którzy przetworzyli w energię frustracje zrodzone z przecucia historycznego impasu.

### *Model wojownika, model rewolucjonisty*

Ustanawiając terror narodowy, socjalizm wyciągnął korzyści z zamętu politycznego Niemiec; stalinizm, przeciwnie, miał za punkt wyjścia monopol polityczny. Logika hitleryzmu to logika oczyszczenia, zwłaszcza rasowego; logika stalinizmu to logika całkowitego wchłonięcia społeczeństwa przez władzę. Jak zauważyła Hannah Arendt<sup>13</sup>, zbrodnia hitlerowska jest zamachem na różnorodność człowieczeństwa. Zbrodnia sowiecka zmierza do unicestwienia ludzkiej zdolności działania. Oskarżenia i napiętnowania pełne groźby wyczerpują niejako sens mów Hitlera. Natomiast demonologia sowiecka stanowi kontrapunkt do hymnu na cześć dobrodziejstw państwa. Jedyny aparat poprzedniego ustroju, który narodowi socjaliści całkowicie opanowali i znieprawili, to aparat bezpieczeństwa; inaczej mówiąc, stosunek partii hitlerowskiej do społeczeństwa pozostał stosunkiem kontroli i represji. Stalinizm zaś posunął się do upowszechnionego bruchomówstwa: państwo przemawiało ustami chłopów i robotników, popów i intelektualistów recytujących tę samą lekcję. Znacząca jest również różnica między dwoma systemami więziennictwa politycznego: w Buchenwaldzie czy Oświęcimiu nie uprawiano narodowo-socjalistycznej propagandy, podczas gdy nad kanałem Białomorskim niewolnicy Stalina podlegali, jak powiada Solżenicyn, „bezustannej wrzawie”, „świergotowi” propagandy wychowawczej. Dla hitlerowców istnieje jedna linia frontu: tam gdzie gniją żydowsko-bolszewickie robactwo; dla stalinowców idzie o zwalczanie wszelkiego sabotażu, wszelkiej „wartości mieszczańskiej”, to znaczy wszelkiej formy autonomii. Pierwsi niszczą ciała, drudzy chcą panować nad duszami. Narodowy socjalizm, aplikując tezę o priorytecie polityki zewnętrznej, mobilizuje ustawicznie naród do wojny. Wojna prowadzona przez Stalina przeciwstawia Państwo-partię społeczeństwu, to znaczy aktywistę miasteczku, członka partii łącznie i w ostatecznym rachunku pozwala odkryć wroga wewnątrz samego siebie.



To kontrastowe ujęcie prowadzi do przeciwstawienia reżymu praktykującego terror jako gwarancję jednolitości w obliczu zagrożenia zewnętrznego reżymowi, gdzie walka jest zasadą wewnętrzną, narzędziem formowania narodu, zniesienia wszelkich rozbieżności, wszystkiego, co nie mieści się w systemie. Jest to różnica między wojskowym modelem walki zewnętrznej i rewolucyjnym modelem walki wewnętrznej, walki społecznej, gdzie, jak mawiał Mao, każdy podzielony jest na dwoje, gdzie wymyśla się podziały po to, by je zniszczyć i następnie znów wymyślać nowe.

Proces leninizacji-stalinizacji polega na monopolizacji władzy. W październiku 1917 zniesiono prawo „burżujów” do krytyki, odebrano im prawo do publikowania w prasie. Począwszy od lata 1919 (koniec koalicji z escrami) bolszewicki monopol władzy staje się dogmatem. W 1921 wraz ze stłumieniem buntu w Kronstadzie klasa robotnicza traci prawo do istnienia niezależnie od swych samowolnych przedstawicieli; kolektywizacja prowadzi do całkowitego zaniku społecznej autonomii. Przemoc hitlerowska polega na wykluczaniu, przemoc komunistyczna to wchłonięcie przez boa-dusiciela.

Ten sam Lenin sformułował wszystkie tezy, które staną się usprawiedliwieniem totalitaryzmu stalinowskiego, włącznie z teorią Wyszynskiego o zaostrzaniu się walki klas po przejęciu władzy<sup>14</sup>. A jednak istnieje jakościowy przeskok między sytuacją, gdy partia zostaje jedynym panem społeczeństwa i momentem, gdy (po 1929, wraz z przyspieszoną industrializacją i kolektywizacją) znika społeczeństwo cywilne, tzn. przestaje być uważane za problem, a wszystkie problemy nabierają charakteru politycznego. Za Lenina społeczeństwo jest jeszcze przedmiotem troski, zachowuje pewną niezależność, która zniknie za Stalina. NEP jest znakiem, że polityczny monopol komunistów mógł iść w parze z pewnymi kompromisami wobec realiów społecznych. Można nawet sądzić, że pod koniec życia Lenin brał pod uwagę możliwość wstrzymania wojny systemu przeciw społeczeństwu i racjonalizację dyktatury<sup>15</sup>. Decydujący wybór ma miejsce w 1929, gdy trzeba było się zdecydować wobec chłopstwa, to znaczy wobec mas ludowych, bądź na metodę rekwizycji i przymusowej kolektywizacji, bądź na metodę wynegocjowanego kompromisu.

Bucharin słusznie dostrzegł, że to drugie rozwiązanie zakładało podważenie monopolu politycznego. Natomiast Stalin wybrał system totalitarny oparty na przemocy i w konsekwencji zniewolenie społeczeństwa.

### *Zawrót głowy od sukcesu*

Lenin jest wynalazcą dyktatury partii ugruntowanej na scjencystycznej interpretacji marksizmu, oddziedziczonej po Kautskim. Ale komunizm rzeczywisty wykracza poza granice definicji leninowskiej, która bynajmniej nie wyklucza realistycznego i pragmatycznego stosunku do człowieczeństwa. Nie jest również rezultatem wyścigu ku utopii w społeczeństwie ogarniętym rewolucyjną egzaltacją. W październiku 1917 mobilizacja mas jest słaba, nowe społeczeństwo nie budzi entuzjazmu, fakt decydujący to spowodowany wojną rozkład autorytetów politycznych i społecznych, dezintegracja armii, zasklepienie się wsi w ramach gospodarki naturalnej. W obliczu procesu, który zbija z tropu polityków reformistycznych, nieduża sekta (a w każdym razie jej przywódca) potrafiła zrozumieć i wykorzystać sytuację, aby obalić przestarzałą władzę. Ten właśnie sukces, sukces zamachu stanu, określił, jak się zdaje, mentalność komunistyczną. Słynny artykuł Stalina zatytułowany „Zawrót głowy od sukcesu” wskazuje, o co chodzi: o rozbuchany woluntaryzm grupy, która nie potrafi otrzeźwieć po sukcesie przekraczającym wszelkie oczekiwania, boi się kraju, nad którym panuje, ale zarazem posiada pewność, że zwycięstwo musi być po jej stronie i że społeczeństwo jest dla niej tylko przedmiotem. Rozkład społeczny, jaki reżym odziedziczył i dodatkowo powiększa, zdaje się potwierdzać ustawicznie, że można zrobić wszystko. Dzięki temu cała strona krytyczna marksizmu ulatnia się i to, co jeszcze u Lenina było często zwykłą hipotezą, staje się gwarancją absolutnego prawa do decydowania o losach narodu i ludzkości.

Proces wzrostu władzy stalinowskiej nie da się określić jako ideokratyczny, ponieważ idea została zastąpiona przez siłę, kompetencja przez przemoc, kultura polityczna starych bolszewików przez zwykłą brutalność stalinowskiego narybku, dla którego „entuzjazm”, to znaczy przymus, decyduje o wszystkim. Jedyne

dogmat, który się liczy, to dogmat walki; socjalizm nie jest ideałem, lecz produktem walki, znika idea celu, ponieważ odwołanie się do celu zmusiłoby do pytań na temat stosowanych środków; ale jakąż tępa pewność rodzi się z uznania, że socjalizm – socjalizm w marszu – to nic innego jak użycie siły. Natarczywa propaganda w obozach stalinowskich nie dowodzi, że idea ma ciągle władzę, lecz przeciwnie, że władza podporządkowała sobie ideę, ponieważ może sobie pozwolić na język absurdu (opiewać szczęście w obliczu skazańców) i zmuszać wszystkich, by tego słuchali, a wrzask czyniony przez państwo uniemożliwia nawet wewnętrzne skupienie i medytacje. Definiowanie socjalizmu (oparte na błędnym kole) jako walki przeciw wrogom socjalizmu skazuje w ten sposób ustrój na permanentną negatywność: socjalizm to po prostu zniesienie Starego Świata, to nie-kapitalizm, antykapitalizm<sup>16</sup>.

Historyk tak kompetentny jak Moshe Lewin<sup>17</sup> widzi przyczyny tego Immanentnego fanatyzmu w słabościach społeczeństwa rosyjskiego u końca wojny światowej i domowej (zniszczenie przemysłu, zacołanie wsi, emigracja i rozproszenie warstw wykształconych; czyli to wszystko, co nazywa się społeczeństwem „ruchomych piasków”). Lecz ten sam autor wykazuje, krok po kroku, że za wyjątkiem NEP-u reżym konsekwentnie prowadził dzieło zniszczenia społecznego, że sam stwarzał bądź zaostrzał warunki, które posłużyły do usprawiedliwienia jego monopolu. Z drugiej strony Martin Malia, który charakteryzuje reżym sowiecki (za Lenina, Stalina i następców) jako „uniwersalną biurokrację ideokratyczną”, dostrzega w każdym momencie rozstrzygającym (w r. 1918, 1929, 1932) decyzje improwizowane, pomysły ludzi przypartych do muru, czerpiących siłę nie z utopii, lecz z zawziętej determinacji: nie ustąpić, nie „cofać się wstecz”, nie przyznać się do porażki. Jest to więc logika władzy monopolistycznej, pogrążającej się nie tyle w ideologii, ile w subiektywizmie, atakującej wszelkie zewnętrzne odniesienia (partie konkurencyjne, wolną myśl, autonomię społeczną), które umożliwiłyby ocenę jej działań.

Stalinizm, opierając się na monopolu politycznym, zmierzał do unicestwienia społeczeństwa cywilnego poprzez logikę aparatu, który w przeciwieństwie do narodowego socjalizmu nie ograni-

czał się tylko do samego ruchu, lecz opierał się na wszechobecności państwa. Narodowy socjalizm oddzielał wewnętrzny fanatyzm ruchu od terroru narzuconego reszcie społeczeństwa. Stalinizm nie uznaje podziału na wewnętrzne i zewnętrzne; walka władzy przeciw społeczeństwu realizuje się w całym ciągu czystek, które dotyczą równie dobrze aparatu, jak i społeczeństwa. Niepewność i groźba unoszą się nad wszystkimi, również nad wysokimi funkcjonariuszami. Równość wobec terroru okazuje się jedną z przyczyn trwałości reżymu; spychając wszystkich na jeden poziom, unika się krystalizacji uczucia buntu przeciw uprzywilejowanym, uruchamia się uczucia kompensacyjne przez odwołanie do jedyne go faktu zewnętrznego, do jedyne go bóstwa, Stalina, którego kult był całkowicie sztucznym wytworem; tłumaczy się również unarodowienie stalinizmu w r. 1941, kiedy to idea władzy twardej dla wszystkich wydaje się warunkiem ocalenia narodowego<sup>18</sup>.

Jednak pojednanie komunizmu z nacjonalizmem mogło stać się groźbą dla reżymu; mogłoby na nowo uprawomocnić społeczeństwo i jego własne wartości, i w konsekwencji powołał podważyć ustrój od wewnątrz. Stąd bierze się powrót do terroru po wojnie, z tą znaczącą różnicą, że teraz ofiary są inne. Nie ci, co są na podobieństwo zwykłego obywatela (burżuje, kulacy, funkcjonariusze nie dosyć twardzi), lecz elementy peryferyjne: ci, których się podejrzewa o opór względem mistycznej syntezy nacjonalizmu, komunizmu i kultu Stalina. Nadając represjom charakter antykosmopolityczny i antysemitki, Stalin inkasował korzyści płynące z patriotycznej jedynomyślności, nie rezygnując z terroru. Można stawiać pytanie, czy model hitlerowski nie był ostatecznym punktem dojścia stalinizmu.

Decydujący zwrot to demaskacja Stalina i koniec terroru wewnątrz partii, więc (z powodu nieczłonkowanego charakteru stalinowskiej struktury społeczeństwa) dla wszystkich. Totalitaryzm bez terroru jest sprzeczny ze sobą<sup>19</sup>, trwać może tylko za sprawą pamięci o terrorze i lęku przed jego powrotem, przeciw czemu w warunkach monopolu nie ma żadnej gwarancji. Stąd bierze się kulawy charakter chruszczowizmu i breżniewizmu, totalitaryzmów post-terrorystycznych, gdzie odtwarzala się dyskretnie (jako wynik zniesienia terroru) peryferyjna prawomocność społeczeństwa, którą Gorbaczow postanowił wintegrować w ramy zasady

prawomocności politycznej<sup>20</sup>. Reżym podupadł, stępił się i rozmiękczył, ale się nie zreformował. Zniknęła praktyka terroru; fanatyzm niższego aparatu partyjnego, który bał się społeczeństwa i tłamsił je, i gdzie każdy drżał o siebie, został zastąpiony ogromną masą konformistów i karierowiczów.

Rekonstytucja społeczeństwa cywilnego jest w Związku Radzieckim zadaniem o wiele trudniejszym niż w Niemczech z powodu czterdziestu czy pięćdziesięciu lat wojny, terroru, emigracji elit, z powodu nie ograniczonego charakteru terroru, z powodu trwałości monopolu politycznego. Jednak Gorbaczow zdaje się wnosić pewną ważną nowość. Nie dotyczy ona ideologii, lecz raczej wiary, mentalności, na której wspiera się aparat. Dając do zrozumienia, że pod wieloma względami ustrój poniósł klęskę, Gorbaczow może rozbić „zawrót głowy”, imperatyw ucieczki do przodu, obsesję „nie cofania się”, dogmat nieustających sukcesów, który był dynamicznym wektorem totalitaryzmu stalinowskiego, pseudoregulą aparatu bądź jednostki działających bez kontroli i nawet bez jakiegokolwiek widoczności.

Trajektoria dwóch głównych totalitaryzmów nie zawiera bynajmniej sugestii, że humanizm pozytywny, utopie zawierają w sobie pokusę praktyczną przerobienia ludzkości wedle ich wymagań. To co łączy totalitaryzm stalinowski i narodowo-socjalistyczny, to raczej odmowa dyskusji, odmowa różnic ideowych, czyli negacja idei żywej, której ideologia jest trupem<sup>21</sup>. W demokracji godzimy się, aby drugi ustanawiał dla nas prawa (pod warunkiem odwracalności relacji) o tyle tylko, o ile chociaż częściowo podziela nasze zdanie, naszą myśl. Relatywizacja tradycji stwarza między uczestnikami tej samej przestrzeni publicznej pewną formę wspólnoty: Republika Weimarska poniosła klęskę w swojej próbie ustanowienia tej przestrzeni debat, ponieważ historia i wstrząs wywołany Traktatem Wersalskim uczyniły społeczeństwo niemieckie opornym na prawomocność wartości uniwersalnych. Narodowy socjalizm wyrósł nie z naiwności, lecz z całkowitego braku złudzeń; w r. 1933 największe umysły zostały zafascynowane widowiskiem czynu wyzwolonego z konwencji moralnych. Logika stalinowska różni się od nihilizmu działania jako celu w sobie – przemocy w stanie czystym, jest bowiem logiką władzy rzucającej się w eskalację aktywizmu, gdzie nawet klęski mają

rolę stymulującą; sprawcy zamachu stanu, który wydał w ich ręce społeczeństwo w stanie dekompozycji, nauczyli się traktować ludność jako siłę roboczą, jako surowiec, na którym dokona się obłąkanego dzieła „przekucia”. I narodowy socjalizm, i komunizm zredukowały idee do kilku słów wygłaszanych rytualnie, ustanawiając dwie kultury władzy obywające się bez przekonania, z wyjątkiem jednego: nienawiści do wroga. W obu krajach społeczeństwa, które stały się przedmiotem totalitarnego zawłaszczenia, utraciły już poprzednio ramy polityczne i nie potrafiły wytwarzać własnej prawomocności.

Współcześnie nie ma innej gwarancji antytalitarnej niż społeczność zdolna do publicznych debat, czyli zjednoczona przez poczucie, że potrafi urzeczywistnić pewnego rodzaju sprawiedliwość. Dlatego nie można zaaprobować modnej formy nihilizmu, rezygnacji z wszelkiego sądu, obojętności wobec prawdy, z jakiej niektórzy chcą uczynić zasadę działania odpowiadającą erze straconych złudzeń. Ta sceptyczna i przykrótka wizja demokracji nie stanowi obrony przed totalitaryzmem, ponieważ nie sprzyja tworzeniu się przestrzeni publicznej. Dobry demokrat to nie ten, co nie ma żadnej idei dobra zbiorowego, lecz ten, kto pragnie, aby demokracja istniała, to znaczy, aby nie było wykluczonych. Przestrzeń debat nie jest zwykłą formą, zakłada wzajemne zaufanie, wspólny horyzont moralny, którego istotą jest zaangażowanie wszystkich na rzecz wysiłku, aby każdy mógł być rzeczywiście obywatelem. Nie wystarczy również zapobieganie najgorszemu przez odwołanie się do humanizmu negatywnego, który wskazuje na skrajne niebezpieczeństwa i, zrywając z arystokratyczną rezerwą, zdolny jest jedynie do wygłaszania ostrzeżeń. Dusza demokracji to wspólna wiara w sprawiedliwość. Walka z uczuciem opuszczenia, które rujnuje zaufanie do wspólnoty politycznej, zakłada obietnicę sprawiedliwości dla tych, którzy są z niej wykluczeni, przywrócenie im punktów orientacyjnych i szacunku do samych siebie.

Paul Tihbaud

Przełożyła Ewa Bienkowska

## PRZYPISY

<sup>1</sup> Claude Lefort, *Un homme en trop*, Seuil 1976, str. 203.

<sup>2</sup> Hannah Arendt, *Le système totalitaire*, Seuil 1972, str. 218.

<sup>3</sup> Czesław Miłosz, *Umysł zniewolony*, Instytut Literacki, Paryż 1953.

<sup>4</sup> Louis Dumont, „Choroba totalitarna”, in *Essays sur l'individualisme*, Seuil 1983, str. 150.

<sup>5</sup> Joseph Rovin, *Histoire de la social-démocratie allemande*, Seuil 1978, str. 32-33.

<sup>6</sup> Na ten temat można by mnożyć przykłady. Niechaj wystarczą dwa: Stałowa burza Jürgera i piękny szkic Antoine'a Prosta „Verdun”, *Les lieux de mémoire. II. La nation*, Gallimard 1986, pod redakcją Pierre'a Nora.

<sup>7</sup> Por. analiza Pierre Aycoberry, *La question nazie*, Seuil 1979, str. 186-191. Ta książka, zestawiająca całość interpretacji narodowego socjalizmu, stanowi podstawową dokumentację, nawet gdy nie zawsze można się zgodzić z ocenami autora.

<sup>8</sup> *A contrario* widać zasadniczą rolę w konsolidacji demokracji tradycjonalistów liberalnych (jak Chateaubriand, Tocqueville), którzy uznali, że świadomość każdej jednostki staje się strażniczką wartości ustanowionych wczoraj.

<sup>9</sup> Heidegger mówi o tym bez ogródek w tekście z r. 1935, gdzie niemniej oddaje hołd „prawdzie i wielkości ruchu narodowo-socjalistycznego” (*Einführung in die Metaphysik*). To samo przeciwstawienie u Benna w r. 1934 między „bufonami”, którzy zajęli pierwszy plan w hitlerowskiej polityce kulturalnej, a „prawdziwą odnową narodu niemieckiego” (*Doppelleben*).

<sup>10</sup> Christopher Browning, „Decyzja dotycząca ostatecznego rozwiązania”, in *L'Allemagne nazie et le génocide juif*, Gallimard - Seuil 1985, str. 211.

<sup>11</sup> Na podstawie pracy o SS historyka niemieckiego Hans Buckheima, analizowanej przez P. Aycoberry, *op. cit.*, str. 273-275.

<sup>12</sup> W istocie problem obojętności społeczeństwa niemieckiego w obliczu ludobójstwa jest o tyle palący, iż społeczeństwo to nie było w pełni opanowane przez partię hitlerowską. To samo pytanie dotyczy innych społeczności poddanych hitlerowcom.

<sup>13</sup> W epilogu do *Eichmanna w Jerozolimie*.

<sup>14</sup> „Zniesienie klas jest rezultatem długiej, trudnej i upartej walki klas, które nie znikła po obaleniu władzy Kapitału (jak sobie wyobrażały płaskie osobistości starego socjalizmu i starej socjaldemokracji), lecz zmienia formę, stając się jeszcze bardziej zawziętą pod wieloma względami” (Lenin, *Pozdrowienie dla robotników węgierskich*, *Prawda*, 29 maja 1919).

<sup>15</sup> Moshe Levin, *Le dernier combat de Léwina*, Minuit 1967 - znajdziemy tu staranną argumentację na rzecz tej tezy.

<sup>16</sup> Por. Martin Malia, *Comprendre la révolution russe*, Seuil 1980, str. 225.

<sup>17</sup> Por. Moshe Lewin, *La formation du système soviétique*, Gallimard 1987.

<sup>18</sup> Ruch związany z nazwiskiem Własowa (fenomen jedyny w swoim rodzaju) pozwała objąć konsekwencje tej „walki państwa z masami ludowymi” (M. Levin, *op. cit.*, str. 429), a zwłaszcza z chłopstwem.

<sup>19</sup> Można utrzymywać, że ta sprzeczność jest mniejsza w Związku Radzieckim niż gdzie indziej. To teza Zinowiewa, dla którego zbieżność między zgniecionym społeczeństwem, znającym tylko stosunki oparte na zawisci, oraz władzą, tłumiącą wszelką inicjatywę, jest cechą narodową, zgoła faktem natury. Ten nieufny bezwład jest stygmatem terroru, potężnego wstrząsu, o którym wciąż przypomina monopol polityczny, ale cecha ta nie wystarcza do scharakteryzowania społeczeństwa sowieckiego.

<sup>20</sup> Por. Paul Thibaud i Agnès Heller „Lumières sur Gorbatchev”, *Esprit*, październik 1987.

<sup>21</sup> Por. Cornelius Castoriadis, *Devant la guerre*, wyd. polskie: *W obliczu wojny, Aneks*, 1984; oraz komentarz Philippe'a Raynaud „Ideokracja czy stratokracja?” w *Les Interprétations du stalinisme*, PUF 1983.

NAKLADEM

ANEKSU

Markiz de Custine

## LISTY Z ROSJI

„Czytelnik przeciera oczy: oto jakiś markiz, syn Delfiny de Sabran, wyprzedził o wiek krytyków bolszewizmu... To właśnie jest tak niepojęte: w jaki sposób koszmarna wizja z roku 1839 stała się rzeczywistością w roku 1939?”

(ze wstępu).

Str. 210 + XIV

Cena: £ 5,00 – \$ 11,00

Piotr Wierzbicki

## STRUKTURA KLAMSTWA

*Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1986**Nagroda Niezależnych Dziennikarzy – książka roku 1986*

„Dość oceniania, wartościowania, moralizowania. Dość kazań, zrzędzeń i płaczów... Przyszedł czas na chłodny opis, na uchwycenie tego systemu kłamstwa w całości”.

Str. 172

Cena: £ 4,00 – \$ 10,00



François Bondy

## EUROPY ŚRODKOWE

16 stycznia 1988 roku odbyło się w paradnej auli uniwersytetu wiedeńskiego jedno z licznych spotkań poświęconych „Ideji Europy środkowej”. Organizatorami byli „Collegium Mitteleuropa”, wiedeńskie Towarzystwo Oświecenia Politycznego, ambasada RFN i Collegium Hungaricum. Przybył ambasador Szwajcarii. Nie było ani jednego Czecha i Słowaka, ani z kraju, ani z emigracji. Rozmawiano o „wielonarodowej, wielokulturowej, demokratycznej Europie środkowej”. Ubolewano nad tym, że zniknęła.

Czy taka Europa środkowa kiedykolwiek istniała? Austriacy myślą o monarchii habsburskiej, musilowskiej „Kakanii”. Otwartą od jakiegoś czasu dość szeroko granicę między Austrią i Węgrami gotowi są uznać za dobry znak, o ile nie pierwszy krok we właściwym kierunku. Zdaniem Freda Sinowatza – kanclerza Austrii – stosunki te były lepsze w połowie lat osiemdziesiątych aniżeli za czasów monarchii: „Istniejąca współpraca już wykracza poza ramy dozwolone naszą konstytucją. Nasze prowincje, którym właściwie nie wolno uprawiać polityki, utrzymują samodzielne stosunki ze swymi sąsiadami na Węgrzech”. Węgierski minister oświaty, Bela Köpeczi, oświadczył, że niezbędna jest tolerancja wobec rozmaitych koncepcji kultury europejskiej. Nową

węgierską procedurę wyborczą nazwał „mikrodemokracją”, tak jakby „mikro” było wyższym stopniem od „ludowa”.

Do tak rozumianej austriacko-węgierskiej Europy środkowej oba państwa niemieckie najwyraźniej nie należą. Peter Glotz, jeden z przywódców zachodniemieckich socjaldemokratów, zwrócił uwagę na rolę emigrantów z Europy wschodniej, którzy współkształtują świadomość europejską: „To też jest część Europy”. Jest to prawda, ale bardziej w przypadku Francji, gdzie żyje i działa więcej emigrantów z „drugiej Europy” aniżeli w Niemczech. W politycznych i intelektualnych dysputach Republiki Federalnej zwraca się uwagę na tych emigrantów mniejszą uwagę aniżeli w kosmopolitycznym Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. Jakikolwiek są tego przyczyny, Milan Kundera więcej znaczy we Francji, a Leszek Kołakowski w Anglii, aniżeli jakikolwiek przyszłysz ze Wschodu w RFN.

Pamięć Europy środkowej nie jest wolna od upiórów. Należą do nich uciekiermy z Niemiec po 1933 roku i z Austrii po 1938 r. (niewielu z nich wróciło, nawet spośród najwybitniejszych; w tej dziedzinie Austria zaniedbała szczególnie dużo i szczególnie gorliwie); należą do nich zgładzeni Żydzi, o których wielkim udziale w europejskim rozmachu twórczym pisał Milan Kundera. Czy można jednak twierdzić, że Żydzi byli bardziej ponadnarodowi, bardziej środkowoeuropejscy niż inni inteligenci? Z wyjątkowego charakteru prześladowań nie należy pochopnie wyprowadzać szczególnego typu umysłowości. Węgierscy i niemieccy Żydzi byli patriotami, czasem nawet nacjonalistami.

Fakt, że idea Europy środkowej odnosi się do przeszłości, nie znaczy, że nie ma przed sobą przyszłości – niejedna rewolucja uważała się za restaurację. Należy jednak uprzytomnić sobie że żalem, że pewne elementy są nieodwracalnie stracone.

Dla Polaków, Węgrów i kilku innych narodów pojęcie Europy środkowej kojarzy się ze zniesieniem bolesnej sprzeczności między oczywistą kulturalną przynależnością do Zachodu a narzuconym politycznym przypisaniem do Wschodu. Niemieckim marzy-

cielom o Europie środkowej, zarówno na prawicy, jak na lewicy, chodzi o coś wręcz przeciwnego: o zdystansowanie się od Zachodu, a zwłaszcza od Stanów Zjednoczonych.

Czy mieszkańcy Europy wschodniej i środkowej porozumieliby się dziś lepiej niż po upadku monarchii habsburskiej, gdyby wolno im było – tak jak członkom Wspólnoty Europejskiej – stowarzyszać się, to znaczy, gdyby mieli wystarczającą suwerenność, aby móc ją poświęcić dla szerszej wspólnoty? Mała Ententa, zrodzona ze zwycięstwa aliantów, nie była gotowa ani zdolna do położenia podwalin pod wspólnotę. Jej historycznie zrozumiałą i największą ambicją było stworzenie państw narodowych. Wchodzące w jej skład państwa nie były gotowe nawet do wzajemnego uprzywilejowania celnego, które proponował André Tardieu, nie mówiąc już o uznaniu Austrii i Węgier za ewentualnych partnerów.

### *Daremne próby*

W 1918 roku spotkali się w Waszyngtonie przedstawiciele czeskich, słowackich, polskich, ukraińskich i jugosłowiańskich organizacji, aby założyć Demokratyczną Unię Europy Środkowej. W rozmowach uczestniczyli dwaj późniejsi prezydenci: Masaryk i Paderewski. Jednak szybko wybuchł spór o granice (por. J. Dienstbier w *Lettre internationale*, Paryż, lato 1987). Dienstbier przypomina, że także po drugiej wojnie światowej, kiedy europejskie rządy na wygnaniu miały siedzibę w Londynie, opracowywano plany przyszłej federacji. Milan Hodža, wybitny polityk czechosłowacki, sporządził projekt, który uwzględniał Polskę, Czechosłowację, Austrię, Węgry, Rumunię, Bułgarię i Grecję. Sto milionów ludzi miało stworzyć między Niemcami i Rosją mocarstwo, zdolne oprzeć się naciskom molochów. Ten sen o potędze równieź nie trwał długo.

Peter Bender, autor poczytnej książki *Koniec wieku ideologii* (Berlin 1981), której centralna myśl – „europeizacja Europy” – wywarła spory wpływ na umysły w Niemczech Zachodnich, jest zdania, że wielkie mocarstwa mają skłonność do szaleństw, a rozważa jest przywilejem małych narodów. Milan Simečka, żyjący jako robotnik w Bratysławie (jego książka o nikłym oporze Cze-

chów po 1968 roku przetłumaczona została na razie tylko na francuski\*) powątpiewa w tę tezę, chociaż nie powołuje się na książkę Bendera: „Świat nie składa się z głupich wielkich mocarstw, które mogą robić wszystko, co chcą, i mądrych małych narodów, które nie mogą zrobić niczego”. Tragedia Europy Środkowej zaczęła się, zdaniem Simečki, bez udziału Wschodu. Simečka nie zgadza się ze swym osiadłym we Francji rodakiem, Kunderą, który przypisuje wszystkie nieszczęścia Europy Środkowej nieeuropejskiej Rosji i obojętności Zachodu: „Nasi własni ludzie, mieszkańcy Europy Środkowej, lekką ręką odzegnali się od naszej kultury w nadziei na wyższe stanowiska i pobory” (*Svedectvi*, nr 74, Paryż 1985). Historia Czechosłowacji jest już – zdaniem Simečki – od kilku dziesięcioleci „dość nieeuropejska”. „Może właśnie dlatego – pyta Simečka – odzwierciedla ona na wskroś europejskie problemy?”

Wielokrotnie zwracał uwagę na zbyt wąski punkt widzenia dziejopisarstwa narodowego i jego zgubne działanie Theodor Schieder (por. *Historische Zeitschrift* 184, 1975). W protokole kolokwium Towarzystwa Herdera zatytułowanym *Świadomość historyczna w Europie Środkowej* (wyd. Eugen Lemberg, Marburg an der Lahn 1961) widnieje zdanie Schiedera, jakoby wszelka narodowa myśl czerpała wzory zawsze z tego samego zasobu doświadczeń. W monarchii habsburskiej „narodowo” myśleli przeważnie Niemcy. „Niemiecka ludność Austrii nie sprostała zadaniu położenia trwałych fundamentów pod państwo ponadnarodowe. Uważała się albo za przywódców, za »spizową ostoję«, albo za cel swój uważała państwo narodowe, wciąż wytykając, jakby z zewnątrz, niedoskonałość monarchii”.

Kiedy monarchia habsburska upadła, narody, które ją tworzyły, w tym także niemieckie prowincje Austrii, zaczęły szukać innego dachu nad głową. Vorarlberg chciał się przyłączyć do Szwajcarii. Tyrol do Bawarii. Sama Austria pragnęła doszłusować do Niemiec, czego jej zabronili zwycięzcy.

Kiedyś, powiada się, istniała Europa Środkowa. Dlaczegoż nie miałyby istnieć dalej? Mając w pamięci rywalizujące ze sobą

\* Książka ta ukazała się po polsku – *Przywrócenie porządku*, Nowa – przyp. red.

narody i narodowości – np. Słowian i Włochów w Trieście – wypada wszak zapytać: do czego mielibyśmy wracać? Ktokolwiek czyta opisy monarchii naddunajskiej – chociażby w zbiorowej pracy *Monarchia habsburska 1948-1919*, wydanej przez Adama Wandruschke i Petera Urbanitscha (Wiedeń 1987) albo *la dissoluzione dell' Austria Ungheria* Leo Valianiego (Mediolan 1966), ten widzi, że c.k. monarchia zmierzała w ostatnich latach do rozpadu.

Mocarstwo, które wydało Metternicha, powierzyło politykę zagraniczną niejakiemu hrabiemu Berchtoldowi, dyletantowi, który tak dalece niczego nie rozumiał, że uznał pozytywną odpowiedź Serbii na wiedeńskie ultimatum za powód do wojny. Warsztwa wiedeńskich i budapeszteńskich przywódców politycznych była owocem selekcji negatywnej. Zaraza lęła się w centrum, jeszcze zanim oderwali się Czesi.

Dlaczego wielkoniemieccy historycy Austrii mieli większe wpływy aniżeli austriaccy legitymiści? Za Metternicha zwalczano równocześnie tendencje liberalne i prądy nacjonalistyczne, co je zbliżyło, ale od początku przeważał nacjonalizm wielkoniemiecki. Georg von Schönerer, czeski Niemiec, gardził liberalizmem. W roku 1878 rzucił hasło „Dalej od Wiednia!”, a 7 listopada 1906 r. wołał: „Niech żyją niemieccy Hohenzollernowie! Hurra!”. Także Victor Adler, który z czasem przekształcił się z herolda Wielkich Niemiec w socjaldemokratę – do czego niemało przyczynił się antysemityzm narodowców niemieckich – przestrzegał w czasach, kiedy był jeszcze blisko Schönerera, przed austriackim patriotyzmem.

### *Niemiecka Europa środkowa*

Monarchia habsburska parla w kierunku południowo-wschodnim. Z perspektywy niemieckiej Europa środkowa była – i wciąż jest – czym innym.

*Srodek leży na wschodzie. Niemcy, utracony wschód i Europa środkowa* (Berlin 1986) – tak brzmi tytuł cienkiej książeczki, której autor Karl Schlögel nbolewa nad nieodżałowanym ubytkiem wschodnich połaci i ustala, gdzie leży archimedesowy punkt, z którego można by przewyciężyć „wschodnio-zachodnie wspólnoty”.

ctwo we wzajemnym ograniczaniu się" i przeciwstawić się unicestwianiu Europy środkowej pod wschodnim panowaniem. Chodzi o wykorzenienie z naszych umysłów wszechwładnego rozumowania w kategoriach wschód-zachód, co pozwoliłoby przesunąć jednym ruchem cały obszar, „gdybyśmy pojęli, że myśl środkowoeuropejska nabrała wigoru w Europie środkowo-wschodniej: chodzi o to, byśmy myśleli barwami, tonami, szmerami, a nie systemami”.

Wiara Schlögl'a w Europę środkową „wymagającą przekształceń na Zachodzie i Wschodzie” i „zdolną do uporania się z nierozwiązanymi problemami i potencjałem wybuchowym, jakie nagromadziły państwa ponadnarodowe zachodniej i wschodniej półkuli”, idzie jeszcze dalej aniżeli György Konrad w swej książce *Antypolityka. Medytacje o Europie środkowej*. Niestety Schlögel jest źle poinformowany, kiedy ubolewa, że literacka Europa wschodnia jest „nieznanym lądem” na mapie Europy. Jest to może prawda w stosunku do republik nadbałtyckich, nie dotyczy jednak autorów ernerdowskich, węgierskich, polskich i innych. Wiemy o nich więcej aniżeli – z nielicznymi wyjątkami – o pisarzach skandynawskich.

Czy niemieckie ponowne odkrycie Europy środkowej musi się wiązać z dystansowaniem się od Zachodu? Karl Schlögel gani: „Myślimy transatlantycko, godzimy się na przepołowienie naszych sąsiadów i ich wiedzy o nas. Zadowolamy się tą przepołowioną prawdą, a może i półprawdą”. To mogło być słuszne w odniesieniu do pierwszej dekady po wojnie, ale do czasów współczesnych już nie stosuje się.

Richard Löwenthal podkreślał w roku 1964 – kiedy nie było to jeszcze w modzie – specyficzny, środkowoeuropejski charakter Niemiec (w *New York Times*). Witaił oznaki budzącego się znów zainteresowania Niemiec dla Europy środkowej i wschodniej. Ostrzegał jednak przed utożsamianiem tłumionego po wojnie poczucia środkowoeuropejskiej specyfiki z wyobcowaniem Niemiec z zachodniej wspólnoty cywilizacyjnej. Znacznie później, w 1984 roku, zwracał uwagę – mając zapewne na myśli pewien odłam partii socjaldemokratycznej, do której należy – że nie istnieje „kultura pośrednia” ani specjalna niszja Niemiec.

Niektórym niemieckim autorom termin „Europa środkowa” służy do wymazywania jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej

różnicy między demokracją a dyktaturami jednopartyjnymi. Świadczy o tym symptomatyczna i dlatego godna odnotowania książka *O neutralności Europy środkowej. Koniec bloków* Jochana Lösera i Ulriki Schilling (Monachium, 1984). Autorzy apelują do państw Europy środkowej obu systemów, aby się sfederowały. Związek Radziecki miałby w tej koncepcji zostać podzielony: na wschód od Uralu powstałoby odrębne państwo, a część europejską przyjęto by pod wspólny europejski dach.

Ta zaskakująca koncepcja nie odbiega od innych ważniejszych publikacji, które starają się przekonać rządzącą warstwę Związku Radzieckiego, na czym polega jej prawdziwy interes. Mianowicie na zlikwidowaniu podziału Niemiec.

Wolfgang Seiffert cierpliwie tłumaczy kierownictwu radzieckiemu w licznych artykułach i książce *Cale Niemcy. Perspektywy zjednoczenia* (Monachium 1986), jakie pożytki mogłoby odnieść ze zjednoczenia Niemiec. Jego interpretacja federalizmu jest specyficzna. Poszczególne prowincje (Landy) niemieckie zostałyby upoważnione do zawierania układów z państwami trzecimi. Seiffert najwyraźniej myli Republikę Federalną z luźną federacją republik.

Winę za podział Niemiec ponosi, jego zdaniem, Zachód, bo „Stany Zjednoczone, bojąc się utracić Niemcy na rzecz Związku Radzieckiego, wołały stworzyć przynależne do Zachodu okrojone państwo aniżeli szukać rozwiązań, biorących pod uwagę całe Niemcy”.

Tymczasem w poprzednim zdaniu trafnie zauważył, że alternatywą było panowanie ZSRR nad całymi Niemcami. Nie przeszkadza mu to następnie twierdzić, że nie związane z żadnym blokiem, w pełni środkowoeuropejskie Niemcy należałyby do zachodniej wspólnoty cywilizacyjnej, a zarazem nie stanowiłyby już zagrożenia dla Wschodu. Byłoby przeto korzystne dla ZSRR, by przyczynił się do restauracji samodzielnego państwa niemieckiego.

### *Rzut oka na Zachód*

Europejczycy żyjący pod radzieckim butem – a nikt nie wie, czy jego nacisk zmniejszy się wskutek reform – traktują Europę środ-

kową jako pomost na Zachód, a nie jako formację odrębną od Wschodu i Zachodu. W przeciwieństwie do niemieckiej koncepcji Europy środkowej, nie dostrzegają żadnej symetrii między protektoratami obu wielkich mocarstw. Uważają się za część świata zachodniego, która z powodu feralnego położenia geograficznego stała się politycznym i strategicznym elementem Wschodu. Oprócz zachodniej kultury chcieliby korzystać także z dobrodziejstw zachodniej gospodarki. W Polsce i na Węgrzech pojęcie gospodarki rynkowej – ba, wręcz kapitalizmu – nie jest już wyklęte. Polska utrzymuje rozgalązione stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, także ze względów etnicznych. Goście z Europy zachodniej oraz amerykańscy liberalowie stwierdzają z irytacją, że mieszkańcy Europy wschodniej pragną silnych Stanów Zjednoczonych. Hasło „i Wschód, i Zachód mają tak samo dość swoich protektorów” nie znajduje tu żadnego echa.

Zdarzało się po roku 1945, że szerokie warstwy zachodnich Europejczyków upatrywały w Związku Radzieckim wzór i nadzieję, podczas gdy dla Europy wschodniej ucieleśnieniem wszystkich marzeń i snów był Zachód. Promieniowanie Ameryki wciąż jeszcze nie ustało, podczas gdy siła przyciągająca ZSRR dawno już wygasła. Symetria między dwoma „niebezpiecznymi i uciążliwymi supermocarstwami” może być wygodną konstrukcją myślową; w rzeczywistości żadnej symetrii stwierdzić niepodobna.



Giselher Wirsing mówił w 1932 roku o „Międzyeuropie”. Jego zdaniem niemiecki przemysł i wschodnioeuropejskie rolnictwo uzupełniały się, a ponadto uważał Europę środkową za wal obronny przeciwko zachodniemu indywidualizmowi i rosyjskiemu socjalizmowi. Gospodarcza konieczność i duchowo-polityczna misja Europy środkowej miały być, jego zdaniem, czymś nadrzędnym wobec państw, stanowiących ten region (*Międzyeuropa a przyszłość*, Jena 1932). W systemie współpracy przyznawał państwom niegermańskim niższą pozycję. Podobnie Moeller van den Bruck, któremu marzyła się Europa środkowa, nie liberalna ani socjalistyczna, ale „solidarna”. W obu przypadkach Europa



środkowa jest zamkniętym, wydartym spod wpływów międzynarodowego kapitalizmu obszarem i syntezą wyższego rzędu.

Jacques Droz twierdzi w swej fundamentalnej książce *L'Europe Centrale. Evolution historique de l'idée de „Mitteleuropa”* (Paryż 1960), że Europa środkowa pozostanie rozbita na liberalne państwa wspólnoty europejskiej i demokracje ludowe, które – choć nie sfederowane – stosują pewien podział pracy i współpracy gospodarczej. Te właśnie czynniki, a nie pełne pietyzmu wspomnienia, zadecydują, zdaniem Droza, o losie tych państw.

Pierre Kende, który opuścił Węgry po listopadzie 1956 roku i wykladał w Paryżu ekonomię i nauki polityczne, wskazuje na pewne aspekty wschodnioeuropejskiego nacjonalizmu. Odróżnia jednak nacjonalizm ludowy od nacjonalizmu aparatu władzy. Jego zdaniem Europa środkowa nigdy nie była tak zbalcanizowana, jak po roku 1945. Jedyną próbę federacji podjął Tito, któremu Stalin i tak nie ufał. „Wschodnioeuropejscy przywódcy polityczni nigdy nie myśleli o tym, by się sfederować niezależnie od Moskwy. Jeśli zaś chodzi o narody, to znają się one słabo i poza oficjalnym marksizmem-leninizmem nie wiąże ich wspólna kultura. Każdy uważa się za lepszego od pozostałych. Typowy mieszkaniec Europy środkowej uważa obywatela kraju ościennego za człowieka, który wykupuje mu towar ze sklepów. Tylko krytyczni intelektualniści są wolni od tego szowinizmu bezsilnych i wiedzą, że stanowi on główną przeszkodę na drodze do wspólnego myślenia” (*Schweizer Monatshefte*, kwiecień 1988).

Jugosławia jest przypadkiem szczególnym (jeśli pominąć Albanie). Twardą rękę Tity zastąpił stan bliski anarchii ośmiu skłóconych partii komunistycznych i trudno się spodziewać zwrotu Jugosławii ku Europie środkowej. Najsprawniejsza gospodarczo republika słoweńska uważa się za część Europy środkowej. Serbowie i inni – nie. Między jugosłowiańską myślą państwową a rosnącym poczuciem narodowym poszczególnych narodów pozostaje niewiele miejsca na wykraczającą poza te oba horyzonty wizję Europy środkowej (por. Victor Meier, *Schweizer Monatshefte*, luty 1988).

Jedynymi heroldami koncepcji środkowoeuropejskiej są w Europie wschodniej „kosmopolityczni” intelektualniści o szerokim spojrzeniu. Patrząc z boku, można by sądzić, że rozbitcie wskutek

rywalizacji – i jego skutki – były straszną lekcją i że nie minęła ona bez śladu. Nabyta dzięki niej wiedza powinna była doprowadzić do nowego typu solidarności. Jak głęboko jednak wiedza ta zapadła w umysły narodów, o których tu mowa?

### *Poza nawiasem*

Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej otwiera wprawdzie – pisze Hugo Büttler („Mitteleuropa in Ostwest-Beziehungen”, *Analysen und Perspektiven*, Zurych 1985) – jakieś nadzieje na zniesienie rozłamu Europy, jednak konkretnie niewiele poprawiła stosunki w Europie środkowej. Mimo to KBWE jest jedyną instancją, która stawia na porządku dziennym zagadnienia dotyczące całej Europy. Do tego dochodzi pacyfistyczne hasło „środkowoeuropejskiej strefy pokoju” oraz apel Zielonych o „wolną od broni atomowej i niezależną od bloków strefę w Europie środkowej”. Środek usiłuje w ten sposób przekształcić się w peryferię strefy napięć – ujęty z dwóch stron w kleszcze, chciałby się znaleźć poza nawiasem.

Przebiegająca tam granica obu paktów i systemów jest rzeczywiście źródłem napięć, ale jest też rękojmnią pokoju. Rejony, w których Związek Radziecki i Stany Zjednoczone nie stoją bezpośrednio twarzą w twarz, takiej gwarancji nie mają. Do zbrojnych konfliktów dochodzi tam, gdzie wielkie mocarstwa – choć ich nie wywołują – nie stoją z założonymi rękami. W Europie każde przekroczenie granicy byłoby aktem wojennym o nieobliczalnych konsekwencjach. „Europa środkowa” poza blokami stałaby się strefą bez jasnych konturów i ataki na nią nie byłyby czymś tak groźnym. Neutralność obu republik alpejskich – Austrii i Szwajcarii – nie daje się przenieść na inne państwa. Neutralna strefa w Europie środkowej zmieniłaby powody napięcia na tym terenie, ale nie zmieniłaby faktu, że jest to teren napięć.

Często mówi się o Europie środkowej jako o wspólnotce kulturalnej. Uważa się ją też za wspólnotę bezpieczeństwa. Pierwsze jest domniemaniem, drugie – zadaniem. Na literackiej konferencji, zwołanej wiosną 1988 roku w Lizbonie przez „Wheatland Foundation” i wydawcę Weidenfelda, goście z Europy wschodniej podkreślali swoją środkowoeuropejską odrębność. Spotkało

się to z niezrozumieniem Rosjan, zarówno emigrantów, jak i przyjezdnych z ZSRR.

Warto na pewno zastanowić się nad wspólnotą kulturalną, nawet jeśli nie jest to koncepcja szczególnie inspirująca. Idea wspólnoty bezpieczeństwa jest trudniejsza do zrozumienia.

Działania Wspólnoty Gospodarczej dla zjednoczenia Europejczyków dotyczyły bezpośrednio tylko gospodarki. Nie jest wykluczone, że jedność gospodarcza jest mocniejszym impulsem aniżeli kultura, ale i ona nie prowadzi do wspólnoty politycznej. Ani kultura, ani gospodarka, ani bezpieczeństwo nie mogą stworzyć trwałej wspólnoty bez jasnej woli politycznej, bo tylko ona prowadzi do tworzenia nowych instytucji.

### *Cztery skryte marzenia*

Cztery wizje Europy środkowej są zarazem czterema skrytymi marzeniami. W jaki sposób miałyby uzupełniać się i współdziałać? Rehabilitacja zdeptanej przeszłości, potrzeba zrobienia czegoś nowego, opartego na przyzwoitej tradycji, nadzieja, że uda się przejść nad stereotypami i zastygłymi uprzedzeniami, będą sympatię. Jeśli jednak z analizy stosunku sił i rozmaitych punktów wyjścia „marzycieli o Europie środkowej” nie wyłania się żadna droga? Nadzieja na odbudowę samodzielnej, w istotnych punktach „zachodniej” Europy, obejmującej pod najróżniejszymi postaciami Europę środkową i wschodnią i wspierającą jej starania o samodzielność, wydaje się mimo całego sceptycyzmu, bardziej realistyczna aniżeli kraina czterech marzeń pozbawiona gruntu. Bolesna świadomość „drugiej Europy”, że została oddana pod wschodnie panowanie i we władanie narzuconego systemu, nie wystarcza do znalezienia drogi na wolność. Rozszerzająca się Wspólnota Europejska otwiera perspektywę. Zdana na siebie Europa środkowa nie może liczyć na żadne „Sezanie, otwórz się!”. Nadzieja nie opiera się na niczym poza majakami.

François Bondy

Z niemieckiego przełożyła Julia Juryś

Zygmunt Bauman

## RZECZ O NIEMORALNYM ROZUMIE I NIELOGICZNEJ MORALNOŚCI

(Przyczynek do dyskusji w *Tygodniku Powszechnym*)

Janina, moja żona, podsunęła następującymi słowy nauki, jakie wysnuła z lat getta, strachu i pogardy: „W czasie wojny dowiedziałam się prawdy, o której zazwyczaj staraliśmy się nie mówić. Najekrutniejsze w okrucieństwie jest to, że odzłowiecza ono swe ofiary zanim je unicestwia. Najciężej jest walczyć o to, by pozostać człowiekiem w nieludzkich warunkach”

Zdarzyło się w Sobiborze, że czteremnaście więźniów próbowało ucieczki. W ciągu paru godzin schwytano ich wszystkich i sprowadzono na plac obozowy, gdzie ustawiono już wszystkich pozostałych więźniów. Powiedziano im: „Kara za próbę ucieczki jest śmierć i za chwilę wszyscy umrzecie. Przedtem jednak każdy z was wybierze sobie towarzysza, który umrze razem z nim”. Odparli z oburzeniem: „Nigdy!” „Jeśli odmówicie – rzeki Komendant spokojnie – dokonam wyboru za was. Tyle, że ja wybiorę pięćdziesięciu, nie czteremnaście”. Komendant nie musiał dowodzić, że mówił na serio

W filmie Lanzmann'a *Shoah* uciekinier z Treblinki wspomina, że gdy napływ ludzkiego surowca dla komór gazowych malał, członków *Sonderkommando* pochabiano przydzielców żywnościowych. Skoro nie byli więcej potrzebni, groziła im ekstermina-

cja. Ich szanse przeżycia rosły natomiast raptownie, gdy nowe zgrupowania żydowskie zagarniano i ładowano do pociągów zmierzających do obozów zagłady.

W tym samym filmie, były członek *Sonderkommando*, a obecnie fryzjer tel-awiwski, opowiada jak goliąc głowy ofiar celem zebrania włosów dla niemieckich materaców, musiał pilnie trzymać język za zębami na temat tego, co miało nastąpić za chwilę i popędzać swych klientów, by wchodzili szybciej do budynku, który kazano im uważać za komunalną łaźnię.

W dyskusji zapoczątkowanej przez *Tygodnik Powszechny* Jerzy Jastrzębowski odtwarza opowiadanie jednego ze starszych członków rodziny. Z opowiadania wynika, że rodzina zaproponowała kryjówkę staremu przyjacielowi, Żydowi o aryjskim wyglądem, ale odmówiła przechowania jego siostr, których żydowskość małowala się na twarzy i których polszczyzna obciążona była wyraźnym żydowskim akcentem. Jastrzębowski dodaje od siebie, że gdyby rodzina zdecydowała inaczej, było dziewięć szans na jedną, że zginęliby wszyscy – ratowani i ratujący. A jednak, powiada Jastrzębowski, osoba, która opowiadała mu ten dramat rodzinny, powtarzając w kółko „Cóż mogliśmy uczynić, nic nie można było zrobić!” – nie patrzyła mu w oczy. Czula ona widać, że słuchacz dopatry się kłamstwa, choć wszystkie fakty były prawdziwe. To o *moralnej* odpowiedzialności tego typu, powiada Jastrzębowski, pisał Jan Błoński swój znakomity esej.

W odpowiedzi Władysławowi Sile-Nowickiemu, Kazimierz Dzięwanowski napisał: jeśli w naszym kraju, w naszej obecności, na naszych oczach zamordowano kilka milionów niewinnych ludzi, było to: darzenie tak przerażające, tragedia tak olbrzymia, że jest słuszne, ludzkie i zrozumiałe, iż ci, co przeżyli, nie mogą odzyskać spokoju. Nie sposób dowieść, że można było zrobić więcej, ale nie można też udowodnić, że nie można było więcej uczynić...

Jak powiada Władysław Baroszewski – ten tylko ma prawo rzec, że uczynił wszystko, co mógł, kto zapłacił śmiercią...

Najbardziej wstrząsającą z nauk płynących z filmu *Lanzinanna* jest racjonalność zła.

Godzina za godziną, wędruje po ekranie odarta z wszelkich złudzeń, odrażająca w swej nagości prawda: jak niewielu ludzi z

karabinami trzeba było, by wymordować miliony. Zadziwiające jak przerażeni byli ci nieliczni z karabinami. Jak świadomi kruchości swej przewagi nad ofiarami. Ich władza wspierała się tylko na wierze skazańców w prawdziwość świata, który ich oprawcy na użytek mordu wymyślili i którego niewzruszoność wszystkim wokół wtlaczali w głowy. W owym świecie posłuszeństwo było głosem rozsądku; rozsądek był posłuszeństwem. Racjonalność popłacała, przynajmniej na czas najbliższy – ale w owym świecie nie było innego, dłuższego czasu. Każdy krok na drodze do zagłady był troskliwie konstruowany z myślą o tym, by można było go „skatkułowac” z punktu widzenia zysków i strat. Świeże powietrze i muzyka zdawały się nagrodą za fetor i jęki wagonów bydłowych. Łaźnia, prawdziwa łaźnia z szatniami i fryzjerami, obiecywała wyzwolenie od wszy, brudu, zaduchu stłoczonych ciał. Racjonalnie myślący ludzie podążą zgodnie, posłusznie, radośnie do komory gazowej, jeśli tylko pozwoli się im wierzyć, że idą do łaźni.

Członkowie *Sonderkommando* wiedzieli dobrze, że najgroźniejszym przestępstwem, karalnym natychmiastową śmiercią, jest zdrada tajemnicy, iż rzekoma łaźnia jest w istocie komorą gazową. Przystępstwo nie byłoby aż tak straszne, a kara tak okrutna, gdyby ofiary gnane były na śmierć po prostu przez strach i samobójczą rezygnację. Aby wesprzeć swe panowanie na strachu, SS potrzebowałoby wszakże o wiele więcej wojska, broni i pieniędzy. Racjonalność była bardziej skuteczna, łatwiejsza do uzyskania i tańsza. By swe ofiary zniszczyć, esesowcy pielęgnowali więc starannie ich racjonalność.

Udzielając rok temu wywiadu dla telewizji brytyjskiej, wysoki funkcjonariusz południowo-afrykańskiego urzędu bezpieczeństwa wypuścił sztydło z worka: ANC (organizacja wyzwolenicza) jest naprawdę groźna nie przez akty sabotażu i terroru, jakie inicjuje – i to bez względu na owych aktów dramatyzm i koszty. Istotne niebezpieczeństwo na tym się zasadza, że ANC może zachęcić ludność do lekceważenia „prawa i porządku”. Jeśli to nastąpi, najlepszy wywiad i najsprawniejsze ekspedycje karne nie pomogą. Terror zachowuje skuteczność, jak długo balon rozsądku nie zostanie przekłuty. Najokrutniejszy i najkrwawszy władca musi więc być obrońcą rozsądku – lub przegrać. Musi on głośić chwałę

rozumnego postępowania, zachęcać do kalkulacji kosztów i zysków, bronić logiki przeciw emocjom i wartościom, które w sposób iście przecież irracjonalny, nie liczą kosztów i odmawiają posłuszeństwa logice.

Władcy mogą na ogół liczyć na to, że rozsądek znajdzie się po ich stronie. Władcy nazistowscy tak ustawili reguły gry, by rachunek szans przeżycia pozbawiał racjonalności wszelkie inne pobudki ludzkiego działania. W nierealnym i niehumanym świecie skonstruowanym przez nazistów rozum był wrogiem inoralności. Logika wymagała zgody na przestępstwo. Rozsądna obrona własnego życia domagała się niesprzeciwiania się zagładzie bliźniego. Racjonalność pchała ofiary do walki wzajemnej, pozbawiwszy ich wprzódę wspólnoty człowieczeństwa. Ta sama racjonalność rozgrzeszała ich z zarzutu niemoralności. Sprowadziwszy życie ludzkie do rachunku szans przeżycia, racjonalność ograbiła je z ludzkiej treści.

Panowanie nazistów skończyło się dawno, lecz jego zatrute dziedzictwo nie zginęło bynajmniej wraz ze światem, jaki stworzyli. To, że wciąż jeszcze nie potrafimy dojść do ładu ze wspomnieniem o Holocaustie, że nie możemy w pełni uzmysłowić sobie jego znaczenia, że nie umiemy zdemaskować do końca gigantycznego oszustwa o morderczych skutkach, że gotowi jesteśmy nadal uprawiać grę w historię posługując się znaczonymi kartami rozsądku głuchego na apele moralności, że przyzwalamy na postępowanie się autotypetem rachunku kosztów i zysków w polemice przeciw przykazaniom etycznym – wszystko to świadczy o spustoszeniu moralnym, jakie Holocaust pozostawił po sobie i jakie dalekie jest jeszcze od naprawienia.

Sila-Nowicki umieścił autorytet pędu samozachowawczego ponad sumieniem i poczuciem obowiązku moralnego. Wystarczy przystać na tę hierarchię, by okrucieństwu nie sposób było zapobiec, ludobójczych reżymów nie można było pokonać, zaś spustoszenie moralne należało być wybaczyć. Ciągnąc tę linię rozumowania do logicznego końca, Kazimierz Kąkol (w *Stolicy* z 22 marca 1987) zaprzeczył wręcz prawomocności sądu moralnego twierdząc, iż *względy etyczne nie dadzą się zastosować wobec obiektywnych warunków i czynników demograficznych* (opór i pomoc, pisał Kąkol, były ściśle związane z rozmiarami populacji; rozmiary miały znaczenie decydujące i nie trzeba Boga do tego,

by wiedzieć, że rozstrzygały one o rozmiarach pomocy...) Jak długo rozważamy sens Holocaustu w podobnych terminach, niewielka jest szansa na uwolnienie moralnego poczucia narodu od raka, jaki toczy je od czasu nazistowskiego mordu.

Argumenty Sily-Nowickiego rozminęły się całkiem z problemem, jaki podjął Błoński. Na traktat Błońskiego o moralnym znaczeniu Holocaustu Siła-Nowicki odpowiedział rozważaniami na temat racjonalizmu i sensowności postępowania powodowanego instynktem samozachowawczym. Czego Siła-Nowicki nie zauważył, to *sensu etycznego* tej formy, jaką ów skądinąd nienaganny logicznie racjonalizm przyjął (lub zmuszony został do przyjęcia). I nie zauważył on także, że ta właśnie okoliczność, iż udało się okupantom ustawić logikę przeżycia ponad wymogami obowiązku moralnego, była naraz tajemnicą sukcesu masowego mordu, najohydniejszym z odrażających aspektów zdarzenia zwanego *Holocaustem* i źródłem najjadowitszego z jego następstw.

Dwa lata mego wczesnego dzieciństwa minęły pod znakiem daremnych, choć wytrwałych wysiłków mojego Dziadka, by wprowadzić mnie do skarbcza mądrości biblijnych. Być może brakło mojemu Dziadkowi pedagogicznego talentu; być może wina tkwiła w mojej tępotcie i braku starania. Faktem jest, że z jego nie kończących się pouczeń niemal niczego nie zapamiętałem. Jedno wszakże opowiadanie wryło się głęboko w moją świadomość i chodziło za mną przez wiele lat. Mówiło ono o przygodzie, jaka przytrafiła się pewnemu świątobliwemu mędrce, gdy gdzieś wędrował, prowadząc osła obciążonego workami z jadem i napojami. Siedział mianowicie przy drodze wychudły żebrak, który poprosił go o coś do jedzenia. „Poczekaj chwilę”, rzekł mędrzec, „zaraz dostaniesz, niech tylko rozwiążę juki”. Mędrzec zwijał się jak mógł, ale zanim zdołał otworzyć worek z żywnością, długotrwały głód zrobił swoje i żebrak wydał ostatnie tchnienie. Widząc to, zrozpaczony mędrzec wznosił modły do Boga: „Ukarcz mnie, o Panie, jako że zaniedbałem bliźniego swego i nie zdołałem uratować go przed śmiercią!” Wstrząs i osłupienie, jakie wywołało we mnie to opowiadanie, jest bodaj jedynym co pozostało w mojej pamięci z nieustających kazań Dziadka. Historia zawarta w opowiadaniu klóciła się z logiką i rozsądkiem, jakie moi nauczyciele wpajali mi wtedy i przy każdej późniejszej okazji.



Nie mogłem zrozumieć, dlaczego bohater tej historii uchodził za mędrca i uczonego w piśmie. Odebrałem jego postępowanie jako nielogiczne (co było prawdą), i *przeto* nieślusne (co prawdą nie było). Trzeba było Holocaustu, by przekonać mnie, że to drugie bynajmniej nie wynika z tego pierwszego.

Jeśli idzie o meritum sprawy, argumenty Sily-Nowickiego mijają się kompletnie z tezą Błońskiego. Błoński powiada o wstydzie *moralnym* – nie o owym zawstyżeniu, jakie nasz racjonalny świat każe nam kojarzyć z nieosiągniętym celem czy mało wydajną pracą. Nikt nie kwestionuje w tym sporze gorliwości czy zapobiegliwości polskiego ruchu oporu. Nikt nie suponuje, że *praktycznie rzecz biorąc* można było dokonać o wiele więcej, niż się dokonało, nie narażając się przy tym na trudne do obliczenia koszty. Nie znaczy to jednak, że wyrzuty sumienia są nie na miejscu. Nie znaczy to także, iż wstyd przeżywany przez osobę o rozwiniętym poczuciu moralnym jest bezzasadny (nawet jeśli można *dowieść*, że wstyd ten jest *irracjonalny*). Na ten wstyd – znak rzeczywistego triumfu nad zgubnym moralnie dziedzictwem Holocaustu – najdrobiazgowsze i historycznie nienaganne kalkulacje ilości tych, co „mogli” i tych, co „nie mogli” pomóc, lub tych, którym „można” lub „nie można” było pomóc, nie mają najmniejszego wpływu.

Mówiąc ściśle, najbardziej wyrafinowane metody ilościowe służące badaniom „stanu faktycznego” nie przybliżą nas o krok do „obiektywnego” rozstrzygnięcia kwestii odpowiedzialności moralnej. Nie istnieje taka „metoda naukowa”, która pozwala zdecydować, czy sąsiedzi nie zdołali zapobiec wywózce żydowskich współmieszkańców do obozów zagłady dlatego, że Żydzi byli bierni i nieskłonni do oporu, czy też wywożeni Żydzi tak rzadko próbowali wymknąć się oprawcom dlatego, że wyczuwali niechęć bądź obojętność otoczenia. Podobnie, nie istnieje metoda naukowa, którą posłużyć by się można dla ustalenia, czy zamożni rezydenci warszawskiego getta mogli zrobić więcej dla ulżenia doli nędzarzy mrących jak muchy z głodu i chłodu, czy zasymilowani Żydzi niemieccy mogli się zbuntować przeciwko deportacji *Ostjuden*, lub czy Żydzi o obywatelstwie francuskim mogli sprzeciwić się łapanikom „niefrancuskich Żydów”. Co gorsza, próba posłużenia się rzekomą „metodą naukową” dla ferowania „obie-

ktywnych" wyroków w podobnych kwestiach i udawanie, że istnieje sposób „obiektywnej” kalkulacji zysków i kosztów – mogą osiągnąć jeden tylko efekt: mogą jedynie przesłonić, zamazać doszczętnie lub skazać na przemilczenie *moralną* istotę problemu.

Problem nie na tym polega, czy Polacy *powinni* się wstydzić, czy też przeciwnie, *powinni* być z siebie dumni. Problem zasadza się na czym innym zgola: na tym mianowicie, że tylko wyzwajające uczucie wstydu – odsłaniające na nowo sens moralny wspólnego doświadczenia historycznego – może (być może, jak chciałoby się wierzyć, raz na zawsze) wyegzorcyzmować upiorne wspomnienie upodlenia przez tyranję. Straszy ów upiór na obszarze stosunków polsko-żydowskich, ale przecież nawiedzona jest też przezeń po dziś dzień samoświadomość etyczna zarówno Polaków, jak i Żydów. Wybierać przychodzi nie między wstydem a dumą. Mamy do wyboru między dumą moralnie oczyszczającego wstydu, a wstydem moralnie unicestwionej dumy.

Silę-Nowickiego (człowieka, jak wiadomo, o standardach etycznych najwyższego rzędu) powstrzymuje być może przed uznaniem moralnej potrzeby wstydu przekonanie o tym, że miast uszlachetniać i oczyszczać, wstyd sugeruje obecność jakiejś postaci „winy materialnej”. Że równa się wstyd przyznaniu do popełnienia grzesznego uczynku, lub – gorzej jeszcze – że uwłacza on godności i dobremu imieniu narodu, jako iż dowodzi istnienia przykrej, być może nawet niegodziwej i hańbiącej, cechy w charakterze narodowym. Jeśli takie właśnie jest przekonanie, jest ono błędne. To nieludzki świat, spreparowany przez ludobójczą przemoc, odczłowieczył swoje ofiary, popychając je do użycia logiki popędu samozachowawczego jako usprawiedliwienia dla zobojętnienia moralnego i paraliżu woli. Nikogo nie można obciążać winą za to, że załamał się pod tak okrutnym naciskiem. Ale nikt nie jest zwolniony od obowiązku samopotępienia za owo załamanie. Tylko wówczas, gdy wspomnienie załamania, miast truć sumienie, wytryśnie na powierzchnię w moralnie odradzającym uczuciu wstydu, zawałą się mury etycznego więzienia wciąż jeszcze nienaruszone na tyle lat po przepędzeniu tych, co to więzienie budowali.

Holocaust nie dowiódł niczego poza dehumanizującym potencjałem tyranii. Zadaniem na dziś jest unicestwienie innego potencjału tyranii: jej mocy pośmiertnej, która zapobiega usunięciu jej moralnych następstw na długo po jej własnym upadku.

Nie wiem, jak zachowałbym się, gdyby niezваны mi człowiek zapukał do moich drzwi prosząc, bym ryzykował życie własne i mojej rodziny dla ratowania jego życia. Bóg zaoszczędził mi takiej próby. Jestem wszakże pewien, że gdybym odmówił schronienia, potrafiłbym znakomicie usprawiedliwić się przed sobą i każdym, kto gotów byłby słuchać moich tłumaczeń, wskazując na to, że odmówienie pomocy było decyzją skończoną racjonalną, zważywszy liczbę istnień ludzkich, jakie mogły być zagrożone dla ratowania jednego tylko człowieka... Jestem też pewien, że w trakcie dowodzenia logiczności swego postępków, piekło by mnie owo nierozsądne, nielogiczne, irracjonalne uczucie, jakie nazywamy *wstydem*. Najbardziej zaś pewien jestem tego, że gdyby nie ów wstyd, dźwięk zatraskiwanych drzwi przesładowałby mnie i zatruwał moralnie do końca moich dni.

Nie ma już problemu żydowskiego w Polsce. Więc o co się sprzeczamy? – pyta Leszek Tomaszewski w jednym z licznych przyczynków do dyskusji, które rychło rozsadziły ramy wyznaczone przez jej inicjatorów (por. *Przegląd Tygodniowy*, nr 17 z 1987 r.). O interpretację wypadków, które należą już do zamierchłej przeszłości?

Nie, nie o to się sprzeczamy. Sprawa ludzkich reakcji na Holocaust nie należy do przeszłości i jej waga jest nieporównanie większa od innych, jakkolwiek doniosłych, przedmiotów badań zawodowych historyków. Dotyczy ona tego, jak *żyjemy dziś i jak żyć będziemy jutro*. Dotyczy ona nas: Polaków, Żydów czy po prostu ludzi – bez względu na to, czy byliśmy ofiarami Holocaustu, jego świadkami, czy też wypadło nam po prostu żyć w latach, jakie po nim nastąpiły.

Znaczenie dyskusji zapoczątkowanej przez *Tygodnik Powszechny* sięga także daleko poza lokalny problem nie zsumowanych i nie splecionych rzekomo rachunków, wzajemnej niechęci i podejrzliwości między dwoma narodami. Dyskusja ta, to prawda, dotyczy przyszłych stosunków między Polakami a Żydami (a już szczególnie polskich Żydów czy też żydowskich Polaków), ale

dotyczy też ona spraw, które – nie uwłaczając bynajmniej wadze spraw przed chwilą wymienionych – muszą być uznane za nieporównanie bardziej podstawowe.

Z roku na rok kurczą się lata zagłady i pogardy do rozmiarów epizodu historycznego i odpływają w coraz odleglejszą przeszłość. Waga pamięci o tych latach coraz mniej polega na tym, by ukarać pozostałych jeszcze przy życiu sprawców, bądź ogólnie biorąc zamknąć otwarte jeszcze rachunki. Zbrodniarze, którzy wymknęli się sprawiedliwości, są dziś starcami z zaawansowaną sklerozą; podobnie większość pozostałych przy życiu ofiar ich zbrodni. Jeśli nawet ten lub ów dotąd nie schwytyany morderca zostanie wyśledzony w jego kryjówce i sprowadzony przed sąd, coraz trudniej będzie zrównoważyć ogrom jego zbrodni powagą i majestatem wymiaru sprawiedliwości (jak dowiodły ostatnio żenujące doświadczenia procesów Barbiego i Demianiuka). Coraz mniej także pozostało ludzi, którzy w latach komór gazowych byli na tyle dorośli, by decydować o otwarciu lub zatrzaśnięciu drzwi. Gdyby chęć odpłaty za zbrodnie, splacenia krzywd osobistych i załatwienia porachunków wyczerpywała znaczenie pamięci o latach zagłady – można by spokojnie powierzyć cały epizod zawodowej pieczy historyków. Prawdą jest jednakże, że załatwienie porachunków zawsze było jednym tylko z powodów, dla których należało zachować Holocaust w pamięci społecznej na wieki – to jedynym z *poniejszych powodów*. Nigdy fakt ten nie był tak oczywisty jak jest dzisiaj, gdy ów powód traci w oczach resztki praktycznego znaczenia.

Holocaust nie jest już dziś własnością prywatną (jeśli był nią kłedykołwiek). Nie należy on do jego sprawców jako dokonanie, za które mają być pociągnięci do odpowiedzialności. Nie należy do ofiar jako podstawa do domagania się *dzisiaj* szczególnej sympatii czy pobłażliwości dla zrekompensowania *wczorajszych* cierpień. Nie należy on również do świadków jako bodziec do ubiegania się o rozgrzeszenie i świadectwo niewinności. *Dzisiejsze znaczenie Holocaustu polega na nauce, jaką zawiera on dla całości rodzaju ludzkiego*. I cokolwiek byśmy na ten temat nie sądzili i nie mówili, my – Polacy i Żydzi – zostaliśmy razem i w sposób nierozłączny obsadzeni w roli strażników, interpretatorów i apostołów tej nauki. Jest naszym wspólnym obowiązkiem dbać o to, by

nauka ta nie została zagubiona, by się ją głośno i by się jej słuchało; a nade wszystko – by się ją pamiętało.

Pierwszą z nauk Holocaustu jest łatwość, z jaką większość ludzi, znalazłszy się w sytuacji pozbawionej dobrego wyboru, lub czyniącej dobry wybór nader kosztownym, sięga po argumenty usprawiedliwiające odrzucenie obowiązku moralnego na rzecz „nakazów rozumu”. *W systemie, w którym etyka i rozsądek nakazują postęпки wzajem sprzeczne, człowieczeństwo pierwsze pada ofiarą.* Zło czynić może swą brudną robotę licząc na to, że większość ludzi w większości wypadków zaniecha nierozważnych, ryzykownych czynów – a sprzeciwianie się złu jest rzeczą nierozważną i ryzykowną. Zło nie potrzebuje entuzjazmu zwolenników czy oklasków widowni. Wystarczy mu instynkt samozachowawczy tych, co paść mają ofiarą, i tych, co się mu w przerażeniu przyglądają – i gorliwość, z jaką jedni i drudzy skłonni są się pocieszać: moja kolejka jeszcze nie nadeszła; jeśli będę siedział cicho, może mnie i ominie...

Płynię z doświadczeń Holocaustu inna jeszcze nauka, o nie mniejszej wadze. Jeśli pierwsza zawierała otrzeźwienie, druga niesie nadzieję. To właśnie ta druga czyni pierwszą wartą powtarzania. Druga nauka powiada, że wynoszenie logiki samozachowawczej ponad obowiązek moralny nie jest bynajmniej decyzją konieczną, nie do uniknięcia i nieodwracalną. Nieważne jest, że większość ludzi podjęła tę decyzję; ważne jest to, że *niektórzy odmówili jej podjęcia. Zło nie jest wszechpotężne. Można mu się przeciwstawić.* Świadectwo owej mniejszości, która mu się sprzeciwiła, rozsądza autorytet logiki samozachowawczej. Ukazuje ono, że koniec końców jest ta logika jeno *sprawą decyzji i wyboru.* Warto się zastanowić nad tym, jak wielu ludzi musi rzucić wyzwanie owej logice, aby Zło zostało sparaliżowane? Czy istnieje i gdzie się znajduje ow magiczny próg ilościowy, za którym z pozoru wszechmocna technologia zła ujawnia swą bezsilność?

Jest wreszcie i trzecia lekcja, ujaskrawiona dobitnie przez niektóre wypowiedzi wokół dyskusji *Tygodnika Powszechnego*, że *rozbrojenie moralne spowodowane przez rządy zła trwa dłużej niż panowanie reżymu, jaki je zrodził.* Więźniowie decyzji, jakie sami w przeszłości podjęli, wzdragając się przed przyznaniem, że przeszłość była niczym więcej niż zbiorem takich właśnie decyzji,

podtrzymują mit o niezwykłoności zła przez sugerowanie logiki „obiektywnej konieczności”, jakiej mit ów nigdy przecież nie posiadał. Dowiadujemy się więc, że Żydzi ginęli masowo, *ponieważ* byli bierni, wyobcowani lub po prostu zbyt liczni; że ich nieżydowscy sąsiedzi nie zdołali uratować więcej spośród nich, *ponieważ* grożono im śmiercią i *ponieważ* ich samych czekał podobny los w przyszłości; że jeśli nieżydowscy rodacy nie współczuli prowadzonym na rzeź Żydom, to działo się tak, *ponieważ* Żydzi sami się wyobcowali, odseparowali kulturalnie, konkurowali z Polakami dbając jedynie o interesy własnej gminy. Im gorliwsze są poszukiwania „przyczyn obiektywnych”, tym bardziej sprawy masowego mordu i agenci zła radują się w swych grobach. Odziane w szatę konieczności historycznej, ich osiągnięcia są bezpieczne.

Zgłębienie nauk Holocaustu jest istotnie niezbędne, jeśli pragnie się zdemontować niektóre przynajmniej z bloków psychicznych, jakie przeszkadzają dojściu do ładu ze wspólną przeszłością i uwolnieniu stosunków polsko-żydowskich od pokładu wzajemnych pretensji, skarg i nieufności. Jest ono jednak bardziej jeszcze niezbędne, jeśli pragnie się obnażyć do końca perfidię Zła - które przecież, jak wiemy aż nadto dobrze, nie zmarło wraz z architektami i wykonawcami *Endlösung*. Musimy wiedzieć, jak rozpoznać Zło, gdy się zbliża i jak zatrzymać je. I jak je obezwładnić, gdy się go zatrzymać nie uda.

Zygmunt Bauman

Jerzy Lisiecki

## KTO PŁACI I CO DOSTAJE W ZAMIAN?

czyli

o kilku osobliwościach stosunków finansowych  
RFN-NRD\*

Czy obywatele NRD są rzeczywiście bardziej wydajni ekonomicznie od mieszkańców innych krajów bloku wschodniego, czy też wyższy standard życia zawdzięczają w przeważającej mierze pomocy finansowej i rzeczowej płynącej nieprzerwanym strumieniem z RFN?

Czy pomoc RFN nie stabilizuje NRD, dzięki czemu rząd nie czuje się zmuszony do reformowania gospodarki, jak ma to chociażby miejsce w innych krajach bloku wschodniego?

Ostatecznej odpowiedzi na te pytania nie daje. Jeśli jednak czytelnik zyska ogólne wyobrażenie o strumieniu pomocy płynącej z Niemiec Zachodnich do NRD, to cel artykułu zostanie osiągnięty.

### *1. Gdzie są dane statystyczne?*

Autostrada Berlin-Firschberg w NRD jest ważną arterią. Przechodzi przez nią prawie jedna czwarta ruchu tranzytowego z Nie-

\* Dziękuję prof. Włodzimierzowi Brusowi za historyczne przejrzenie pominiętego artykułu, choć za wszystkie błędy i trzy odpowiedzi, oczywiście, ja sam

miec Zachodnich do Berlina, czyli dwa miliony pojazdów rocznie. Podróżny korzystający ostatnio z tego połączenia musiał na odcinku 46 km zwalniać szybkość. Na takim odcinku prowadzone były przez dwa lata gruntowne roboty drogowe.

Remont nawierzchni przeprowadzany był też przed przejściem granicznym do Bawarii na rzece Saali (Saale). Uważny podróżny na niektórych maszynach drogowych dojrzałby zachodnioniemieckie numery rejestracyjne.

Maszyny te należą po prostu do zachodnioniemieckiej firmy. Obsługują je mieszkańcy RFN, a praca wykonywana jest na koszt i zlecenie zachodnioniemieckiego Ministerstwa Transportu.

W oficjalnym dokumencie rządu zachodnioniemieckiego na temat prac przy autostradzie Berlin-Hirschberg fakt ten jest opisany w następujący sposób<sup>1</sup>:

„Republika Federalna Niemiec zobowiązuje się partycypować w kosztach renowacji połączenia tranzytowego sumą 148 mln marek zachodnioniemieckich<sup>2</sup>. Prace przeprowadzone mają być przez NRD (...). W pertraktacjach [z NRD - J.L.] udało się osiągnąć porozumienie co do tego, że gruntowna renowacja nawierzchni mostu na Saali, który w przeważającej mierze znajduje się na terytorium NRD, będzie przeprowadzona przez firmy z Republiki Federalnej”.

W sumie za wspomniane prace naprawcze (nie licząc naprawy mostu na Saali) rząd RFN zobowiązał się wypłacić rządowi NRD 148 mln marek. Nie przeszkodził temu fakt, że – jak podano w pierwszym dokumencie – strona zachodnia pozostaje przy żądaniu, aby:

„NRD według swoich zobowiązań zawartych w Porozumieniu o Ruchu Tranzytowym utrzymywała połączenia tranzytowe w dobrym stanie na własny koszt”

Rachunek nie wyrównuje również fakt, że w związku z robotami NRD zobowiązała się ustnie do zakupu w RFN maszyn budowlanych na sumę 30 mln marek.

Przykład naprawy autostrady tranzytowej jest drobną częścią olbrzymich płatności RFN dla NRD. Są pewne przesłanki świadczące o tym, że nawet rząd RFN nie traktuje tych płatności jako cenę za normalne usługi w stosunkach międzypaństwowych.



Spróbujmy odnaleźć te dane dotyczące powyższego przykładu<sup>3</sup> w statystykach RFN.

Kontakty finansowe pomiędzy dwoma krajami odnotowywane są w czterech bilansach:

1. bilans wymiany handlowej,
2. bilans wymiany usług,
3. bilans przekazów,
4. bilans przepływów kapitałowych.

Suma poszczególnych bilansów nazywana jest bilansem płatności. Bilans taki dla niemiecko-niemieckich stosunków finansowych nie istnieje.

1. Bilans wymiany handlowej zawiera wykaz płatności związanych z eksportem i importem towarów. W bilansie tym – biorąc pod uwagę nasz przykład – odnotowane zostaną tylko zwiększone o 30 mln (maszyny drogowe) zakupy NRD. Nigdzie natomiast nie będzie wskazane, że wzrost ten jest bezpośrednio związany z płatnością 148 mln przez RFN.

2. Bilans wymiany usług obejmuje opłaty za przewóz towarów, odsetki za kredyty, koszty patentów, licencji i reperacji, jak też i dwa przypadki szczególne<sup>4</sup>: jednostronny ryczałt poczty RFN i płatności senatu berlińskiego za różne usługi, głównie usuwanie śmieci. Płatności za naprawę dróg nie są też i w tym bilansie wyszczególnione.

3. Bilans przekazów dla obu państw niemieckich nie istnieje. Mówi się natomiast o „pozakomercyjnym przepływie dewizowym z RFN do NRD”, „innych powiązaniach gospodarczych”, „płatnościach Niemiec Zachodnich dla NRD”, lub „wpływach dewizowych NRD”. Są to wszystko kategorie nieściśle i w zależności od autora obejmują różne pozycje.

4. Bilans przepływów kapitałowych w zachodnioniemieckiej statystyce stosunków handlowych nie jest uwzględniony. Choć od 1974 roku obywatelom NRD wolno jest otrzymywać dewizy, to do chwili obecnej nie wolno posiadać inn kont dewizowych. Podarunki dewizowe (przekazywane tylko osobiście) nie są więc nigdzie rejestrowane.

Z powyższego wyszczególnienia widać wyraźnie, że strumienie finansowe pomiędzy obu państwami niemieckimi (nie licząc handlu) są tylko w minimalnym stopniu uwzględnione w bilansach płatności.

## II. Transfery

Spróbujmy posłużyć się więc innym zestawieniem. Opiera się ono na pomysłach opisanym transakcji finansowych, które w takiej formie lub wysokości charakterystyczne są tylko dla stosunków RFN-NRD i nie widzimy ich w stosunkach np. pomiędzy RFN i CSRS lub RFN i Polską.

Z jednej strony prześledzimy więc, kto jest płatnikiem lub ofiarodawcą. Czy jest to rząd RFN, rząd kraju związkowego, zarząd państwowej poczty, firma częściowo należąca do państwa, czy też osoby prywatne. Z drugiej strony zwrócimy uwagę na odbiorcę. Może to być bezpośrednio rząd lub osoby prywatne w NRD. Sumy lub dobra dla osób prywatnych mogą być przekazywane z kolei za pośrednictwem instytucji państwowych lub też bezpośrednio.

### 1) Przekazy „rząd (RFN)-rząd (NRD)”

a) Największą pozycją w tym zestawieniu są bezsprzecznie bezpośrednio przekazy rządu RFN dla rządu NRD; w tym ryczałt RFN za używanie połączeń tranzytowych do Berlina Zachodniego. Zaskakujący jest jego wyjątkowy w ostatnich latach wzrost z 180 mln marek (średnio w pierwszej połowie lat 70-ych) do 860 mln (1988)<sup>5</sup>. Nawet gdy weźmiemy pod uwagę skokowy wzrost ruchu tranzytowego do Berlina<sup>6</sup>, to sumy wypłacane z tego tytułu budzą zdziwienie. W tegorocznym porozumieniu rząd RFN zobowiązał się wypłacać taką sumę (860 mln) co roku w ciągu całej następnej dekady.

Do tego trzeba dodać też ostatnio podniesione opłaty za używanie dróg przez osoby odwiedzające NRD lub inne kraje bloku wschodniego. Od roku 1980 rząd płacił z tego tytułu ryczałt w wysokości 50 mln marek rocznie<sup>7</sup>.

Oceniając ten transfer zachodni niemiecka gazeta ekonomiczna *Handelsblatt* mówi ogólnikowo o ponad miliardowych płatnościach RFN rocznie tylko z racji tych dwóch pozycji<sup>8</sup>.

b) Drugim najpoważniejszym punktem (nie licząc preferencji w handlu) jest udział RFN w kosztach inwestycji związanych z usprawnieniem połączeń z Berlinem Zachodnim. Płatności takie zaczęły się dopiero 1976 roku. Obejmują olbrzymie sumy, rozlo-

żone przeważnie na raty. Redaktor hamburskiego tygodnika *Die Zeit*, Nawrocki, wymienia tu przykładowo budowę autostrady Berlin-Hamburg z zachodnioniemieckim udziałem w wysokości 1,4 mld marek (z tego 1 miliard płatne w 1986 r.); remont autostrady Berlin-Helmstedt za 262 mln; remont autostrady Berlin-Hirschberg za 148 mln; remonty w okręgu Waitha-Eisenach za 268 mln; inwestycje kolejowe za 150 mln; przeprowadzenie kabla z włókien szklanych i zbudowanie radiowej stacji kierunkowej (Glasfaserkabel, Richtfunkestrecke) za 40 mln.

W sumie inwestycje takie kosztowały RFN od 1976 r. średnio co najmniej ćwierć miliarda marek rocznie<sup>9</sup>.

c) Dla pełnego obrazu trzeba tu jeszcze wspomnieć o pewnych drobnych sumach płaconych rządowi NRD ryczałtem, jak np. częściowa opłata wizowa. Sumy te wyniosły w latach 1971-1983 średnio ponad 30 mln marek rocznie<sup>10</sup>. Bardzo prawdopodobny jest już w bliskiej przyszłości dalszy wzrost płatności na udoskonalenie połączeń tranzytowych.

Redaktor *Hanbdeksblatt*, pani Mayer-Koester, odkrywając strategię NRD w sprawie postanowionej już budowy nowej linii kolejowej Berlin-Hannover, stwierdza<sup>11</sup>:

„Dłaczego zadłużać się na rozbudowę połączenia kolejowego Berlin-Hannover, kiedy druga część Niemiec i tak to sfinansuje, jeśli tylko będzie odpowiednio zainteresowana. Rozbudowa autostrad tranzytowych, finansowana za stracone pieniądze z budżetu federalnego, jest tu dobrym przykładem.

Gdyby chciało się zmodernizować istniejącą trasę, żeby jako tako odpowiadała dzisiejszym wymogom, koszt wyniósłby półtora miliarda marek. Budując nową trasę, koszt będzie co najmniej dwa razy taki”.

d) Nowa jakość w płatnościach RFN wydaje się rysować jednak dopiero wraz z uznaniem problemu zanieczyszczenia środowiska naturalnego w NRD za problem ogólnoniemiecki. Pomysłodawcom doprawdy nie zbywa tu na inwencji. Począwszy od propozycji finansowania poszczególnych urządzeń odsiarczających dla wschodnioniemieckich fabryk, aż po ogólną modernizację przemysłu bratniego kraju.

Mówiąc o najbardziej palących problemach ochrony środowiska, wymienia się za każdym razem program odsiarczania NRD-

owskich elektrowni (pracujących w przeważającej części na węglu brunatnym), odsolenie Wery i ochronę wód Łaby.

Największy zachodni instytut naukowy zajmujący się gospodarką Niemiec Wschodnich, wspomniany już Niemiecki Instytut Badań Gospodarczych (DIW), wystąpił ostatnio z propozycją modernizacji NRD-owskich elektrowni wykorzystujących węgiel brunatny. Oceniany koszt tego przedsięwzięcia: 6 miliardów marek<sup>12</sup>. Przy dokładnej ocenie zanieczyszczenia środowiska w NRD przeprowadzonej w ramach badań tego instytutu zastanawia dość arbitralne stwierdzenie, że „przy obecnym stanie techniki połowa wspomnianych kosztów może być poniesiona przez NRD”<sup>13</sup>.

Wynika z tego (co w innym miejscu stwierdza się bardziej *expli-cite*<sup>14</sup>, że druga połowa kosztów ma być pokryta z budżetu RFN.

Jak daleko zachodnie płatności przestały być tematem tabu, świadczy choćby propozycja zachodnioniemieckiego ministra gospodarki, Bangemanna<sup>15</sup>, aby „dać NRD bezpłatną pomoc na ochronę środowiska”. Pierwsze inwestycje zachodnie zostały już podjęte<sup>16</sup>.

Dla porównania spójrzmy na rozmowy dotyczące ochrony środowiska pomiędzy RFN i Czechosłowacją. Temat został podjęty np. w czasie wizyty kanclerza Kohla w CSRS na początku 1988 roku. Główny ciężar rozmów spoczywał na zainteresowanych w eksporcie prywatnych firmach niemieckich. Podobnie jak i w przypadku NRD, wąskim gardłem jest problem finansowania urządzeń odsiarczających. Choć zapotrzebowanie Czechosłowacji na owe urządzenia szacuje się na około miliarda marek, rozmowy dotyczą tylko drobnego procenta tej sumy. Jak píše *Handelsblatt*, rząd RFN rozważa jedynie udzielenie kredytów na trochę lepszych warunkach niż te, które można uzyskać na wolnym rynku<sup>17</sup>.

e) Zupełnie innym przykładem przepływów finansowych, nie wymienianych jednak wstydliwie w tym kontekście, jest wykupywanie więźniów politycznych z NRD. Transakcje te<sup>18</sup> widywane są jako jedno z najbardziej stabilnych ogniw w stosunkach Wschód-Zachód. W sumie od 1963 roku, czyli od rozpoczęcia tej praktyki, wykupionych zostało 28 tysięcy więźniów politycznych z NRD. Od czasu, kiedy w 1963 roku zapłacono 360 tysięcy marek za ośmiu więźniów, cena za osobę ustabilizowała się na poziomie

90-100 tysięcy marek. Średnio wykupuje się około 1500 więźniów rocznie, co wskazywałoby na 150 mln marek rocznego transferu.

Niezależnie od wykupu więźniów rząd RFN płaci za te osoby, którym władze w NRD pozwoliły legalnie przesiedlić się do RFN. Za „nos”, jak określa się takiego przesiedleńca w żargonie urzędników zachodnioniemieckich, płaci się średnio około 30 tysięcy marek<sup>19</sup>. Bezpłatnie granicę przekraczają tylko więźniowie wyrzucani wbrew swej woli (jak ostatnio Stephan Krawczyk i Ralf Hirsch) i rodzice lub dzieci osób już zamieszkałych na Zachodzie. Nawet więźniowie polityczni amnestionowani rok wcześniej wye-migrować mogli tylko w ramach wykupu.

W budżecie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych niemieckich pieniądze te zapisywane są w dziale „Popieranie szczególnej pomocy o ogólnoniemieckim charakterze”. W „normalnym” roku 1988, jeśli chodzi o wykup więźniów, wyszczególniona w tej rubryce suma opiewała na 320 mln marek. W latach 1985 i 1986 każdorazowo przesiedliło się około 20 tysięcy osób; w 1984 liczbą 35 tysięcy został osiągnięty dotychczasowy rekord<sup>20</sup>. Do listopada 1988 roku liczba ta wyniosła 25 tysięcy, podczas gdy w roku 1987 11 tysięcy osób<sup>21</sup>.

Choć niezbyt prawdopodobny wydaje się zarzut biskupa z NRD, Gottfrieda Forcka, że rząd RFN ogranicza przesiedlenia ustalając kwoty rocznego wykupu z NRD<sup>22</sup>, to wydaje się pewne, że duża rutyna i regularność transakcji pozwoliły na rozplanowanie z góry uzyskanych sum w budżecie NRD. Pieniądze wpłacane są na konto dobroczynnej organizacji Kościoła ewangelickiego w Stuttgarcie, a wykorzystywane mogą być tylko do zakupów produktów w RFN. (Jest to jeszcze jeden przykład, gdzie handel towarami między obu krajami jest „sztucznie” powiększany.)

W związku z tym, że bilans wzajemnego handlu zamyka się przeszło 4-miliardowym deficytem na niekorzyść NRD i że praktycznie wszystkie dobra poszukiwane przez NRD można kupić w RFN, nie jest to nawet w najmniejszym stopniu zapis ograniczający zakup jakichś towarów. Otwarta linia kredytowa w Stuttgarcie może być w każdej chwili wykorzystana do zmniejszenia zadłużenia lub na dalszy import.

f) Propozycja rządu RFN (na razie nie przyjęta przez drugą stronę), aby za każde niemiecko-niemieckie spotkanie sportowe wy-

płacać rządowi NRD sumę w wysokości od 10 do 20 tysięcy marek<sup>23</sup>, to inny wariant tej samej praktyki.

## 2. Transfer „poczta (RFN), senat Berlina (Zach.)-rząd (NRD)”

a) Ceny za rozważane tu usługi ustalane są mniej lub bardziej arbitralnie i rozsądne wydaje się omawianie ich poza bilansem usług.

W 1980 r., dla przykładu, wysłanych zostało z Niemiec Zachodnich do Wschodnich 26 mln paczek; w przeciwnym kierunku 9 mln<sup>24</sup>. Paczki te przyczyniają się do podwyższenia standardu życia w NRD (o czym jeszcze będzie mowa) i płacenie za nie nie wydaje się być uzasadnione.

Podczas gdy aż do roku 1977 ryczałt za dodatkowe usługi pocztowe NRD wynosił 30 mln marek, to w latach 1978-1982 wzrósł on do 85 mln, żeby od 1983 roku osiągnąć 200 mln marek. Suma ta płacona będzie aż do roku 1990, kiedy to możemy spodziewać się jej ponownego wzrostu<sup>25</sup>.

b) Przekazy senatu Berlina (związane przede wszystkim z wywózką i niszczeniem śmieci) wzrosły też poważnie, do około 100 mln od początku lat 80-ych<sup>26</sup>. (W obu przypadkach NRD może użyć uzyskane sumy tylko w ramach wspólnego handlu, co znowu „sztucznie” zawyża obroty).

## 3. Transfer „firmy państwowe (RFN)-rząd (NRD)”

a) Pod pojęciem państwowej firmy rozumiem taką firmę zachodnioniemiecką, w której istotny wpływ posiada państwo (będąc jej akcjonariuszem). Choć bardzo trudno rozstrzygnąć, czy rząd wykorzystuje swoje wpływy, by oferować NRD warunki korzystniejsze od normalnie dostępnych na rynku, pewne poszlaki jednak o tym świadczą.

Dwie firmy z państwowymi udziałami: Preussen Elektra AG i Bewag AG podzieliły się całkowitymi kosztami połączenia sieci elektrycznych RFN-NRD oraz budowy linii wysokiego napięcia przez NRD do Berlina Zachodniego. Z połączenia tego korzystał ma także NRD otrzymując już za dwa lata 1 mld kilowatogodzin rocznie z RFN. Szefowie firm nie chcieli dotychczas wypowiedzieć się na temat ceny sprzedawanego prądu<sup>27</sup>. Umowa chwalebna była w zachodnioniemieckiej prasie jako przykład typowo komercyjnego rozwiązania w obopólnych stosunkach.

Dla porównania, w podobnym projekcie połączenia sieci RFN i CSRS, zachodniemiecka firma Bayernwerk AG partycypować ma tylko w wysokości dwóch trzecich wszystkich kosztów. W odróżnieniu od wspomnianego wyżej projektu gros inwestycji ma być przeprowadzone na terenie RFN<sup>28</sup>.

b) NRD zleca obróbkę stali w RFN za sumę 300 mln marek. Jak podaje *Handelsblatt*, odbywa się to

„na warunkach, które według wszelkiego prawdopodobieństwa przyspieszyły bankructwo od lat subwencjonowanego przez państwo koncernu Arbed Saarstahl”<sup>29</sup>.

Głównym odbiorcą wschodniemieckiej stali jest RFN-owski koncern Saigpitter-Konzern. Należy on w całości do państwa.

Biorąc pod uwagę wysokość sum, wydaje się, że mamy tu do czynienia z pewną regularnością. Im wyżej podejmowana jest decyzja o cenach za poszczególne usługi, tym bardziej hojna jest strona zachodnia. Hierarchia wyglądałaby następująco: rząd federalny, rządy krajów związkowych, państwowe zarządy poczty i kolei, i w końcu firmy prywatne, w których państwo dysponuje możliwością wpływania na pewne decyzje.

#### 4. Transfer „rząd (RFN)-osoby prywatne (NRD)”

a) Przykładem takiego transferu mogą być tzw. „Pieniądze na przywitanie”. Każda osoba przyjeżdżająca z NRD do RFN ma prawo do pobrania prezentu od państwa w wysokości 100 marek. Do niedawna suma ta wynosiła 30 marek. Została podwyższona krótko po tym, jak NRD ograniczyła możliwość oficjalnej wymiany dla swoich obywateli wyjeżdżających na zachód z 70 do 15 marek zachodniemieckich. (Zadziwiająco było tu prawie powszechne zrozumienie opinii publicznej w Niemczech Zachodnich dla trudności finansowych NRD i błyskawiczna podwyżka wspomnianej „pomocy”.) W porównaniu z 55 mln w 1986 r. rząd zachodniemiecki szacuje wydatki z tego tytułu w 1988 r. na 280 mln<sup>30</sup>.

b) Innym przykładem tego typu płatności są preferencje podatkowe dla osób wysyłających w okresie świąt Bożego Narodzenia paczki do NRD<sup>31</sup>. Wysokość ulgi podatkowej zależy od wartości wysłanej paczki. Można przyjąć, że wartość przesyłek w związku z tym zwiększy się. Niestety, nie znalazłem żadnej informacji

wskazującej, o ile zmniejszają się wpływy budżetowe z tego powodu.

#### 5. Transfer „osoby prywatne (RFN)-rząd (NRD)”

Bardzo poważnym źródłem dewiz dla NRD są wpływy z turystyki i z przyjazdów w odwiedziny. Punkt ten jest zwykle zapisywany w bilansie usług. W przypadku NRD chodzi jednak w przeważającej mierze o opłaty nie pozostające w żadnym stosunku do kosztów z tym związanych. (Dlatego prawdopodobnie płatności z tego tytułu nie są wyszczególnione w odpowiednim bilansie.) Rzecz tu idzie głównie o obowiązkową wymianę dewiz i opłaty za wizy szacowane dość zgodnie na pół miliarda marek rocznie<sup>32</sup>.

#### 6. Transfer „osoby prywatne (RFN)-instytucje państwowe (NRD)-osoby prywatne (NRD)”

a) Chodzi tu o przekazy osób prywatnych dla obywateli NRD dokonywane za pośrednictwem państwowego przedsiębiorstwa wysyłkowego Genex. Po wpłacie odpowiedniej sumy marek zachodniemieckich w RFN osoba w NRD otrzymuje paczkę zawierającą deficytowe na rynku towary. Według szacunku Niemieckiego Instytutu Badań Gospodarczych (DIW) na konto tego przedsiębiorstwa wpłacane jest rocznie co najmniej 150 mln marek<sup>33</sup>. Podobnie jak w przypadku Intershoppów (o czym za chwilę) mamy tu do czynienia ze sprzedażą za dewizy towarów, które nigdy nie mogłyby być sprzedane w tej ilości na rynkach zachodnich.

b) Transfer tego typu już wkrótce będzie należał do jednego z najpoważniejszych w stosunkach pomiędzy dwoma państwami. Zarysowuje się bowiem możliwość wpłacania dewiz na konta prywatne do Banku Państwowego NRD (Staatsbank). Dewizy te byłyby do odebrania w postaci bonów. Intensywne wysiłki w tym kierunku podejmuje ostatnio rząd Niemiec Zachodnich. W tym celu w 1988 roku pojechał po raz pierwszy do NRD prezydent RFN-owskiego Banku Federalnego.

Wpłaty takie stanowiąc będą przede wszystkim bardzo poważne źródło waluty wymiennej dla rządu NRD, który będzie mógł swobodnie rozporządzać oszczędnościami swoich obywateli. Ułatwienie dla obywateli NRD jest jednak bezsprzeczne. Jak istotne



jest to źródło dewiz dla rządu, świadczyć może przypadek Polski, gdzie około połowa rocznych spłat procentów od zadłużenia pochodzi właśnie z corocznego wzrostu prywatnych wkładów w Banku Narodowym.

### Transfer „osoby prywatne (RFN)-osoby prywatne (NRD)”

a) Niemiecki Instytut Badań Gospodarczych (DIW) szacuje podarunki dewizowe przekazywane z ręki do ręki (używane głównie do zakupów w sklepach dewizowych Intershop) na trzy czwarte miliarda marek<sup>34</sup>. Volze jest trochę ostrożniejszy i mówi o sumie wyraźnie przekraczającej pół miliarda<sup>35</sup>.

b) Dysponujemy też szacunkiem dla wartości dóbr, przekazywanych w RFN bezpośrednio odwiedzającym rencistom (ostatnio też i młodszym obywatelom NRD). Towary takie mają wartość co najmniej 200 mln marek<sup>36</sup>.

Niemiecki Instytut Badań Gospodarczych (DIW) przytacza zachodnią ocenę, według której prywatny transfer dewiz i dóbr dla obywateli NRD jest równy 5 procentom obrotów detalicznych Niemiec Wschodnich<sup>37</sup>.

### 8. Transfer „NRD-RFN”

Czy istnieje jakikolwiek transfer w przeciwnym kierunku? Można wymienić tu wypłatę około 70 mln marek przez NRD z tytułu rent<sup>38</sup>, wypłacanych jednakże pod warunkiem długofalowego wyrównywania się obustronnych płatności<sup>39</sup>. Tylko częściowo umotywowane jest umieszczanie w tym kontekście sumy około 50 mln marek rocznie, jakie NRD pozwala wymienić swoim obywatelom wyjeżdżającym na Zachód po kursie jedna marka zachodniemiecka za jedną markę wschodniemiecką<sup>40</sup>. Wspomina się zwykle w tym kontekście o sumach, które NRD musi wydać na zakup dóbr dla Intershopów. Są to jednak sumy znikome, gdyż w Intershopie sprzedawane są też deficytowe towary krajowe (np. samochody Wartburg i Trabant), a marża ryzyka dla towarów zagranicznych jest bardzo wysoka<sup>41</sup>. Mało uzasadnione natomiast wydaje się tu uwzględnianie płatności około 100 mln marek rocznie stanowiących różnicę w opłatach za przewóz towarów i pasażerów oraz wynajem zachodnich wagonów kolejowych, gdyż są to typowe usługi związane z wymianą handlową i nie objęte ryczałtem.

Nie ulęga wątpliwości, że w porównaniu do wpływów odpowiednio wydatki dewizowe NRD są minimalne<sup>42</sup>.

### *III. Handel wewnątrzniemiecki (HWN)*

a) obroty w tym handlu są znacznie wyższe, niż wynikałoby to z potencjału gospodarczego Niemiec Wschodnich. W bilateralnych umowach NRD zobowiązuje się bowiem do kupowania towarów wyłącznie w Niemczech Zachodnich za niekomercyjne płatności RFN. Przykładem takich transakcji były np. zakupy maszyn drogowych (związane z płatnościami za remont dróg), sumy uzyskiwane z wykupu więźniów politycznych i przesiedleńców, które rząd NRD może realizować tylko w ramach HWN, czy też ryczałt płacony przez pocztę i kolej federalną. Dużo istotniejsza przyczyna osiągnięcia takiego pułapu we wzajemnym handlu leży jednak w jednostronnych preferencjach RFN dla swojego wschodniego partnera.

Od 1985 r., kiedy obroty HWN osiągnęły prawie 16 mld marek, nawet preferencje nie są w stanie zahamować stałego spadku obrotów. Bezpośrednim źródłem tego załamania jest spadek cen surowców, głównie ropy naftowej (NRD jest jej poważnym reeksporterem). Nikt nie kwestionuje jednak faktu, że pierwotną przyczyną jest niezdolność NRD do produkcji konkurencyjnych na zachodnich rynkach dóbr.

Ile wynoszą korzyści, jakie czerpie NRD ze specjalnych preferencji w handlu? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Sama próba uchwycenia finansowych rozmiarów tych preferencji stawiana jest pod znakiem zapytania<sup>43</sup>. Nie ulęga jednak najmniejszej wątpliwości, że handel ten jest na wiele sposobów subwencjonowany z budżetu Niemiec Zachodnich. Jak twierdzi DIW, subwencje te rozkładają się jakoś na poszczególne firmy prywatne i państwo NRD. Taka ocena nie wydaje się mi się jednak przekonywująca. Istnieją poważne przesłanki, jak też i konkretne wyliczenia (o czym za chwilę), że zysk w przeważającej mierze pozostaje w rękach rządu NRD. Przyjrzyjmy się bliżej instrumentom stosowanym do subwencjonowania handlu.

NRD eksportując towary do RFN nie płaci żadnego cła. Przyczyna takiego „specjalnego traktowania” leży w odmowie uznania

NRD za granicę. Każdy producent na terenie Niemiec Zachodnich musi płacić podatek w wysokości 15 procent (w niektórych przypadkach 7,5 procent) od wartości sprzedanych towarów. Tylko eksporterzy do NRD zwalniani są w połowie z tego podatku. Pozwala im to na obniżenie cen w stosunku do konkurentów. Niezależnie od tego import towarów z NRD uprawnia do żądania zwrotu 11 procent (czasami 5,5 procent) od wartości zakupu. (W wypadku importu niektórych towarów rolniczych subwencjonowanych w ramach Europejskiej Wspólnoty ten bonus jest mniejszy.) Wiedząc o tym, NRD może podwyższyć sztucznie cenę towaru o taki procent, jaki importer zachodni odzyska w swoim urzędzie podatkowym. Państwo wschodnioniemieckie może więc żądać wyższych cen na towary eksportowane do RFN niż, na przykład, do Francji.

Podsumowując można stwierdzić, że NRD korzysta z lepszych warunków niż zachodnioniemiecki producent sprzedający na rynek krajowy lub zachodnioniemiecki konsument. Spróbujmy oszacować zyski, jakie NRD może czerpać tylko z eksportu do RFN.

Same preferencje podatkowe w handlu (nie biorąc pod uwagę zysków z niepłacenia cel i kredytów) prowadziły, według szacunku DIW-u, w 1982 r. do zmniejszenia wpływów zachodnioniemieckiego fiskusa o 310 mln marek<sup>44</sup>. Jest to jedyny znany mi szacunek podany dla ostatnich lat. Szacunki dla poprzedniej dekady są bardziej szczegółowe.

Już w 1970 r. (w związku ze spotkaniem Brandta ze Stophem w Kassel) biuro prasowe rządu federalnego określiło korzyści NRD w handlu wewnętrznioniemieckim na „wiele setek milionów marek”<sup>45</sup>. Według wszelkiego prawdopodobieństwa brak większej precyzji w podawaniu korzyści socjalistycznego partnera podyktowany był (i chyba jest nadal) obawą przed głosami krytycznymi na temat tego handlu we Wspólnocie Europejskiej. Takimi jak np. wypowiedź holenderskiego posła w parlamencie europejskim, Vredelinga<sup>46</sup>:

„Miliardowy interes pomiędzy dwoma państwami niemieckimi jest w rzeczywistości gigantycznym planem Marshalla dla NRD – współfinansowanym przez wszystkie państwa Wspólnoty”.

Zastanawiając się nad zyskami NRD w handlu z RFN dla przykładowego roku 1970, Biskup dochodzi do wniosku, że:

„wartość wszystkich zysków, z których NRD korzysta i uznaje za swój stan posiadania na mocy obowiązujących przepisów w handlu wewnątrzniemieckim, wyrażona sumą 500 mln marek w roku 1970, nie jest na pewno za wysoka”.

W roku tym obroty między obu państwami wyniosły 4,4 mld marek i wzrosły do 15 mld w 1987 r. Gdyby korzyści finansowe NRD rosły proporcjonalnie do obrotów, to w 1987 r. wyniosłyby one (opierając się o wyczerpanie Biskupa) 1,7 mld marek.

Gdyby ceny na produkty NRD eksportowane do RFN były niższe, to możemy się spodziewać, że i wolumen tego eksportu byłby mniejszy. Nie wystarczy więc przy ocenie korzyści w handlu przyjąć, że jedyną różnicą jest różnica w cenach. Inny zachodniemiecki ekonomista, Nehring, przeprowadził dokładną analizę tego efektu<sup>48</sup>. W podsumowaniu stwierdza, że korzyści finansowe NRD w latach 1958-1974 wyniosły 7,4 mld marek, czyli równowartość przeszło 30 procent NRD-owskiego eksportu do RFN w tych latach. W skali rocznej korzyści sięgały 460 mln. Jeśli korzyści NRD nadal stanowią około 30 procent wartości ich eksportu do Niemiec Zachodnich, to w 1987 r. wyniosłyby około 2 mld marek.

Honecker zapytany przez amerykańskiego dziennikarza Sulzbergera o niemiecko-niemiecki handel wyznał, że jest to „jedna z niewielu osobliwości, która ostała się jeszcze we wzajemnych stosunkach”<sup>49</sup>.

b) Osobnym rozdziałem w obustronnych stosunkach są propozycje kredytowe RFN. Propozycje takie, pomimo prawie 10-miliardowego zadłużenia (netto w dolarach US), składane są właściwie stale i banki prześcigają się w zgadywaniu życzeń wschodniemieckiego partnera. NRD tylko w ograniczonym stopniu interesuje się nowymi kredytami, mając możliwość otrzymywania darowizn<sup>50</sup>. Nie przeszkadzało to jednak, że NRD w latach 1983 i 1984 zaciągnęła dwa miliardowe, gwarantowane przez rząd RFN, kredyty. Niska stopa procentowa, pełna swoboda w ich zużycowaniu i brak prowizji za gwarancje (dla pierwszego kredytu) świadczą o wyjątkowo korzystnych warunkach. Ministerstwo do Spraw Wewnętrzniemieckich twierdzi, że przyczyniły się one m.in. do

poprawy oceny NRD jako dłużnika na międzynarodowym rynku kredytowym<sup>51</sup>.

W latach 1982-1983 gotowość ze strony RFN do zaakceptowania ujemnego bilansu handlowego (handel ten według zawartych umów powinien być zawsze wyrównywany) pozwoliła NRD na bezproblemowe rozwiązanie poważnych trudności dewizowych z innymi partnerami zachodnimi<sup>52</sup>. Kryzys zadłużenia został zażegnany.

Ocenę niemiecko-niemieckich stosunków handlowych utrudnia bardzo szerokie korzystanie przez zachodniemieckie czynniki oficjalne z zafalszowanych statystyk NRD<sup>53</sup>. Chodzi tu zwłaszcza o wagę handlu wewnątrzniemieckiego w handlu zagranicznym NRD. Nie podlega dyskusji, że udział NRD w handlu zagranicznym Niemiec Zachodnich określony sumą 1,6 procent (1986) jest marginalny. Udział RFN w handlu zagranicznym NRD jest systematycznie zaniżany<sup>54</sup> i wynosi według NRD-owskich statystyk 8-9 procent. Wedle zachodnich szacunków sięga on 13-15 procent<sup>55</sup>.

#### *IV. Podsumowanie pomocy*

Najbardziej korzysta z pomocy rząd NRD. Jego roczne wpływy opiewają na około dwa i pół miliarda marek. Do osób prywatnych dociera co najmniej półtora miliarda. Przez przedsiębiorstwa państwowe przekazywana jest obecnie znikoma w tym kontekście suma 150-200 mln. W najbliższych latach możemy się jednak liczyć z tym, że dewizy dotychczas przekazywane z ręki do ręki wędrować będą na prywatne konta Banku Państwowego w NRD.

W sumie państwo wschodniemieckie i jego obywatele zasilani są corocznym transferem dewiz i dóbr o wartości około 4 miliardów marek zachodniemieckich. Przyjmując górny pułap subwencji w obustronnym handlu, suma ta zwiększa się do około 6 miliardów.

Jak wyglądają informacje o tych płatnościach w publikacjach zachodniemieckich?

W publikacji Ministerstwa do Spraw Wewnątrzniemieckich<sup>56</sup> mówi się o rocznych „płatnościach z budżetów (oeffentliche Haushalte) i dewizowym transferze osób prywatnych” w wysoko-

ści 2-2,5 mld. Wartość przekazywanych towarów podawana jest w wysokości około 1 mld (bez podania szczegółów). W innej publikacji tego ministerstwa<sup>57</sup> szacuje się „wpływy dewizowe NRD” w przybliżeniu na około 2 mld.

Stały przedstawiciel rządu zachodnioniemieckiego w NRD (odpowiednik ambasadora), Bracutigam, mówi o „pozakomercyjnym rocznym transferze z RFN do NRD” w wysokości około 2,5 mld. Znaczenie tego transferu ma stałe wzrastać<sup>58</sup>. Zachodnioniemiecki ekonomista, Voltze, mówi o „płauościach rządu 2-2,5 mld marek rocznie”.

W żadnym z powyższych szacunków nie uwzględnia się zysków z preferencji w handlu ani z wykupu więźniów.

#### V. Koncesje humanitarne

Wnikliwa analiza i ocena motywów pomocy materialnej dla NRD wykracza poza ramy tego artykułu. Wyszczególniając strumienie pomocy, nie chciałbym jednak stworzyć wrażenia, że takich motywów, kalkulacji i oczekiwań w Niemczech Zachodnich nie ma. Przeciwnie, jest ich wiele i są one różnorakie. Na pewno odgrywa rolę pragnienie zmniejszenia dystansu oddzielającego oba państwa, liczenie na wzrost bezpieczeństwa poprzez powiązania gospodarcze, pragnienie, aby i Niemcy z drugiego państwa mogli partycypować w cudzie gospodarczym. Widoczna jest też chęć, aby związki pomiędzy dwoma państwami niemieckimi wpływały na poprawę klimatu w Europie.

Poza tym istnieje w Niemczech Zachodnich silna tendencja, aby w stosunkach międzynarodowych, po doświadczeniach okresu hitlerowskiego, nie stosować nacisków i gróźb, ale cele osiągać raczej płacąc.

Wymiernym i najczęściej podkreślanym efektem pomocy dla NRD wydają się być koncesje humanitarne<sup>59</sup>:

1. Około 5 milionów obywateli NRD mogło odwiedzić RFN, w tym około 2 mln poniżej wieku emerytalnego.
2. 10 do 20 tysięcy obywateli NRD może co roku legalnie przebywać w RFN.
3. Rocznie przesyłanych jest z RFN do NRD 20 mln paczek.

4. W ciągu roku prowadzonych jest 30 mln rozmów telefonicznych pomiędzy obu państwami.

5. Zachodnioniemiecka telewizja oglądana jest przez około 15 mln obywateli NRD; stacje radiowe odbierane są praktycznie przez każdego.

Wzrost ilości wyjazdów i większa możliwość przesiedlenia to istotne ustępstwo w dwustronnych stosunkach. Liczne wyjazdy pozwalają zmniejszyć tak wszechogarniające NRD poczucie uwięzienia. Konsekwencją tych zmian jest dramatyczny wzrost podań o przesiedlenie do RFN<sup>60</sup>. W 1986 r., kiedy to poważnie wzrosła ilość przyjazdów, Ministerstwo do Spraw Wewnętrzniemieckich szacowało liczbę odwiedzających poniżej wieku emerytalnego na 300 tysięcy, rencistów na 1,8 mln. W 1987 r. NRD skorygowało te dane, podając dwukrotnie wyższą liczbę nierencistów wyjeżdżających do RFN<sup>61</sup>.

W 1986 r. NRD odwiedziło (wliczając w to osoby jadące tranzytem do innych krajów) prawie 4 mld osób z RFN. Wzrost obowiązkowej wymiany dewiz nie pozwala na osiągnięcie poziomu z 1973 roku, kiedy liczba ta osiągnęła wysokość przeszło 7 mln.

Ukazując drugą stronę praktyki wykupu więźniów i większego otwarcia granicy, bracia Eisenfeld, emigranci z NRD piszą<sup>62</sup>:

„Niemiecko-niemiecka gra (Rollenspiel) kompensuje wewnętrzną przemoc w NRD. Następuje to kosztem sił odnowy. Gra ta stabilizuje oportunistyczną politykę wewnętrzną i zagraniczną NRD, podważa zasady demokratyczne i utrudnia godne zachowanie”.

Pytania, jak bardzo wzmógłby się potencjał konfliktów wewnętrznych w NRD, gdyby rząd RFN odmówił wykupywania ludzi, obłożone jest w tym kraju tabu.

Polityka Republiki Federalnej pozwala na łagodzenie napięć gospodarczych i społecznych w NRD, przyczynia się do poszerzania w jakimś stopniu praw jej obywateli. Równocześnie jednak skutkiem tej polityki jest osłabienie bodźców, które mogłyby skłonić władze NRD do podjęcia szeroko zakrojonych reform gospodarczych i politycznych.

## PRZYPISY

<sup>1</sup> *Bulletin des Presse und Informationsamtes der Bundesregierung*, nr 88 z 16.08.1985, cyt. wg *Deutschland Archiv*, zeszyt 9, Köln 1985, s. 1015

<sup>2</sup> Wszystkie sumy przytoczone w tekście podane są w markach zachodniemieckich (1\$ = 1,8DM). Dotyczy również wysokości handlu RFN-NRD, który formalnie rzecz biorąc, liczony jest w tzw. jednostkach przeliczeniowych.

<sup>3</sup> Statystyka NRD jest tu zupełnie nieprzydatna, gdyż od 1976 r. dla wymiany z krajami kapitalistycznymi brakuje nawet podziału na eksport i import. Podawane są tylko liczby dotyczące obrotów.

<sup>4</sup> Choć oba te punkty bezspornie związane są z usługami strony przeciwnej, (np. Niemiecki Instytut Badań Gospodarczych (DIW) wymienia je w tabeli pod tytułem „Płatności RFN dla NRD”, w: *Handbuch DDR-Wirtschaft*, Niemiecki Instytut Badań Gospodarczych, Berlin 1985, s. 413.

<sup>5</sup> Por. *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 413, jak też „Erhöhung der Transitpauschale in Milliardenhöhe”, w: *Handelsblatt* z 23/24.9.88.

<sup>6</sup> Ilość przejazdów na drodze lądowej w obie strony kształtowała się następująco: 1971 - 7,6 mln; 1981 - 21,8 mln, por. *Materialien zum Bericht zur Lage der Nation im geteilten Deutschland 1987*, Bundesministerium für innerdeutsche Beziehungen, Bonn 1987, s. 634. Inne źródła podają dla ostatnich lat dużo niższe liczby: dla roku 1981 - 19,4 mln podróży w obie strony łącznie z obcokrajowcami; analogiczna liczba dla roku 1983 wynosi 20,1 mln, por. *DDR Handbuch*, Bundesministerium für innerdeutsche Beziehungen (wyd.), Köln 1985, s. 636.

<sup>7</sup> Por. Volze, A.: „Zu den Besonderheiten der innerdeutschen Wirtschaftsbeziehungen im Ost West Verhältnis”, w: *Deutsche Studien*, Zeszyt 63, 1983, s. 189.

<sup>8</sup> Por. „Erhöhung der Transitpauschale...”, op. cit..

<sup>9</sup> Niemiecki Instytut Badań Gospodarczych (DIW) podaje płatności z tego tytułu opiewające na 275 mln rocznie (od 1976 r. do 1984 r.), w: *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 326; Nawrocki, J. mówi o 250 mln rocznie w artykule: „Freizügigkeit im Armentrecht”, w: *Die Zeit*, m 29, z 10.07.87.

<sup>10</sup> Por. *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 413.

<sup>11</sup> Mayer-Köster, Ch.: „Im Alltagsdialog”, w: *Handelsblatt* z 29.10.87, s. 2.

<sup>12</sup> Wpływ zanieczyszczenia środowiska w NRD na przygraniczne tereny RFN i Berlin Zachodni jest bezsporny. Szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę, że np. roczna emisja dwutlenku siarki, jednego z najbardziej trujących związków chemicznych, wynosi w NRD około 5 mln ton. W RFN przy niepomiarnej większej produkcji przemysłowej wynosi ona niewiele ponad połowę tej ilości.

Aby poprawić jakość powietrza w Berlinie Zachodnim, urządzenia filtrujące dla jednej elektrowni kosztowałyby 200 mln marek i zmniejszyłyby zanieczyszczenie powietrza o 0,9 procent - por. „Über Joint-Ventures mit der DDR nachdenken”, w: *Handelsblatt* z 3.03.87.

<sup>13</sup> Eickeler, R.: „Die drei Abkommen sind ein Anfang für eine Zusammenarbeit, aber nichts mehr”, w: *Handelsblatt* z 26.08.87.

<sup>14</sup> Por. szczegółowa propozycja zawarta w Lambrecht, H., Schwartau, C.: Förderung des innerdeutschen Handels durch Sonderprogramme Umweltschutz und Modernisierung, w: *Deutschland Archiv* 6/87, s. 600-608, gdzie na s. 607 czytamy:



„Trudno sobie wyobrazić, żeby rząd federalny odmówił na tak ważne cele, jak ochrona środowiska i polityka wewnętrzniemiecka rozłożoną na wiele lat sumę w wysokości 3 do 4 miliardów marek (w zależności, czy włączy się do rachunku program modernizacji) [przemysłu – dop. aut.]”

<sup>18</sup> Por. „SDP gegen kostenlose Umwelthilfe für DDR”, w: *Handelsblatt* z 11.02.87.

<sup>19</sup> Por. „Neue Kláranlage in der DDR nimmt Arbeit auf” w: *Handelsblatt* z 20/21.11.87. W latach 1983-1985 na trzy oczyszczalnie ścieków w Berlinie Wschodnim airona zachodnia wydała 68 mln, por. *DDR Handbuch*, op. cit., s. 1481.

<sup>17</sup> Por. „Kanzler-Besuch in Prag signalisiert neue Möglichkeiten im bilateralen Handel”, w: *Handelsblatt* z 27.01.88.

<sup>18</sup> W środowiskach dziennikarskich w Niemczech Zachodnich widoczny jest pewien konsensus, aby nie rozpisywać się obszernie na ten temat. Stanowisko to jest popierane przez czynniki państwowe i tak np. nawet ogólna liczba wykupionych więźniów nie została nigdy oficjalnie potwierdzona (choć nie ulega ona wątpliwości), por. Frucke, K.W.: *Weder Konzentrationslager noch politische Gefangene in der DDR*, w: *Deutschland Archiv*, 2/87, s. 160. Po cichu powtarzany argument, jakoby w odpowiedzi na prace publikowane na ten temat NRD wstrzymała kiedyś wykup, nie znalazł dotychczas żadnego potwierdzenia, por. *Schmidhammer, J.: Rechtsanwalt Wolfgang Vogel. Mittler zwischen Ost und West*, Hamburg 1987.

Dobre przedstawienie problemu wykupu można znaleźć w artykule Marsch, D.: „The Price of Freedom”, w: *Financial Times* z 16.04.88

<sup>19</sup> O ile mi wiadomo, poza NRD tylko Rumunia otrzymywała pieniądze za pozwolenie na przesiedlenie się obywateli pochodzenia niemieckiego. Za każdego takiego przesiedleńca rząd RFN płacił 8 tysięcy marek. Ostatnio rząd Rumunii miał domagać się podwyższenia tej sumy do 12 tysięcy, por. „Neues Abkommen über Rumänien-Aussiedler”, w: *Handelsblatt* z 13.12.88.

<sup>20</sup> Por. Nawrocki, J.: „Freizügigkeit im Armenrecht”, op. cit.

<sup>21</sup> Por. „Zahl der Übersiedler doppelt so hoch wie 1987”, w: *Handelsblatt* z 6.12.88. Poza oficjalnymi przesiedleńcami w RFN zarejestrowano w 1988 r. około 10 tysięcy uciekinierów z NRD. Do Niemiec Zachodnich przybyli oni głównie przez kraje trzecie.

<sup>22</sup> Por. „Gezielt geleimt”, w: *Der Spiegel*, nr 17 z 25.04.88, s. 32.

<sup>23</sup> Por. Krebs, H-D.: „Deutsch-deutsche Sportkontakte kein Handelsobjekt”, w: *Deutsche Studien* 1/86, s. 15.

<sup>24</sup> Por. Volze, A.: „Zu den Besonderheiten der innerdeutschen Wirtschaftsbeziehungen im Ost-West-Verhältnis”, w: *Deutsche Studien* 83/1983, s. 188. Bräutigam wymienia dla ostatnich lat liczbę 20 mln paczek przesłanych z RFN do NRD. Nie znalazłem niestety żadnej statystyki wyszczególniającej ilość przesyłek z RFN do NRD i odwrotnie.

<sup>25</sup> Por. *Materialien zum Bericht*, op. cit., s. 633 oraz Nawrocki, J.: „Freizügigkeit im Armenrecht”, w: *Die Zeit*, nr 29 z 10.07.87.

<sup>26</sup> Por. *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 413

<sup>27</sup> Por. *Spätestens in zwei Jahren soll über Magdeburg Strom in die DDR fließen*”, w: *Handelsblatt* z 23.11.87.

<sup>28</sup> Por. „Bayernwerk: Stromtausch mit der CSSR”, w: *Handelsblatt* z 20.07.88.

<sup>29</sup> Nawrocki, J.: „Freizügigkeit im Armenrecht”, op. cit. Podobne rozwiązanie, w którym subwencjonowany zakład przyjmowałby według wszelkiego prawdopodo-

bieństwa mało korzystne zlecenia, szykowało się dla huty Maxhuetz, por. „Bayern bestätigt DDR-Vorschläge”, w: *Handelsblatt* z 29.09.87.

<sup>30</sup> Por. „Das Begrüßungsgeld soll laut Richtlinie schon ab 1.9.87 erhöht werden”, w: *Handelsblatt* z 28.09.87. Przewodniczący berliński SDP, Momper, zaproponował nawet, aby rząd RFN w związku z NRD-owskim ograniczeniem wymiany bezpośrednio pomógł drugiemu państwu niemieckiemu w jego problemach dewizowych (por. „Momper: Devisen-Hilfen für die DDR”, w: *Handelsblatt* z 6.07.87).

<sup>31</sup> Por. „Pakete in die DDR absetzen”, w: *Handelsblatt* z 14.12.87.

<sup>32</sup> Por. *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 327 oraz Volze, A.: „Zu den Besonderheiten...”, op. cit., s. 189.

<sup>33</sup> Por. *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 327; w *Materialen zum Bericht...*, op. cit., na s. 634 wymieniona jest suma 150-200 mln marek rocznie.

<sup>34</sup> Por. *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit. s. 327.

<sup>35</sup> Por. Volze A.: „Zu den Besonderheiten...”, op. cit., s. 189.

<sup>36</sup> Por. *Materialen zum Bericht...*, op. cit., s. 634.

<sup>37</sup> Por. *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 327.

<sup>38</sup> Por. „Erklärung von Bundesminister Windelen zur Vereinbarung mit der DDR” w: *Deutsche Studien* 9/85, s. 1018.

<sup>39</sup> Por. *DDR Handbuch*, op. cit., s. 631.

<sup>40</sup> Por. Nawrocki, J.: „Freizügigkeit im Armenrecht”, op. cit.

<sup>41</sup> Por. *Materialen zum Bericht...*, op. cit., s. 634.

<sup>42</sup> Por. *DDR Handbuch*, op. cit., s. 1482.

<sup>43</sup> „Zgadza się, co prawda, że poprzez zniesienie albo zaoszczędzenie cła i podatku od wartości sprzedanej dóbr importowanych z NRD powstają korzyści. Nie jest jasne jednak, w jakim stopniu zyskuje na tym NRD, a w jakim gospodarka Republiki Federalnej. Z reguły mamy tu do czynienia, na skutek ustępstw NRD, jeżeli chodzi o ceny sprzedawanych towarów, z rozłożeniem korzyści”, *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 329. Podobną ocenę spotykamy w materiałach Ministerstwa do Spraw Wewnętrznych opracowywanych jednako przez współpracowników wyżej wspomnianego instytutu, por. *Materialen zum Bericht...*, op. cit., s. 632.

<sup>44</sup> Por. *Handbuch DDR-Wirtschaft*, op. cit., s. 319.

<sup>45</sup> Por. Biskup, R.: „Was die DDR heimlich kassiert”, w: *Frankfurter Allgemeine Zeitung* z 2.11.74, s. 13.

<sup>46</sup> Biskup, R.: *ibidem*.

<sup>47</sup> *Ibidem* oraz por. Biskup, R.: *Deutschlands offene Handelsgrenze*, Frankfurt/Meine 1976. Günzel przytacza analogiczny szacunek prof. Merbela (Berlin) dla 1969 r. opiewający też na 500 mln, por. Gempel, W.: „Der innerdeutsche Handel in seinen politischen und ökonomischen Auswirkungen”, w: Böttcher, E. (wyd.), *Wirtschaftsbeziehungen mit dem Osten*, Stuttgart 1971, s. 93.

<sup>48</sup> Por. Nehring, S.: *Die Wirkungen von Handelspräferenzen im Warenaustausch zwischen der Bundesrepublik und der DDR*, Kieler Studien, nr 154, Institut für Weltwirtschaft an der Universität Kiel, Tübingen 1978.

<sup>49</sup> *Neues Deutschland* z 25.11.72.

<sup>50</sup> Por. liczne artykuły na ten temat w: *Handelsblatt* z 26.10.87, 29.10.87, 20.01.88 i 21.01.88.

<sup>51</sup> Por. *Materialen zum Bericht...*, op. cit., s. 634.



**Vaclav Havel**

## **ROZMYŚLAJĄC O FRANTIŠKU K.**

Spędziłem cały dzień w towarzystwie Františka Kriegla, grzebiąc w rozmaitych dokumentach na jego temat i czytając jego własne zapiski, przemówienia i listy. Przez cały czas stały mi przed oczyma moje spotkania z nim i myślałem o nim. I przyszła mi w tym czasie dziwna myśl do głowy: czy nie był on przypadkiem postacią tragiczną? Jedną z wielkich tragicznych postaci naszej najnowszej historii?

Mam wrażenie, że w naszych czasach ludziom dana jest podwójna egzystencja. Jesteśmy, jak wszystkie poprzednie pokolenia, ludźmi z krwi i kości, żyjemy w zwykłym, powszednim świecie, a zarazem stanowimy budulec świata, który nazwałbym (dla niektórych uszu zabrzmi to może za mocno) światem ideologicznego i politycznego pustostłwia. W tym świecie wszystko dzieje się w imieniu ludzi i dla ich dobra, człowiek jest w nim „naczelną zasadą”, a jego dobro „najwyższym celem”. Nie chodzi rzekomo o nic innego jak o człowieka. Innymi słowy, istniejemy jakby w dwóch różnych kontinuumach: jako rzeczywisci ludzie żyjący na tej ziemi i jako abstrakcyjny przedmiot teorii i mów. Tak się składa, że im więcej się mówi o szczęściu abstrakcyjnego człowieka – jedni z obsesji, drudzy z obludy, trzeci z rutyny albo braku serca – tym bardziej zdaje się cierpieć człowiek rzeczywisty.

František Kriegel stał całym sercem po stronie rzeczywistego człowieka. Kochał ludzi i służył im od rana do nocy – jako lekarz w szpitalach i na polach bitew, jako sąsiad w życiu codziennym i jako polityk – zarówno przez to, że był wrażliwy na ludzkie potrzeby jak i przez to, że – kiedy trzeba było – działał zgodnie z powszechnymi wymogami moralnymi, od których nie dał się odwieść polityce (dzięki czemu udało mu się uratować honor republiki czechosłowackiej w sierpniu 1968 roku<sup>o</sup>).

Potwierdzają to niezliczone oddane ludziom przysługi, z których rozmiarów nikt z żyjących nie zdaje sobie w pełni sprawy, ponieważ miał odrazę do notowania ich czy choćby wspomniania o nich. Dowodzą tego także rzeczy, których nie zrobił. Na przykład mimo nacisków nie został nigdy zawodowym politykiem, a także systematycznie odmawiał korzystania z rozmaitych przywilejów, związanych ze stanowiskami, jakie zajmował; wynikało to po części z jego niechęci do odgradzania się od świata „zwykłych ludzi” na rzecz „człowieka abstrakcyjnego”, na którego tak chętnie powołują się ci, których zainteresowanie dla człowieka nie wykracza poza ich własną osobę.

Z opowiadań niezliczonych przyjaciół Kriegla i wielu innych świadków wynika jasno, że był nie tylko skromnym i szlachetnym człowiekiem, ale także kimś, kto stał obiema nogami na ziemi, w świecie rzeczywistych ludzi, świecie, w którym wiedza o tym, co dobre, a co podle, co przystoi, a co nie, czym są honor i zdrada, miała zostać unicestwiona albo przynajmniej mocno podważona przez ideologiczne kuglarstwo, pragmatyczne spekulacje polityczne albo makiaweliczne konstrukcje, którymi zawsze można udowodnić, że jakaś poszczególna podłość jest konieczna dla wyższych celów. Nieostentacyjna miłość człowieka i wierność własnemu sumieniu, zarówno obywatelskiemu, jak zawodowemu i politycznemu, zdeterminowały bieg życia Kriegla.

Jestem zresztą przekonany, że w gruncie rzeczy taki stosunek do życia, jaki miał Kriegel, nie może wynikać tylko z predyspozy-

<sup>o</sup> František Kriegel był jedynym członkiem grupy czechosłowackich polityków, uprowadzonych po inwazji 21 sierpnia do Moskwy, który odmówił podpisania tzw. protokołu moskiewskiego, w imię aktu kapitulacji (przyt. w d.).

cji psychicznej. Musi on wyrastać z głębokiego (choć nieświadomego i niemożliwego do przyjęcia dla materialisty) szacunku dlaładu istnienia ukrytego za granicami materialnego świata, który jest trwałym uzasadnieniem jego przemijalności. Mam na myśli coś, co wykracza poza wszelki indywidualny „światopogląd”, coś, co jest jedynym racjonalnym źródłem i sensem prawdziwego poczucia odpowiedzialności: odpowiedzialności, która nie oczekuje zapłaty w materialnym świecie. Nie jest przypadkiem, że jedyny polityk, który w sierpniu 1968 roku gotów był położyć życie na szalę losu naszej wspólnoty narodowej, był tym samym człowiekiem, który – w przekonaniu, że go nikt nie widzi – składał na praskiej ulicy hołd jednej z ofiar obcego najazdu.

Wszystko, co dotychczas napisałem, świadczyłoby o tym, że był człowiekiem wielkiego formatu, ale niekoniecznie tragicznym. Postaram się wytłumaczyć, dlaczego sądzę, że wielkość Kriegla miała wymiar tragiczny.

Nie jest oczywiście łatwo spędzić życie na czynieniu dobra konkretnym, poszczególnym ludziom. W pewnych okolicznościach, u ludzi bardzo inteligentnych i obdarzonych wrażliwym sumieniem, taki wybór może być nawet formą ucieczki od wiedzy i odpowiedzialności. Fakt, że się temu i owemu udaje pomóc, nie ustrawiedliwiać inny fakt, że mianowicie nie podejmuje się żmudniejszego i ważniejszego zadania, jakim jest poszukiwanie korzeni zła i zrozumienie ich szerszych implikacji.

Ponieważ Kriegel zasnął na własnej skórze biedy, niesprawiedliwości, nienawiści rasowej i nierówności społecznej, ponieważ był człowiekiem wykształconym i chciał wyjść poza własny los w poszukiwaniu ich powszechnego znaczenia, wcześniej zrozumiał, że nie zmierzy się skutecznie z ludzkim cierpieniem tylko jako sąsiad i lekarz, że – chcąc nie sprzeniewierzyć się własnemu sumieniu – powinien starać się zrozumieć społeczne przyczyny tych cierpień i znaleźć sposób, w jaki można by im zaradzić. Innymi słowy, musiał wdać się w politykę.

Kiedy osiągał wiek męski, olśnił go niezmiernie kuszący projekt polityczny, który proponował zarówno niepodważalne wytłumaczenie rozmaitych sprzeczności tego świata, jak i globalny program ich rozwiązania. Proklamowane z emfazą „naukowe” podstawy tego programu zgodne były z racjonalistycznym du-

chem tamtych czasów, a zarazem – i paradoksalnie – podsuwały nową odmianę czegoś, czego ludzie od niepamiętnych czasów poszukiwali i potrzebowali – mianowicie wiary. I to wiary szczególnie, możliwej do przyjęcia dla człowieka o takim światopoglądzie.

František Kriegel został komunistą i pozostał nim przez całe swoje życie. Jako komunista walczył z faszyzmem w Hiszpanii i Chinach. Jako komunista działał politycznie w powojennej Czechosłowacji i uczestniczył w przejęciu władzy przez partię komunistyczną w lutym 1948 roku. Jako komunista organizował służbę zdrowia w Czechach i na Kubie. Jako komunista został posłem i znalazł się z tego tytułu w wyższych kręgach hierarchii partyjnej.

W tym miejscu należy spytać, w jaki sposób ktoś o naturze Kriegla – tak zdecydowanie przywiązany do „rzeczywistego świata” i „rzeczywistego człowieka”, tak głęboko szanujący niezależne od wszelkich ideologii zasady moralne, drogie ludziom żyjącym w codziennym świecie – mógł się pogodzić z ideologią, przekonaniami oraz politycznymi metodami i wymogami ruchu, który stawał wymagowany i wskutek tego bez trudu manipulowany świat „wyższych celów” i „uniwersalnych idei” ponad normalne ludzkie uczucia i zdrowy rozsądek (dyskrecja, z jaką to uczyniono, była jedną z tajemnic sukcesu). Jak taki człowiek mógł trwać w ruchu, który potrafił – kiedy zaszła potrzeba – gwałcić ludzkie uczucia i zdrowy rozsądek i uznać je za zbiór przesądów i kłamstw? Jak mógł jednocześnie zachować przez całe życie szacunek dla realnego człowieka i wierzyć w abstrakcyjnego – wytwór ideologii, co w miarę upływu czasu było coraz bardziej oczywiste?

František Kriegel nie miał w sobie cienia oportunistu, makiawelizmu ani cynicznego pragmatyzmu. Nie potrafił sobie w żaden sposób wyobrazić, by kiedykolwiek poszedł z zimną krwią na świadomy kompromis między wymogami sumienia a wymogami ideologii i partii. Gdyby był do tego zdolny, nie byłby postacią wielką ani tragiczną, a raczej człowiekiem banalnym i godnym politowania.

Tragiczny wymiar nadaje jego losowi – o tyle, o ile moje omyłne oko i rozum mogą to stwierdzić – nie tylko fakt, że był człowiekiem sumienia, ale też, że był człowiekiem wiary. To znaczy, że wszystkie kompromisy, na które w różnych czasach musiał się

godzić, były zawsze szczerze i uczciwe – na tyle, na ile to w ogóle było możliwe. Niektóre na pewno przyniosły naszemu krajowi pożytek (przynajmniej względny), jak na przykład jego rozmaite odważne wystąpienia w latach pięćdziesiątych, posunięcia reformatorskie w latach sześćdziesiątych, jego bohaterstwo w roku 1968, jego świadoma opozycja wobec dyktatorskiego reżymu Husaka i jego akces do Karty 77. Z drugiej strony, dopuścił się niewątpliwie wielu szkodliwych i pożałowania godnych czynów, na przykład przyczyniając się do umocnienia partii komunistycznej za Gottwalda. Abstrahując jednak od rozważań, w jakiej mierze jego kompromisy były pozytywne, a w jakiej szkodliwe, sam fakt, że nie przyświecał im własny interes, ale że były dziełem człowieka prawego we wszystkim, co robił i zawsze głęboko wiernego sobie, robi z Kriegla postać tragiczną.

Spróbujmy postawić się na jego miejscu. Oto człowiek uczciwy, nie znoszący niełojalności i nieprawości, jest równocześnie komunistą, a zatem człowiekiem lojalnym wobec partii, która ma na swym rachunku bezmiar niełojalności i nieprawości. W jaki sposób miał zachować wiarę, a nie przyłożyć ręki do zła?

Oto człowiek, który chciał praktycznie, na tym świecie pomóc ludziom, a równocześnie utożsamiał się z ideologią, potrafiącą uzasadnić bieżące zło utopijną wizją promiennej, acz odległej przyszłości.

Oto człowiek, który całym sercem wierzył, że ludzie są równi, a równocześnie był komunistą, członkiem partii, która przyznawała swym wyznawcom wyższy niż innym status.

Takiemu człowiekowi nie mogło być łatwo – ani wobec własnego sumienia, ani w partii. I rzeczywiście, ta sprzeczność była dla niego, podobnie jak dla wielu innych uczciwych komunistów, źródłem nieustających trudności: partia sponiewierała go za odważną walkę w Hiszpanii, prześladowała go w latach pięćdziesiątych, wyrzuciła go ze swych szeregów w roku 1969 i bezlitośnie zaszczuła na śmierć, by wreszcie obnażyć bezmiar swej podłości, pozbawiając go przyzwoitego pogrzebu.

Mimo to wszystko nigdy nie porzucił swych socjalistycznych poglądów.

W obliczu tragicznej przepaści między swymi przekonaniem a wrodzonym humanitaryzmem, usiłował latami uczłowieczać ko-



munistyczny ustrój, a następnie opowiedział się na rzecz idei socjalizmu demokratycznego. Ale nawet ten kompromis musiała cechować tragiczna sprzeczność: jak bowiem pogodzić prawdziwą demokrację z zasadą kierowniczej roli jednej ideologii i jednej partii, po wsze czasy obdarzonej władzą? Albo na odwrót, jak przy prawdziwie demokratycznej grze sił politycznych zagwarantować raz na zawsze, że gospodarka będzie zorganizowana w jeden, z góry ustalony sposób?

Wielki smutek ogarnął mnie podczas czytania przemówień poselskich Kriegla z tyłu wszystkich minionych lat. Jak wiele zawierają dobrych chęci, jak na raz zarazem beznadziejnie przesiąknięte politycznymi przesądami i drętwą mową tamtych lat, i jak niewiarygodnie Kriegel ufał w możliwość demokratyzacji rozmaitych instytucjonalnych czynników, których celem było właśnie wykluczenie z góry najmniejszej nawet możliwości demokracji.

Cała jego rozległa, dyskretna działalność, bardzo ryzykowna i nigdy specjalnie skuteczna, nie mogła być owocem oportunistycznej ani osobistej ambicji.

Jest oczywiste, że František Kriegel przez długie lata szczerze wierzył, że da się od wewnątrz tchnąć odrobinę człowieczeństwa w nieludzki ustrój.

W miarę upływu czasu okrutne lekcje historii i niezliczone głębokie rozczarowania skutecznie zmieniły i zwęziły zakres możliwych rozwiązań, zgodnych z jego przekonaniem. Musiał stopniowo rezygnować z wielu obalonych przez czas dogmatów swej wiary i przyznać, że liczne uprzednio święte zasady były szkodliwe i złośliwe jak rak. Gorset ideologii, który wydawał mu się kiedyś tak mocny i niezniszczalny, stopniowo pękał pod naporem faktów, którym nie mogły się oprzeć jego poczucie sprawiedliwości i jego duchowa rzetelność.

Jakiż to musiał być tragiczny proces! Jak ciężko musi być odżegnawać się od spraw, przy których się tak długo i z takim entuzjazmem stało, i którym się tyle poświęciło! O ile wiem, Kriegel nigdy nie okazywał strachu, rozczarowania, wątpliwości ani rozpacz. Po męsku zachowywał gorycz dla siebie. Swoim towarzyszom zawsze dodawał otuchy i nigdy nie wymagał w zamian żadnego pocieszenia: na to był za dumny. Należy sądzić, że jego wewnętrzny dramat był tym trudniejszy do zniesienia.

I znowu nie mogę się oprzeć uczuciu, że był prawdziwie tragiczną postacią. Prawdą jest, że nigdy nie odszedł całkiem od swoich przekonań: oddał życie socjalizmowi i nie przestał weni wierzyć do końca, mimo że wiedział lepiej niż ktokolwiek, w co się wyrodziły socjalistyczne ideały i w co – przynajmniej w ich leninowskim wariacie – musiały się wyrodzić, mianowicie we wszechwładzę państwa, jedynego pracodawcy i jedynego wyzyskiwacza ludzi pracy, centralnego manipulatora wszystkich dziedzin życia i najbardziej niesprawnego kapitalisty, jakiego można sobie wyobrazić. Ideologia, która zapewniła, że państwo stopniowo obumrze, zrodziła najpotężniejsze państwo, jakie kiedykolwiek istniało, państwo totalitarne, a rzekomo wyzwolona klasa robotnicza marzy o prawach, jakimi cieszą się jej bracia w krajach kapitalistycznych.

W jaki socjalizm wierzył pod koniec życia człowiek, który to wszystko wiedział? Co to słowo znaczyło dla niego po wszystkich gorzkich doświadczeniach? Pluralistyczny system niezależnych jednostek gospodarczych? Przedsiębiorstwa należące do pracowników? Samorządność gospodarczą? Stosunki rynkowe? Spółdzielnie i małe przedsiębiorstwa prywatne? Musiał sobie zdawać sprawę, że prawdziwy pluralizm ekonomiczny jest nie do pomyślenia bez nieograniczonego pluralizmu politycznego. Co jednak w jego oczach taka idea miała wspólnego z socjalizmem? Koniec końców „socjalizm” nigdy nie był dla komunistów niczym innym jak zaszyfowaną nazwą ich jedynowładztwa (a wszelkie zamachy na nie zawsze nazywali – i nadal nazywają – „knowaniami sił antysocjalistycznych”). Czy odszedł od tradycyjnej komunistycznej definicji socjalizmu na rzecz jakiejś innej, na przykład socjaldemokratycznej?

Nie wiem. Zawsze miałem nadzieję, że kiedyś pomówię z nim szczerze i szczegółowo o tych wszystkich sprawach. Nawet siedząc w 1979 roku w rużyńskim więzieniu (niedługo po tym, jak mnie rano zbudzono i powieziono na pogrzeb ojca), wciąż planowałem, że jak tylko wyjdę, zaproszę go i jego żonę Rywę na długą rozmowę, żeby go o to wszystko wypytać. Nie było mi dane: podczas przerwy w rozprawie apelacyjnej mój adwokat posiłkowy, Otko Bednařova, szepnęła mi do ucha, że Kriegel nie żyje.

Jestem więc skazany na domniemanie. Mam uczucie, że pod koniec życia František Kriegel miał na temat najlepszego sposobu

organizacji społeczeństwa podobne zdanie jak ja i wielu innych, którzy od dawna unikają słowa „socjalizm” z powodu jego semantycznej dwuznaczności.

On jednak nie przestał go używać. Zastanawiam się, dlaczego. Czy wrócił pod koniec życia do punktu wyjścia – do idei socjalizmu – tylko widział go w jakimś nowym świetle? Czy chodziło o to, że słowo „socjalizm”, tak jak inne słowo, „towarzysz”, było dla niego ostatnim symbolem dawno rozpadłej wspólnoty wyznawców, z którym po prostu nie umiał się rozstać? Czy trzymał się go jako symbolu ciągłości moralnej całego swego życia? Czy też przypominało mu niegdyśjsze ideały, entuzjazm i minione walki, jego historyczne listy uwierzytelniające, by się tak wyrazić? Czy może wyrażał nim więź z zachodnimi przyjaciółmi, eurokomunistami, szczęśliwymi w swojej niewinności; nie przeszli oni bowiem przez doświadczenie budowy socjalizmu i nieuchronną utratę złudzeń, więc świat wciąż miał dla nich upojną woń wspaniałej przyszłości? Czy też była to tylko inna nazwa lepszego świata?

Tragiczne paradoksy, które wyczuwam w osobowości, czynach i losie Františka Kriegla nie są właściwe tylko jemu, ani nawet tylko komunistom. Mam wrażenie, że wyrażają one lub nawet symbolizują znacznie głębsze, być może fundamentalne paradoksy naszych czasów. Ledwie je tu musnę przy pomocy kilku pytań.

Czy ludzie posłuszni tylko własnemu sumieniu albo podstawowym zasadom moralnym mogą w dzisiejszym skomplikowanym świecie zajmować się czynnie polityką? Czy też muszą zawsze, chociażby częścią swojej istoty, należeć także do świata ideologii, doktryn, wyznań politycznych i powszechnie przyjętych dogmatów i stereotypów? Czy wystarczy, by wierzyli w życie, dobro i własny rozum – czy też muszą równocześnie wierzyć w coś mniej czystego i prostego, jak na przykład w ich własną partię polityczną? Czy ludzie prawdziwie czystego serca i niezależnego ducha, zdecydowani kierować się tylko nimi, mogą zdobyć prawdziwą władzę w świecie sekciarskich interesów, irracjonalnych namiętności, „realiów politycznych”, złąknionych władzy ideologii i ślepych buntów, krótko mówiąc, w chaosie współczesnej cywilizacji? Czy tacy ludzie mogą coś osiągnąć w tych dziedzinach? Czy

też nie mają innego wyjścia, jak tylko wdać się – w wyniku realistycznego kompromisu, czy z idealistycznej wiary – w coś, czemu świat bardziej ufa, co być może w pierwszej chwili zgadza się z ich sumieniem, ale w każdym momencie może się obrócić przeciwko nim?

Dzisiejsi młodzi Czesi i Słowacy zupełnie nie zdają sobie sprawy, że mieszałyśmy kiedyś w tym kraju polityków – nawet komunistycznych – którzy byli normalnymi, godnymi szacunku i wiernymi swym przekonaniom ludźmi i że los niektórych spośród nich był naprawdę tragiczny. Młodszymi pokoleniami trudno to sobie dziś wyobrazić. Jedyni przywódcy, jakich znają, są biurokratami o miedzianych czołach i twarzach mumii, którzy jeżdżą swymi limuzynami na sygnale, zatrzymując wszelki ruch, i od czasu do czasu odczytują w telewizji kilka nudnych banałów, mało co mających wspólnego z rzeczywistym życiem. Chociażby dla tych młodszych pokoleń należałoby napisać książkę o Františku Kriegl: nie tylko po to, by nie zginęła pamięć o nietuzinkowym człowieku, ale także po to, by lepiej rozumieli zawily świat, w którym żyją i dlaczego ich poprzednicy robili to, co robili i dowiedzieli się czegoś więcej o ich problemach, ideałach, złudzeniach, zwycięstwach i porażkach. Mogłoby to pomóc w zrozumieniu, iż nawet w dzisiejszym świecie można pracować dla czegoś sensownego, jeśli tylko nie bać się przeszkód i ofiar. I wreszcie mogłoby im to uprzytomnić, że polityka i politycy nie muszą być przedmiotem drwiny; mogą także być przedmiotem szacunku.

Napisałem to, by uczcić osiemdziesiątą rocznicę urodzin Františka Kriegla.

23.1.1988

Vaclav Havel

Tłumaczyła z angielskiego Julia Juryś, pierwodruk w niezależnym czeskim piśmie *Obsah*.

# *polemiki*

Ewa Bleńkowska

## POWRÓT DO KLASY

Takich tekstów jest dużo. W prasie nieoficjalnej i oficjalnej, wygłaszanych w telewizji i z ambon kościelnych. Mniej mogą je sobie wyobrazić w prywatnych rozmowach ludzi rzeczywiście przeżywających lub zastanawiających się nad tymi problemami – teksty ustawione są na taką tonację, która z trudem wchodzi w styl kołokwialny zwykłej rozmowy wśród przyjaciół, krewnych, kolegów z pracy. Bowiernie nie tyle problem, ile tonacja nadaje piętno owym tekstom i pozwala je z bliska rozpoznać. Wydzielają one na odległość specyficzną aurę, w której węch odkrywa jakby przywrócenie czegoś dawnego, z lat dziecięcych, mieszaninę zapachu z czytanek szkolnych i z sądu koleżeńskiego nad współuczniem, z którego wyiały brzydkie cechy. Czytanek nie lubiliśmy, bo były drętwe, ale poddawaliśmy się im, bo nie było innego wyjścia. Za sądami koleżeńskimi większość przepadała – to była prawdziwa gra w dorosłych. Wyobrażaliśmy sobie, że to wszystko do nas należy: niezachwiana wiara, co jest dobre, co złe, moc przygwożdżenia brzydala złapanego na gorącym uczynku do jego moralnej brzydoty, decyzja kary, która go napiętnuje i wyłącza (czasowo lub definitywnie) spośród nas. Mimo że czasy szkolne są już tak dawne, zawsze podskórnie wyczuwa się ich obecność gdzieś wokół siebie, rozprószoną w dorosłej rzeczywistości i gotową w każdej chwili zewrzeć się w gęsty obłok i spaść ulewnie na nasze

głowy. Zapewne dlatego częste są senne koszmary, że oto ktoś wrócił do klasy, siedzi w ławce i przerażony czeka na wywołanie do tablicy.

Za przedmiot krótkiej refleksji niech posłuży mi jeden z tych wydzielających specyficzną aurę tekstów, akurat jeden z najświeższych w obiegu, opublikowany w ostatnim (50) numerze *Aneksu*. Przeczytawszy przypomniałam sobie, że już coś niemal identycznego wyszło spod pióra autora, Tomasza Łubieńskiego, mianowicie artykuł zamieszczony niegdyś w *Kulturze*. Tamten nosił datę 1983, ten nowszy jest odbiciem stanu ducha z roku 1988. Po pięciu latach sytuacja wcale się nie zmieniła w kierunku, jakiego pragnął, ale przeciwnie: przyspiesza w kierunku, który budzi w nim protest. Zresztą jak zawsze powtórzenie nie jest całkowite, bo siłą rzeczy w gest powtórny wślizgują się nowe odcienie, które się tymczasem ujawniły. Tak więc „pokusa enigracyjna” – bo o nią chodziło w roku 1983 – przekształciła się w roku 1988 w straszliwą i podstępą chorobę zbiorową.

Ogólne hasło, pod którym spotykają się oba teksty (i tyle, tyle innych), wyrażone zostało w zdaniu: „Enigracja stała się jakąś ogólną psychozą polskiego społeczeństwa” (*Aneks*). Jest to prawda zapewne niepodważalna, oto mamy przed sobą jeden z dowodów: psychoza szerzy się i wcale nie działa selektywnie, żadna cnota nie daje przed nią zabezpieczenia. Ofiarą padają i wyjeżdżający, i pozostający, i autorzy tekstów na ten temat. W rezultacie nasz autor na całość życia i zachowań Polaków (kim by nie byli i gdzie by nie byli) spogląda jak na gigantyczny zespół symptomów chorobowych, którym nikt i nigdzie się nie wymknie, choćby nie wiem, jakie chytryści wymyślał dla samoobrony. Epidemia szaleje wśród ludzi poważnych i cwaniaków, robotników i prywatyzatorów, wśród inteligencji technicznej i humanistycznej, artystów i naukowców, opozycji i reżymowców, wśród zdezorientowanych przyjaciół tych, co wyjechali, i rodziców, którzy radują się nowym życiem dzieci na obczyźnie.

Gdy mowa o chorym społeczeństwie, pierwszy odruch człowieka myślącego to zbadać zjawisko, zbliżyć się do niego z postawą zarazem nie związaną (psychotycznie) i rozumiejącą, ustalić, na czym polega i jak przebiega choroba i jak może być ewentualnie przezwyciężona. Nic takiego nie znajduję w tekstach

Łubieńskiego. Nie refleksja przez nie przemawia, ale cała gama stanów emocjonalnych, nie analiza, ale obrażone moralizatorstwo. Chcę podkreślić: istnieje poważny problem – problem emigracji z Polski dzisiaj. Problem społeczny, ekonomiczny, demograficzny. Problem specjalistów, których zaczyna brakować, nieobsadzonych zawodów (lekarzy, techników, inżynierów), wyrw w grupach wieku ludności aktywnej, które odbijają się niekorzystnie na życiu kraju. Są to sprawy trudne, w pewnych dziedzinach nawet dramatyczne i wydaje się, że myślenie o nich powinno być również myśleniem poważnym i kompetentnym, informacyjnym i analitycznym, jak każda refleksja o tym, co dzieje się w społeczeństwach – zwłaszcza we własnym. Tymczasem w obu artykułach problem utopiony jest w alergicznej tonacji, w atmosferze porachunków dobrych Polaków ze złymi. O samej emigracji niczego się z tych artykułów nie dowiemy: jak naprawdę wyglądają dzisiaj rozmiary zjawiska, jakie sfery życia w Polsce są szczególnie dotknięte. Nie to zdaje się interesować autora, lecz roztoczenie wokół sprawy aury sądu moralnego, który z decyzji wyjazdu (a nawet z wewnętrznych deliberacji „kuszonych” osób) uczyni rzecz szpetną.

Atmosfera języka szkolnej powraca gęstym zaduchem – z tym, że dodają się do niej ingredience bardziej subtelne, powiedziała-bym, natury mistyczo-teologicznej. Autor nie tylko wyraża swoje oburzenie i wstręt wobec zjawiska, którym się zajmuje – pozwala nam pośrednio na wgląd w zasady, w imię których rzecz na nic innego nie zasługuje, jak oburzenie i wstręt. I nie stany duszy, ale owe zasady najbardziej mnie zaciekały. Wydają mi się charakterystyczne i warte przemyślenia.

Dwa typy języka uderzają w tekstach Łubieńskiego. Jeden jest skrzyżowaniem stylu wojskowego z ambicjami centralnego planifikatora. Ludźmi dysponuje się, stawia bądź odwołuje z placówek, przesuwa i grupuje – daje się im zadania. W naszych tekstach najdosłowniej mówi się o „froncie” i „wylamaniu z szeregu”, „pozwała się” na coś ludziom, w ludzkim zachowaniu „widzi się (lub się nie widzi) narodowy interes”, na coś (pewne decyzje jednostek) „nie możemy sobie pozwolić”, pewne jednostki warto „delegować na emigrację”, a pewnym „zezwać na powrót” (*Kultura*). W rozpalonej wyobraźni autor już przebywa w centralnym sztabie

i ma pod sobą do rozporządzenia tysiące indywidualnych losów, które zmasuje nadając im cel i sens.

Drugi język, z pozoru na antypodach pierwszego, to język skargi i krzywdy, rany zadanej żywemu ciału. Emigranci to ci, co oderwali się od jedności wywołując zamęt w zbiorowym organizmie. Czytamy więc u Lubieńskiego zdania zdumiewające: że ci, co zostali, opuszczeni przez decyzję opuszczających, czują się osmieśzeni, muszą walczyć z własnym poczuciem śmieśczości (*Aneks*). Że czują się porzuceni w nieszczęściu, a skoro są tacy, co nie chcą dzielić wspólnego losu, to pozostali w kraju zaczynają wątpić w sens życia (*Aneks*). Że wyjeżdżający poddają w wątpliwość szanse opozycji (*Aneks*). Styl rozkazu i styl skargi w istocie świetnie do siebie pasują. Zbiorowy organizm jest niepodzielny, zawiaduje sobą (zawiaduje się nim?) zbiorowo i centralnie. Gdy jakakolwiek część odrywa się od wspólnego krwiobiegu, jest to okaleczenie, samookaleczenie dla obu stron. Organizm cierpi, niesforna część zostanie ukarana, bo tak czy owak szczególnie ze zbiorowego punktu widzenia (patrz opis emigracyjnego zatracenia nieszczęśliwych). Organicystyczna wizja Lubieńskiego kulminuje w zdaniach, gdzie mowa o tym, że wyjeżdżający oddziela się od jedności, na którą składa się całość polskiej sytuacji: i rodzina, i przyjaciele, i generał (*Kultura*). Oczywiście, w zbiorowej tkance generał ma niebagatelne miejsce: jest, trwa, wtopiony w jedność na zasadzie jej negatywnego bieguna. Tym silniej spaja on obraz całości, bo przecież emigrant za jednym zamachem wybiera i przeciw niemu, i przeciw jego pozytywnemu przeciwieństwu!

Ale to nie wszystko. Następny krok uzupełni filozofię autora organicystyczną etyką i czymś w rodzaju narodowej eschatologii. Oto w naszym obrazie istnieje czyściec i piekło – względne bądź bezwzględne oderwanie się od zbiorowości. Kolaborant przebywa w czyściecu – jest jeszcze nadzieja, ponieważ on jest na miejscu, fizycznie chociaż trwa we wspólnocie („dzieli nasz los” – mówi Lubieński). Jak pouczają teologowie, po jednej stronie „istnieje zawsze jakaś szansa wejścia na dobrą drogę” (to nasz autor – *Kultura*). Po drugiej – już tylko cieniowości zewnętrzne, płacz i zgryzanie zębów.

Oczywiście, bez trudu rozpoznajemy ten ton. Od blisko dwustu lat hałasuje on w Europie. Były chwile, gdy mogło się zdawać, że



jest tonem pragnącego rozwinąć skrzydła życia, ale od pewnego czasu nie ma już chyba co do tego żadnych złudzeń. Ton, który wydobyli z siebie najpierw romantycy niemieccy z ich systematyczną teologią narodu, przekazali go romantykom polskim, słowianofilom rosyjskim, a który dziwnymi kolejami historii znalazł dziś siedlisko w krajach trzeciego świata. (I jeśli ktoś mi powie, że właśnie jemu zawdzięczamy wolną Polskę w 1918 roku – to się z nim nie zgodzę.) Ciekawe, jak wobec problemu emigracji ten wysoko mistyczny ton spotkał się z carską, a potem stalinowską koncepcją zamknięcia granic. Bo w końcu jedna jest tylko skuteczna odpowiedź na piekielną pokusę narodowego renegactwa, wszystkie inne to wstydlive i niezdarne półśrodki. Ci, co pragną wyjechać, są albo źli – i wtedy trzeba ich ukarać, albo nieświadomi – i wtedy trzeba ich ocalić przed krokiem w przepaść. Z naszych tekstów zdaje się wynikać, że dekretowe regulowanie zachowań ludzkich, procesów społecznych nie byłoby w sumie obce pragnieniom autora. Rzecz jasna idzie mu o niepisane „dekrety” środowiska, dysponującego sankcjami natury towarzyskiej. Jest to wizja bezsilnych, nie rozporządzających innymi środkami. Ale drzemie w niej pewna niepokojąca siła...

Tomasz Łubieński zdaje sobie sprawę z ostrości swojej tonacji (nie wiem, czy zdaje sobie sprawę z konsekwencji swoich poglądów) – i dlatego próbuje złagodzić ją zdaniem zupełnie nie pasującymi do reszty. Na przykład wzywa, by nie moraizować i „uważać na ostrych moralistów” (*Aneks*). W samej rzeczy. Ale uważać na nich trzeba nie dlatego, że uosabiają niemądrą postawę, a dlatego, że może w stosownym momencie i oni mykną za granicę („bez powrotnego biletu”). Albo znów autor zaleca, by nie zajmować się za dużo emigracją, nie spekulować, nie martwić się, nie potępiać. No cóż, drogowskaz nie musi (nie może! – jak wiadomo) chadzać drogą, którą wskazuje. Moralnie najprzykrzejszy, pełen resentymetu, jest fragment artykułu w *Aneksie*, gdzie wyliczone jest sześć kategorii emigrantów\*, którzy „nie podobają się” autorowi (delikatny eufemizm). Zachodzi obawa, czy te

\* Łubieński pisze „neoemigranci”. Dziwny brak perspektywy historycznej u znawcy historii. Zawsze jacyś emigranci są „neo” wobec poprzednich.

sześć kategorii nie spełnia po prostu roli *pars pro toto*. Z takimi przesłankami proponuje dalej, by spotykać się z nimi pogodnie i bez kompleksów. Wydaje się, że ze strony autora takie spotkanie nieprędko nastąpi.

Moralnie przykre – oba teksty Łubieńskiego są intelektualnie niebezpieczne. Pokazują, do jakiego stopnia w kraju, który nie przestaje wołać o swojej przynależności do Zachodu, o pragnieniu powrotu do Europy i oswobodzenia od wschodniego jarzma, mogą pozostać obce podstawowe zdobycze europejskiego świata: idea wolności jednostkowej i szacunku dla jednostki (czy, mówiąc słowami autora, nie możemy sobie na nie pozwolić w obecnych okolicznościach – odkładamy ich realizację do lepszego jutra?). Najbardziej nieprzemyślane zdanie w artykule z *Aneksu* zwraca się przeciwko tym, co ośmielają „posługiwać się wolnościową frazeologią dla załatwienia swojej prywatnej sprawy”. To jasne, że frazeologia to to, co uprawiają ludzie, z którymi się nie zgadzamy – tylko w naszych ustach wolność jest zgodna ze swoją prawdą. Natomiast warto zwrócić uwagę na to, że europejski wynalazek wolności polega dokładnie na tym, iż załatwianie prywatnej sprawy jednostki, każdej jednostki, jest tym, co daje dysponować sobą i służy do pokierowania indywidualnym losem zgodnie z własnymi aspiracjami.

Niechęć do liberalnej wizji społeczeństwa, do tego, co stanowi sam rdzeń zachodniej demokracji, jest w planie teoretycznym drastycznie sprzeczna z autentycznym rewindykacjami społeczeństwa polskiego. Cóż, kiedy w planie praktycznym, planie emocjonalnych odruchów i zadawnionych wyobrażeń, w najlepsze z nimi współżyje – i jeszcze jedno karmi się drugim w dziedzinie (meh będzie!) frazeologii. Filozofia tekstów Łubieńskiego zakorzeniona jest w starym romantycznym nacjonalizmie, który Europa musiała boleśnie przewycierać, żeby stać się rzeczywistością przestrzemią wolności. Nacjonalizm teologiczny romantyków był jeszcze w swoich początkach niewinnym i nawet płodnym nieporozumieniem (z punktu widzenia zarówno chrześcijańskiego, jak i świecko-politycznego). Dzisiaj w żadnym wypadku nie jest on ani niewinny, ani płodny. Postawa tego typu uważana jest za groźbę przede wszystkim w swoich skutkach wobec innych narodów i narodowych mniejszości. Proponuję uświadomić sobie, że

jest – bywa – równie groźna w skutkach wobec własnej zbiorowości, wobec składających się na nią jednostek, do których infantyli-zacji i ubezwłasnowolnienia świadomie czy nieświadomie zmierz-za. Jeśli mentalność, jaka przebija przez te teksty, jest rzeczywi-ście czymś reprezentatywnym dzisiaj w Polsce – smutna to rzecz dla naszego kraju.

Ewa Bieńkowska

Tomasz Łubieński



Chciałbym podziękować Ewie Bieńkowskiej za zwrócenie uwagi na mój artykuł zamieszczony w *Aneksie* nr 50. Od kilku lat w różnych formach literackich zajmuję się, bez większego odze-wu, tematem emigracyjnym. Dziwi mnie trochę, że akurat na „Neoemigrantów” z *Aneksu* doczekałem się zagranicznej odpra-wy, tym bardziej że piszę samokrytycznie o krajowym kompleksie wobec emigracji, wytykając mu niebezpieczne przemieszanie zawisłości i moralizatorstwa.

Moja polemistka artykuł w *Aneksie* oraz poprzedni z paryskiej *Kultury* (z 1983 r.) poddaje badaniu przy pomocy surowej aparatury intelektualnej. Wychodzę z tego badania jako romantyczny i teologiczny nacjonalista, co brzmi groźnie i efektywnie, więc już wstępnie nie przyznaję się do takich win – nie chodzi o jakąś ide-ologię, tylko o pytanie znacznie prostsze, na poziomie elementar-nym.

Czy wypada korzystać ze społecznej klęski dla wspomnienia prywatnych planów? (13 grudnia pomógł przecież w emigracji). Czy to ładnie chwycić okazję do wygodniejszej ucieczki, kiedy robi się trudno? Czy elegancko jest nadużyć zaufania, nie państwa przecież ani narodu, ale – powiedzmy – profesora, który (przykład klasyczny) wywalczył asystentowi zamorskie stypendium, a ten zostaje sobie, bo dostał propozycję, którą rozpatrzył zgodnie z tym, co Ewa Bieńkowska zwie „europejskim wynalazkiem wolności”? Tu chciałbym dodać, że ludzie z tak zwanego terenu nie znają podobnej terminologii: być może dlatego wyjeżdżali często ukradkiem, a nawet kiedyś któryś z nich (jak mi to opowiadano w mieście Bielsko Biala) zostawił kolegom na stole kartkę ze słowem „przepraszam”.

Ironizuje Ewa Bieńkowska, że dla mnie emigracja to „ciemności zewnętrzne, płacz i zgrzytanie zębów”. Więc też spróbuję być dowcipny i powiem – ależ skąd. Żadne ciemności, lecz rześiste oświetlenie (i to prawdziwe, nie potomkowskie, jak podczas tegorocznych świąt na wyludnionych wieczorami Nowym Świecie). Jaki płacz? – przeciwnie, poczucie humoru (przykłady podałem w ostatnim *Aneksje!*) Zgrzytanie zębami? Raczej zacieranie rąk (do sensownej pracy). Chciałbym też uspokoić Ewę Bieńkowską, że moralizowanie osób, które mają jakąś sensowną okazję do wyjazdu i skłonności po temu, jest całkowicie nieskuteczne. Więc chociaż niech będzie wolno skrzywić się, podchwycić coś złośliwie. Na przykład cytując felietonistę z *Kroniki emigracji polskiej* (zbliżonej do Hotelu Lambert), który pisał 150 lat temu: „Znam wielu patriotów, którzy tak kochają Polskę, tak czują jej nieszczęścia, tak boleją nad jej boleściami, że ani chwili w niej wysiedzieć nie mogą”.

Otóż właśnie: wielu teologicznych, romantycznych i praktycznych nacjonalistów w emigrowało, nie wraca, a w kraju pozostał niejeden kosmopolita, który choć dążyłby sobie radę gdzie indziej, nie rwie się do korzystania z europejskiego wynalazku wolności. Być może ci ostatni jeszcze sami pozalują albo kiedyś własne dziecko ich zwymyśla za ten fason. Mnie osobiście imponują, wydają się szczególnie szykowni i europejscy. Pragnąc jednak dojść z Ewą Bieńkowską do kompromisu, przypomnę z pamięci, co Lech Wałęsa powiedział ostatnio rodakom w Paryżu: każdy ma prawo

robić, co chce, brak specjalnych argumentów za powrotem, bo ciężko jest, ale kochani, naprawdę mogliście jeszcze trochę w kraju wytrzymać.

Tomasz Łubieński

NAKŁADEM ANEKSU

Czesław Miłosz

TRZY ZIMY

&

GŁOSY O WIESZACH

Renata Gorczyńska i Piotr Kłoczowski (red.)

W pięćdziesiątą rocznicę ukazania się tomu wierszy  
Trzy zimy reprodukcja oryginalnego wydania z 1936 r.  
uzupełniona próbą odczytania ich na nowo przez znanych  
poetów, pisarzy i krytyków literackich

Str. 136

Cena: £4,50 – \$11,00

GOMUŁKA I INNI

DOKUMENTY Z ARCHIWUM KC 1948–1982

Wstęp, wprowadzenia i przypisy – Jakub Andrzejewski

Str. 272

Cena: £7,00 – \$14,00

Ida Fink

SKRAWEK CZASU

Zbiór opowiadań o losach Żydów z małych miasteczek i wsi w czasie okupacji niemieckiej w Polsce, którzy nagle stanęli w obliczu zagłady. Autorka mówi szeptem, na tle tajnych schowków, strychów, stodół i bunkrów kreśli codzienne życie ukrywających się.

Str. 104

Cena: £3,50 – \$8,00

Hanna Krall

OKNA

Powieść współczesna

Str. 98

Cena: £4,00 – \$8,50

# książki

Jakub Andrzejewski

## PSYCHOPATOLOGIA NARODÓW EUROPY ŚRODKOWEJ I WSCHODNIEJ

Istvan Bibó:

*Misère des petits Etats d'Europe de l'Est*

Ed. L'Harmattan, Paris 1986.

Od dziesiątków lat trwają dyskusje o Europie: o jej przeszłości (świetnej), o każdorazowej terażniejszości (raczej kiepskiej) i o przyszłości, która – o ile w ogóle będzie – rysuje się w tych dyskusjach na ogół beznadziejnie. Od pewnego czasu osobne miejsce zajmuje w nich debata na temat tej części Starego Świata, którą nazywa się Europą bądź to środkową, bądź wschodnią, a najczęściej środkowo-wschodnią. Zabierali, zabierają i zapewne zabierać będą w niej głos pisarze, filozofowie, historycy, politolodzy, ekonomiści. Także księża i dziennikarze. Integralną częścią tej debaty jest przypominanie dawniejszych wypowiedzi powstałych czy to z namysłu badawczego, czy z potrzeby chwili. Do tej ostatniej kategorii zaliczyć można ogłoszone w serii „Domaines danubiens” eseje Istvana Bibó (1911-1979). Prawnik, historyk i politolog, czynny politycznie w latach 1945-1946 i w czasie rewolucji węgierskiej 1956 r., stał się Bibó jednym z mistrzów młodszej generacji węgierskiej inteligencji, która zerwała w ostatnich latach z marksizmem. Aktywność pisarska Bibó poza jego uni-

wersytecką specjalnością (prawo międzynarodowe i teoria prawa) była krótka, ograniczała się do lat 1942-1948 i zaowocowała sześcioma esejami, których większość poświęcona jest sprawom Węgier. Z planowanej książki *Równowaga i pokój w Europie* ukończone zostały tylko dwie części, które weszły do przedmiotowego tu tomu - są to „Przyczyny i dzieje niemieckiej klęski i oraz, tytułowa, „Nędza małych państw Europy wschodniej”. Dwa pozostałe eseje pomieszczone w tomie, w tym najobszerniejszy ze wszystkich poświęcony „Kwestii żydowskiej na Węgrzech po 1944”, dotyczą spraw wewnętrznowęgierskich.

Teksty Bibo, na które chciałbym zwrócić uwagę, nie należą do tej grupy wypowiedzi na temat Europy „środkowej”, których tematem są debaty czy to na temat zasięgu terytorialnego i właściwej nazwy czy to prawomocności należenia tego regionu do Europy. Analizując sytuację polityczną w Niemczech, które wraz z Włochami zalicza do Europy środkowej, i międzynarodową w strefie znajdującej się - *grosso modo* - między Niemcami a Rosją (do której włącza Ukrainę i Białoruś) szuka Bibo przyczyn, dla których dzieje społeczne potoczyły się tu inaczej niż na zachodzie i północy kontynentu. A w istocie odpowiedzi na pytania: skąd się wziął i dlaczego na wschód od Renu tak się rozwinął nacjonalizm? Może inaczej - dlaczego nacjonalizmy na wschód i na zachód od Renu różnią się? Zainteresowania Bibo nie były li tylko poznawcze. Zarówno w esej o Niemczech, pisanym w latach wojny, jak i w tekście o Europie wschodniej, napisanym w 1946 r., analizy kończą się wnioskami natury politycznej, które dotyczą sfery profesjonalnych zaangażowań autora, tj. prawa międzynarodowego. Pragnie Bibo ostrzec zarówno kraje bezpośrednio zainteresowane, jak i wielkie mocarstwa przed popełnieniem błędów z roku 1919, które utrzymywały cały ten region w stanie anarchicznej wojny każdego z każdym, a w Niemczech wytworzyły sytuację, której społeczeństwo nie mogło ścierpieć.

Tezy, które w tych błyskotliwie napisanych esejach stawia autor, nie noszą znaków jego patentu, ale nie są też, nawet dziś, sądami obiegowymi i zbanalizowanymi. Warto są więc przypomnienia, choć najciekawsze dla mnie były próby ukazania, jak doświadczenie społeczne przekłada się na zachowania i przekonania zbiorowe. Nie ma w rozważaniach węgierskiego prawnika

natrętniej psychoanalizy czy biologizmu, lecz jest coś więcej niż zwykle tłumaczenie faktów postawami społecznymi.

Centralnym punktem wyjścia rozważań uczynił Bibo specyficzne okoliczności i warunki powstawania nowoczesnych narodów, do którego to procesu ostateczny impuls dała Rewolucja Francuska. Otóż w okresie tym na wschód od Renu istniały narody pozbawione państwa (m.in. Polacy, Czesi, Węgrzy) albo takie, które posiadały kilka „swoich” państw (Niemcy, Włosi). Brak było koherencji między narodem a państwem; miało to, wedle autora, co najmniej dwojakie konsekwencje: 1) wyłączenie własnego państwa, lub też zjednoczenie narodu w jednym organizmie państwowym, stało się głównym celem czołowych sił społecznych i absorbowало energię społeczną oraz – oczywiście – spowodowało narodziny agresywnego nacjonalizmu językowego, gdyż wspólnota kulturowa była głównym wyznacznikiem jedności; 2) wobec braku własnego lub jednolitego organizmu państwowego i wynikającego z tego napięcia uczuć narodowych nie zaistniało w tym regionie sprężenie między demokracją a nacjonalizmem, zdobycie władzy przez „lud” i „stan trzeci” we własnym, jednolitym państwie – stąd słabość tutejszej demokracji. Czynniki te działały przez cały XIX wiek, przy czym Bibo kładzie duży nacisk na trwające wówczas (i aż do dziś) rozbięcie narodu niemieckiego, któremu nie zapobiegł nawet Bismarck i którego nie zażegnało powstanie Rzeszy: pozostawali poza nią Austriacy, którzy są dla Bibo takimi samymi Niemcami, jak Bawarczycy, Sasi czy Prusacy.

Wschodnioeuropejskie narody pozbawione w XIX wieku własnych państw, a szczególnie tak zwane narody historyczne – te, które miały państwa w przeszłości – bezskutecznie walczące o restytucję, nabrały, jak pisze Bibo, „mentalności wierzycieli, uważając, że świat winien jest im wszystko, a one jemu niczym dłużne nie są”. Spowodowało to między innymi, iż w chwili, gdy mogły odzyskać niepodległość, bez żadnych skrupułów zażądały uznania granic historycznych nie licząc się zupełnie z innymi. A przecież żyły one, podobnie jak „ci inni”, w stałym lęku o przetrwanie jako wspólnota. Lęk ten z kolei powodował wzmocnione wysiłki warstw oświeconych dla uodpornienia warstw niższych przeciwko możliwości wynarodowienia lub dla wzmocnienia ich



uczuc narodowych. Wysiłki te nader często przybierały formę nacjonalistyczną. Wyrastała na tym tle megalomania narodowa. Narody te nie były w stanie zrozumieć, że „wielkość narodowa polega na życiu bez kompleksów, w naturalnym spokoju, nie starając się epatować świata swymi wyczynami”. Tymczasem tutaj sukcesy takie jak Nagrody Nobla czy rekordy olimpijskie „nie mają wartości same w sobie i dla nich samych, ale stają się tytułami do narodowej chwały”. Myśl polityczna kieruje się głównie ku samousprawiedliwianiu, poddaje się z łatwością formom mistycznym i magicznym. Nawet nauka ma nosić charakter „narodowy” i zajmować się głównie podbudowywaniem morale i utwierdzeniem narodowej pewności siebie.

Lęk o zachowanie zbiorowej tożsamości i pamięć o krwawych nieraz walkach prowadzonych w celu odzyskania (lub zdobycia) niepodległości spowodowały, iż w regionie tym dość często absolutyzowano państwo, a nawet ubóstwiano, broniono je przed wszelkimi tendencjami, które mogły – a choćby tylko wydawało się, że mogły – zaszkodzić mu lub je rozsadzić. W tym wszystkim nader silne były tendencje antydemokratyczne, jako że miało miejsce zaburzenie wzajemnych stosunków między demokracją a nacjonalizmem. Być demokratą, pisze Bibo, oznacza nie bać się tych, którzy mają odmienne zdanie, mówią innym językiem, należą do innej rasy; nie lękać się rewolucji, konspiracji, sztuczek przeciwnika ani jego propagandy. Tymczasem w państwach Europy środkowej i wschodniej stan wyjątkowy był raczej regułą niż wyjątkiem, wolności obywatelskie chętnie zawieszane, nazbyt często stosowano cenzurę, a polowanie na „zdrajców” i „najemników na żołdzie wroga” było stałym zajęciem nie tylko kontrwywiadów czy policji, ale także najróżniejszego autoramentu propagandzistów. Kraje te znajdowały się, twierdzi Bibo, w stanie „pre-demokracji” i wciąż rozlegało się w nich wołanie o silnego męża stanu, który zapewni spokój.

W centrum ich zainteresowań politycznych były spory terytorialne, królował ewidentny „terytoriocentryzm”, a polityka zagraniczna nie opierała się ani na uznanych zasadach, ani na obiektywnych interesach, lecz wyłącznie na rewindykacjach. Żaden naród Europy środkowej i wschodniej „nie miał na tyle mądrości, aby wznieść się ponad spory terytorialne”; państwa te –

pisze Bibo – „nie były ani faszystowskie, ani demokratyczne ze względu na zasady, ale tylko w zależności od tego, czy faszyzm lub demokracja dawały im większe możliwości terytorialne”. Można uważać, iż temperament publicystyczny ponosi chwilami autora, ale przecież trzeba mu przyznać rację, że narody leżące między Niemcami a ZSRR wykazały w okresie międzywojennym brak dojrzałości i zasad: najpierw państwa Małej Ententy czyniły wszystko, co możliwe, aby storpedować próby pojednania francusko-niemieckiego, a w 1938 r. z kolei Węgry i Polska „nie były zdolne do uczynienia najmniejszego gestu solidarności wobec nieszczęsnego sąsiada” (można dodać – wzięły chętnie udział w jego rozbiorze). Lata międzywojenne przyniosły „proces barbaryzacji regionu”. Źródłem tej barbaryzacji były konflikty narodowościowe – zarówno te, które rozgrywały się w obrębie poszczególnych państw, między większością a mniejszością, jak i te, które wybuchały między państwami z pozoru tylko narodowymi. Z pozoru, gdyż w obrębie jednego państwa zamieszkiwało kilka narodów, albo istniały narody nie mieszczące się w granicach jednego, własnego państwa.

W postulatycznej części swego wywodu za warunek niezbędny „znormalnienia” narodów tego regionu uważa Bibo porzucenie wszelkich koncepcji granic innych niż etniczne (językowe) – ani granice historyczne, ani strategiczne, geograficzne czy ekonomiczne nie wywołają innej reakcji jak sprzeciw, dążenie do rewizji i będą utrzymywać anomalie nacjonalizmów przeszłości w kolejnych pokoleniach. Nie jest panaceum, ostrzeżenie, nawet federalizm, który miałby zastąpić wzajemne porozumienie co do granic. Kolejność musi być odwrotna: najpierw porozumienie co do granic, a potem federacja. Aby uzyskać „czystość” terytoriów, dopuszcza autor zasadę „wymiany ludności”. Otóż w latach 1945-1948 na wielkich obszarach pomiędzy Bałtykiem a Dunajem i Odrą a Prypecią wykonano, z reguły brutalnie i bez pytania o zgodę, także „czyszczenie”. Dokonało się to w cieniu, a często z inspiracji mocarstwa nadzorczego, co uniemożliwia zbadanie wartości tezy Bibo, iż powstanie państw jednolitych narodowo zażegna konflikty w tej części Europy i uleczy ją z antydemokratycznych nacjonalizmów. Od 1945 roku trwa w tym regionie dominacja ZSRR nie natrafiająca na żadną realną konkurencję, trudno więc orzec,

czy wyraźne obniżenie temperatury konfliktów narodowych ma charakter trwały, czy też są one obecnie przytłumione przez uczucia antysowieckie (czytaj: antyrosyjskie).

Jakub Andrzejewski

NAKŁADEM ANEKSU

Adam Michnik

## SZANSE POLSKIEJ DEMOKRACJI

Artykuły i eseje

WTOMIE m.in.: Szkice historyczne – Szanse polskiej demokracji – Na marginesie bieżących wydarzeń (lata 1980-1981) – Po grudniu – Listy z Białoleki.

Str. 256

Cena: £4,80 – \$10,50

Adam Michnik

## TAKIE CZASY

### RZECZ O KOMPROMISIE

Książka napisana w więzieniu w 1985 r. na temat polityki władz oraz celów i taktyki KOR-u, jak również – po Sierpniu 80 – „Solidarności”, przed i po wprowadzeniu stanu wojennego.

Str. 140

Cena: £3,00 – \$7,50

## noty o autorach

JAKUB ANDRZEJEWSKI - pseudonim.

ZYGMUNT BAUMAN - profesor uniwersytetu w Leeds. Do 1968 roku wykładał na wydziale socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Opublikował m.in. *Towards a critical sociology: an essay on common sense and emancipation* (1976), *Socialism. The active utopia* (1976), *Hermeneutics and social science: approaches to understanding* (1978), *Legislators and interpreters: on modernity, postmodernity and intellectuals* (1987).

EWA BIENKOWSKA - ur. w 1931 r. Autorka książek: *Dwie twarze losu - Nietzsche, Norwid* (1975), *W poszukiwaniu królestwa człowieka. Utopia od Kanta do Tomasz Manna* (1981), *Dane odebrane* (1985). Współprace z *Zeszytami Literackimi*, *Znakiem*, *Études*.

FRANÇOIS BONDY - ur. w 1915 r. Esejista, dziennikarz, krytyk. W latach 1950-1969 redaktor naczelny *Preuves*. Od 1970 r. wydawca szwajcarskiego miesięcznika *Schweizer Monatshefte*, w którym ukazał się zamieszczony w niniejszym numerze esej.

RENAIA GORCZYŃSKA - ur. w 1943 r. Pod pseudonimem Ewa Czarnicka wydała zbiór rozmów z Czesławem Miłoszem pt. *Podróżny świata*. Opracowała i opatrzyła wstępem zbiór opowiadań Zygmunta Haupta pt. *Szpica* (Instytut Literacki, 1989). Tłumaczyła na angielski wiersze Miłosza i Zagajewskiego.

IAN T. GROSS - ur. 1947 r. Profesor Uniwersytetu Emory w Atlancie, USA. Autor książek: *Polish Society Under German Occupation* (1977), *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...* (wraz z Ireną Gładzińską-Gross, 1984), *Revolution from Abroad. Sovietization of Western Ukraine and Western Bielorusia, 1939-1941* (1988).

VACLAV HAVEL – ur. w 1936 r. Dramaturg, eseista, pierwszy rzecznik Karty 77. Laureat Nagrody Erazma (1986). Wieloletni więzień polityczny. Ostatnio opublikował tom listów z więzienia *Dopisy Olze* (1983), sztuki teatralne *Largo desolato* (1984) i *Pokuseni* (1985).

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI – ur. w 1919 r. Autor książek: *Inny świat* (1953), *Skrzydła ołtarza* (1960), *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice* (1963), *Dziennik pisany nocą* (1973, 1980, 1984), *Podróż do Burmy* (1983). Stały współpracownik paryskiej *Kultury*.

KRYSTYNA KERSTEN – historyk. Pracuje w PAN. Ważniejsze książki: *Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego* (1966), *Repatriacja ludności po II wojnie światowej* (1971) oraz ostatnio *Narodziny systemu władzy* (1986). Wkrótce nakładem Wydawnictwa Aneks ukaże się jej książka pt. *Jaja w polskiej perspektywie*.

JERZY LISIECKI – ur. w 1958 r. Ekonomista. Przygotowuje pracę doktorską w St. Antony's College w Oxfordzie na temat stosunków Wschód-Zachód.

TOMASZ LUBIŃSKI – ur. w 1938 r. Poeta, eseista, autor sztuk teatralnych. Obecnie pracuje nad przekładem *Boskiej komedii* Dantego.

ADAM MICHNIK – ur. w 1946 r. Autor książek: *Kościół, lewica, dialog* (1977), *Szanse polskiej demokracji* (1984), *Niezlomny z Londynu* (1984), *Z dziejów honoru w Polsce* (1985), *Takie czasy... Rzecz o kompromisie* (1985), *Polskie pytania* (1987).

PAUL THIBAUD – ur. w 1933 r. Autor licznych esejów z dziedziny filozofii politycznej, estetyki, spraw społecznych i bieżących problemów politycznych. W latach 1977-1988 redaktor naczelny miesięcznika katolickiego *Esprit*.

NAKŁADEM ANEKSU

Stanisław Nowicki

## PÓŁ WIEKU CZYŚĆCA

ROZMOWY Z TADEUSZEM KONWICKIM

ROZDZIAŁY: Dolina - Wileńska wojna - Nowe życie -  
Narkotyk filmu - Świat zdegradowany - Kobieta i mężczyzna  
- Główna determinacja - Buchalteria niezależności - Pasja i męka  
Str. 248 + zdjęcia Cena: £6,00 - \$13,50

Jan Kott

## KAMIENNY POTOK

Eseje poświęcone literaturze i teatrowi,  
wyrażające doświadczenia artystyczne i polityczne autora.  
Str. 232 Cena: £4,00 - \$10,00

Barbara N. Łopieńska i Ewa Szymańska

## STARE NUMERY PO PROSTU 1953-1957

Historia tygodnika czyni członków zespołu redakcyjnego -  
od mało znanego pisma studentów Politechniki Warszawskiej  
do wpływowej platformy zwolenników radykalnych reform w  
okresie Października i likwidacji *Po prostu* w 1957 r.  
Str. 130 + zdjęcia Cena: £3,50 - \$8,00

Małgorzata Szejnert - Tomasz Zalewski

## SZCZECIN GRUDZIEŃ - SIERPIEŃ - GRUDZIEŃ

*Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1984*  
Autorzy należą do nielicznych osób z zewnątrz, którym udało  
się obserwować strajk szczeciński w 1980 r. z bliska. Książka  
nie jest tylko zapisem faktów i zdarzeń -  
autorzy starali się przede wszystkim dociec przyczyn  
i mechanizmów społecznego buntu.

Str. 382

Cena £7,00 - \$14,00

## W NUMERZE 40 «PULSU»

WIŁTOLD GOMBROWICZ: Odwilż... • JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI: Pałac • JACEK KACZMARSKI: Pięć sonetów o umieraniu komunizmu • PAWEŁ HUELLE: Z Księgi Liczb • Rozmowa KAZIMIERZA ORŁOSIA z RADKIEM SIKORSKIM o Afganistanie • DAWID WARSZAWSKI: *Pays Politique, pays réel* • MAREK NOWICKI: Katastrofa złotówki • ALEKSANDER ŚWIEYKOWSKI: Dolar wpuszczony w maliny • POJEDYNKI Władimir Maksimow: Wolność którą sami wybieramy • TOMASZ BUREK: Slonimski bliski nowym pokoleniom; Wierzyński – objawienie życia i sekret ojczyzny • PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY • KWARTAŁ • RECENZJE Wanda Zwinogrodzka: Potęga zdrowego rozsądku o Janina Katz-Hewetson: Wyprzedaż Gombrowicza • DRUGI BRZEG Karol Grabowski: Pan Rowmund o Ewa Czerwiakowska: O Marii Kureckiej • ARCHIWUM EMIGRACYJNE • MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO • SOW SHOW • POCZTA

### WARUNKI PRENUMERATY

Roczna (4 numery): pocztą zwykłą £15.00, pocztą lotniczą £20.00. Prenumerata dla bibliotek, instytucji oraz organizacji jest wyższa o 50%. Należność za prenumeratę oraz wpłaty na fundusz wydawniczy prosimy przysyłać w formie czeku/PO/IMO wystawionego na Puls Publications.

PULS PUBLICATIONS  
BCM Box 697, LONDON WC1N 3XX  
UNITED KINGDOM

## ZESZYTY LITERACKIE

Nr 25 (ZIMA 1989)

W numerze: ADAM ZAGAJEWSKI, Rozmowa z Fryderykiem Nietzschem.  
**LISTY Z PARYŻA:** WOJCIECH KARPINSKI, Nietzsche -- przeistoczenie w Turynie. **PREZENTACJE:** ELISA MORANTE, Alibi; KONSTANTY A. JELEŃSKI, „Alibi” Elsy Morante; E. M. CIORAN, Piekło ciała. List do wydawcy; GUIDO CERONE II, Fragmenty. **PROZA I POEZJA:** STANISŁAW BARAŃCZAK, Co mam powiedzieć; NELLY SACCHIS, Wiersze; BRONISŁAW WILDSTEIN, Jak woda; X. JAN SOCHON, Wiersze; IERZY KRONHOLD, Nowe wiersze i prozy; IANUSZ STYCZEN, Marzący; TOMASZ ŁUBIENSKI, \* \* \*. **SYLWETKI:** KAZIMIERZ BRANDYS, Hôtel d'Alsace. **ROZMOWY:** WIESŁAWA WIERZCHOWSKA, Wywiad z JACKIEM SEMPOLIŃSKIM. **ŚWIADECTWA:** ANDRZEJ VINCENZ, Korespondencja Vincenz-Jeleński; KONSTANTY A. JELEŃSKI, STANISŁAW VINCENZ, Korespondencja. **O KSIĄŻKACH:** X. JAN SOCHON, Brodski; KRZYSZTOF RUTKOWSKI, Lornetka Gombrowicza; **WSPOMNIENIA:** NADINE GORDIMER, Włodzimierz Ledóchowski -- człowiek dwóch światów; **NOTATKI NOWE PUBLIKACJE. NOTY O AUTORACH.**  
**ZESZYTY LITERACKIE 1988. Wykaz publikacji.**

Numer 25 *Zeszytów Literackich* ukazał się w styczniu 1989

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką 55 FF

(10 \$US); pocztą lotniczą 64 FF (11,50 \$US).

Prenumerata roczna 185 FF (33 \$US);

pocztą lotniczą 240 FF (40 \$US).

### NAKLADEM ZESZYTÓW LITERACKICH:

ADAM ZAGAJEWSKI, *Solidarność i samotność* (60 FF, 10 \$US)

ADAM MICHLINIK, *Polskie pytania* (110 FF, 20 \$US)

JOSIF BRODSKI, 82 wiersze i poematy w opracowaniu

BARAŃCZAKA z przedmową MIŁOSZA (95 FF 18 \$US)

STANISŁAW BARAŃCZAK, *Widokówka z tego świata* (48 FF, 5 \$US 10)

Przesyłka lotnicza książek 20 FF, 3,50 \$US; pocztą zwykłą - gratis.

Do nabycia w redakcji:

CAHIERS LITTÉRAIRES, 44 rue Huguette, 75002 PARIS



NAKŁADEM ANEKSU

Leszek Kołakowski

## GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

POWSTANIE-ROZWÓJ-ROZKŁAD

Drugie wydanie poprawione

Str. 1232

cena: £29,50 - \$59,00

Leszek Kołakowski

## JEŚLI BOGA NIE MA...

przekład autoryzowany

W TOMIE: O czym tu mowa; Bóg pokonanych przez życie; teodycea; Bóg rezonerów; Bóg mistyków. Eros i religia; Sacrum i śmierć; Mówić o tym, co niewypowiadalne; język i świętość. Potrzeba tabu; Konkluzja

Str. 160

cena: £4,00 - \$10,00

Leszek Kołakowski

## BAJKI RÓŻNE - OPOWIEŚCI BIBLIJNE - ROZMOWY Z DIABŁEM

z ilustracjami ANDRZEJA DUDZIŃSKIEGO

Str. 262

cena: £7,00 - \$14,00

Leszek Kołakowski

## CZY DIABEŁ MOŻE BYĆ ZBAWIONY I 27 INNYCH KAZAŃ

poświęconych kulturze, chrześcijaństwu,  
socjalizmowi i Polsce

Str. 338

cena: £7,50 - \$15,00

## OBECNOŚĆ

Leszkowi Kołakowskiemu

w 60 rocznicę urodzin

zbiór esejów, artykułów i wspomnień

DZIAŁY: Rozmowy o filozofii; Rozmowy o dziedzictwie;  
Rozmowy o teraźniejszości; Rozmowy o życiu o życiorysach

Str. 372

cena: £7,50 - \$15,00

NAKŁADEM

ANEKSU

**Małgorzata Szejnert**

## **SŁAWA I INFAMIA**

**Rozmowa z BOHDANEM KORZENIEWSKIM**

o teatrze i ludziach z nim związanych  
w czasach okupacji, stalinizmu. „Solidarności” i obecnie.

Str. 190

cena: £5,00 – \$11,00

**Zbigniew Brzeziński**

## **MYŚL I DZIAŁANIE W POLITYCE MIĘDZYNARODOWEJ**

ARTYKUŁY: Potęga ZSSR i dylematy Zachodu; Przyszłość Jaltę;  
Polska wczoraj i dziś; Myśl i działanie w polityce międzynarodowej

Str. 72

cena: £3,00 – \$7,50

**Wacław Solski**

## **ŻÓŁTA TRÓJKA Opowiadania**

Str. 182

cena: £5,00 – \$11,00

**Maria Turlejska**  
(Łukasz Socha)

## **TE POKOLENIA ŻAŁOBAMI CZARNE... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944-1954** *Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1987*

Rozdziały: Polityka zagraniczna Związku Radzieckiego a Polska  
(lato 1941-jesień 1944); O prawach i bezprawiu w Polsce lat 1944-1948;  
Skazani na śmierć i ich sędziowie; Z archiwum Bolesława Bieruta

Str. 456

cena: £9,00 – \$20,00